

SIECI

**WAŻNY ESEJ
BRONISŁAWA WILDSTEINA:**

**SZLACHETNOŚĆ
OSZCZERCÓW**

**O ŹRÓDŁACH POŁONOFOBII
I CELACH ATAKÓW
NA NASZ KRAJ**

**MAREK BUDZISZ:
CO NAPRAWDĘ
DZIEJE SIĘ NA FRONCIE**

**PROF. JAROSŁAW SZYMANEK:
SFAŁSZOWANY
SPÓR O PRAWORZĄDNOŚĆ**

**PLATFORMA JEST
NARZĘDZEM LEWICY W UE
UJAWNIA HISZPAŃSKI POSEŁ
DO PE HERMANN TERTSCH**

**NAJWIĘKSZY
KONSERWATYWNY
TYGODNIK OPINII
W POLSCE**

Nr 40 (566) 2023
2–8 października 2023
CENA: 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

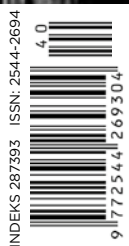
SIECI

TYLKO U NAS SZEF MSZ:

NIE BĘDZIE NIEMIECKICH PORZĄDKÓW W POLSCE

PROF. ZBIGNIEW RAU

**ZDECYDOWANIE ODPOWIADA DONALDOWI TUSKOWI.
I OSTRZEGA NIEMCY, ŻE POLSKA NIE DA SIĘ ZAstraszyć,
NIE ZREZYGNUJE Z REPARACJI
I BĘDZIE BRONIĆ SUWERENNOŚCI**



INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694



POLSKI KOMPAS 2023

ROCZNIK INSTYTUCJI FINANSOWYCH
I SPÓŁEK AKCYJNYCH



Bezpłatna wersja elektroniczna do pobrania na gb.pl
oraz App Store i Google Play już teraz!



PARTNER MIEDZIANY:



PARTNER ZŁOTY:



PARTNERZY STRATEGICZNI:



PARTNERZY GŁÓWNI:



PARTNERZY:



PARTNERZY WSPIERAJĄCY:



Słusznie uczyniliśmy!

Kiedy prezydent Andrzej Duda (odpowiadając prezydentowi Wołodomyrowi Zelenskiemu, sugerującemu, iż Polska stanęła po stronie Rosji) użył porównania do tonącego, co brzytwy się chwyta i może ratującego pociągnąć na dno, pomyślałem, że to sformułowanie o ton za mocne. Ale dziś widać, że było, niestety, w punkt.

Kijów dokonał właśnie radykalnego zwrotu w polityce zagranicznej, w pełni stawiając na Berlin nie tylko w swoich planach dotyczących przyszłości, lecz także w niemieckiej grze na obalenie rządu w Warszawie. Taki jest sens rozpętywania tuż przed wyborami wojny zbożowej, tej próby wymuszenia na rządzie PiS zrujnowania własnego rolnictwa i akceptacji idącej za tym klęski politycznej. Tego właśnie domaga się od nas Zelenski, a za odmowę chce nas ciągać po międzynarodowych trybunałach. I to w sytuacji, gdy ma pełne możliwości transportu zboża przez terytorium Polski, ten eksport rośnie, funkcjonują też drogi morskie.

Czy chodzi zatem o te kilka euro więcej na tonie, które można zarobić, zrzucając ładunek w Polsce? Raczej o wybory w Polsce. Kijów poczuł się aż tak mocno, że chce ustawiać nam scenę polityczną? Czy może uległ złudzeniom, że jest w gronie światowych mocarstw? Jeśli tak, to błąd. Nie jest. Nie z tego powodu wszyscy z nim rozmawiają.

Bez obaw – w odpowiedzi nie posłamy faktur za dostarczone czołgi i wszystko, co poszło na pomoc sąsiadowi walczącemu z barbarzyńskim najazdem. Polacy są inni. Mamy zasady i wartości, myślimy trzeźwo. Dlatego Polska jest tu, gdzie jest, a Ukraina, kierowana przez takie elity, była przed wojną w stanie znanym.

Wszystko, co uczyniliśmy dla Ukrainy, słusznie uczyniliśmy. Odwieczny wróg wolności – rosyjski imperializm na tym odcinku został zatrzymany daleko od granic Polski. To wielkie osiągnięcie obu narodów.

Jeśli zatem dziś nad czymś bolejemy, to nad ceną, którą Ukraińcy zapłacą za obecne złudzenia Zelenskiego. Z Niem-

cami chce zabezpieczać suwerenność swojej ojczyzny? Znowu? To Niemcy są współodpowiedzialne za tę wojnę, to one rozbestwiły Putina, to one, budując Nord Stream 1 i 2, geopolitycznie wystawiły Ukrainę Moskwie. Gdy ruskie tanki szły na Kijów, a premier Kaczyński, prezydent Duda i premier Morawiecki decydowali o przekazaniu Ukrainie polskich czołgów i czego tylko mogliśmy, w Berlinie oczekiwano szybkiego zwycięstwa Rosji. Ujawnił to brytyjski premier Boris Johnson, jest wiele innych potwierdzeń.

Każde dziecko w Polsce wie, że gdyby rządził Tusk, politycznie i kulturowo uzależniony od Niemiec, posłałby wtedy tyle, co Berlin – trochę starych hełmów i namiotów. I na tego Tuska teraz Zelenski gra!

Za tani rosyjski gaz i wspólne z Moskwą dzielenie Europy Niemcy są gotowe na wszystko. Żaden zwód nie wydaje się im niemoralny, żadne zagranie zbyt obrzydliwe. Omamić Zelenskiego wizją szybkiego wejścia do Europy, jeśli tylko pomoże Niemcom zmienić rząd w Warszawie, bo za tym pójdą „reformy” UE, czyli przejęcie przez Berlin pełnego panowania? Dlaczego nie. Tania bajeczka, kosztuje może kilka hrywien. Nic takiego się nie wydarzy, to wielkie złudzenie. Prawda jest taka, że Ukraina przez lata nie wejdzie do UE. Unia nie wpuści tego państwa bez solidnych reform, a na nie się nie zanoszą. Także Polska nie da się szantażować tezami, że musi zrezygnować z prawa weta w zamian za poszerzenie UE o Ukrainę.

Za ten miraż, uludę rozpoznawalną dla każdego średnio zorientowanego w polityce człowieka, Zelenski odpycha jedynego sojusznika, na którym naprawdę mógł polegać. Duży błąd. My sobie damy radę, szkoda jednak Ukrainy. Po tym „genialnym manewrze” będzie słabsza, uzależniona od cynicznego „moralnego mocarstwa”, a nie silniejsza.

Co jednak najbardziej zasmuca, to wyłaniająca się z tego ukraińska kon-

cepcja jakiejś drogi na skróty. Już po raz któryś wierzy się w Kijowie w jakieś cudowne rozwiązania w drodze na Zachód. Ukraińskie elity najwyraźniej nie rozumieją, że Polska nie osiągnęła obecnego poziomu rozwoju gospodarczego, siły państwa i znaczenia dzięki obecności w UE. Ta obecność i zdolność do konkurowania są wynikiem ciężkiej, samodzielnej pracy, wdrażania dobrych wzorców, walki z korupcją. Unia i sukces są tu skutkami, a nie przyczyną.

Tylko pójście taką ścieżką – ciężką, samodzielną pracą, odrzucenie patologii – pozwoliłoby Ukrainie wydzwignąć się na tyle, by w pełni dołączyć do struktur zachodnich.

I tu solidna, partnerska współpraca z Warszawą byłaby najlepszym wyborem. Ale Zelenski postawił na złudzenia, niemieckie paciorki i podstępna grę z Warszawą według podszeptów z Berlina.

Widzimy to w Polsce i nad tym właśnie najbardziej bolejemy. Tyle krwi, tyle cierpienia, tak odważna walka, zakończona zresztą dużym sukcesem, bo państwo ukraińskie przetrwało, naród się wzmocnił. A teraz, gdy powinna przyjść naprawa kraju obronionego z takim trudem, następuje powrót do polityki, która będzie reprodukcją starych błędów, trwaniem oligarchicznej patologii i wszystko to może zaprzepaścić.

Wielka szkoda.

Michał Karnowski





44

Tylko nie
macierzyństwo?!
Dorota Łosiewicz



46

Wędrowniacy ludów,
czyli „fakt naszych
czasów”
Jan Rokita



88

Z Aleksandrem
Śliwką
rozmawia Cezary
Kowalski

NA POZĄTEK

- 6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia
- 10 ZEMSTA HOLLANDOWEJ
Krzysztof Feusette
- 11 KTÓRĄ DROGĄ IDZIE
TRZECIA DROGA?
Dorota Łosiewicz
- 12 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejcki
- 14 TUSK NA PROCHACH
CZY NA PŁYNACH?
Jan Pietrzak
- 15 „TYGODNIK POWSZECHNY”,
CZYLI „KRYTYKA POLITYCZNA”
Bronisław Wildstein
- 16 WALIZKA DARIUSZA
PAWŁA STEFANIUKA
Michał Korsun
- 18 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki
- 19 OPOWIEŚĆ O POLSCE
Marta Kaczyńska-Zielińska
- 20 TELEMARKETERZY W BIELI
Samuel Pereira

TEMAT TYGODNIA

- 22 ZE ZBIGNIEWEM RAUEM
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

KRAJ

- 28 SZLACHETNOŚĆ OSZCZERCÓW
Bronisław Wildstein
- 32 ZA GRANICĄ NIENAWIŚCI. DO POLSKI
Marek Pyza
- 36 KIESZONKOWY WIELOPOLSKI
Stanisław Janicki
- 38 KOMPLEKS NIEMIECKI
Konrad Kołodziejcki
- 41 Z MARCINEM PRZYDĄCZEM
rozmawia Marcin Wikło
- 44 TYLKO NIE MACIERZYŃSTWO?!
Dorota Łosiewicz

ŚWIAT

- 46 WĘDRÓWKI LUDÓW, CZYLI „FAKT
NĄSZYCH CZASÓW”
Jan Rokita
- 50 ARMIA NA GRANICE!
Goran Andrijanić
- 52 DYLEMATY ZEŁENSKIEGO
Marek Budzisz
- 55 DUCH HEGLA KRAŻY
NAD WATYKANEM
Grzegorz Górny
- 58 REPUBLIKA ZAWIEDZIONYCH NADZIEI
Aleksandra Rybińska
- 61 Z HERMANNEM TERTSCHEM
rozmawia Małgorzata Wołczyk
- 64 JAK UPADA CNN
Dariusz Matuszak
- 66 SZKOCKIM ŚLADEM
GEN. SOSABOWSKIEGO
Adam Ciesielski

OPINIE

- 67 Z DAMIANEM MARKOWSKIM
rozmawia Andrzej Rafał Potocki
- 70 SPÓR O MODEL ROZWOJOWY POLSKI
Jarosław Szymanek
- 72 BIEDNY PLATFORMERS
OGLĄDA „ZIELONĄ GRANICĘ”
Maciej Walaszczyk

HISTORIA

- 74 NIEZŁOMNI W SUTANNACH
Lidia Dudkiewicz

SIECI KULTURY

- 77 ANASTAZJA WŚRÓD NAS
Jolanta Gajda-Zadworna
- 80 Z ANDRZEJEM SAPKOWSKIM
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna
- 82 SPISKI I APOKALIPS
Robert Tekieli
- 83 WOJNA CYWILIZACJI
Robert Tekieli
- 84 POLECA
Łukasz Adamski

SPORT

- 88 Z ALEKSANDREM ŚLIWKĄ
rozmawia Cezary Kowalski

NATURA DLA LUDZI

- 92 4 PORY ROKU I 23 PARKI NARODOWE
Przemysław Barszcz

GOSPODARKA

- 94 SIŁA POLSKIEGO KAPITAŁU
Stanisław Koczoł

PODRÓŻE

- 98 MOJE SZLAKI: ADAM WALNY
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

- 99 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

- 100 MIMIKRA TUSKA
Wojciech Reszczyński
- 102 GRANICE ZGŁUPIENIA
Aleksander Nalaskowski
- 103 TYLKO GRZESZNIK
GŁOSUJE NA SZATANĄ
Jerzy Jachowicz
- 103 POLSKI AS Z EDYNBURGA
Adam Ciesielski
- 104 PERFEKCJA PERFIDII
Ryszard Makowski
- 105 PODRÓŻ DO LEŚNICZÓWKI PRANIE
Leszek Długosz
- 106 ZADZIWIĄJĄCE PODOBIENSTWO
Andrzej Zybortowicz



NARODOWY
BANK POLSKI

ODSIECZ WIEDEŃSKA

MONETY KOLEKCJONERSKIE NBP

W tym roku obchodzimy 340. rocznicę zwycięstwa Jana III Sobieskiego w bitwie pod Wiedniem. Z tej okazji Narodowy Bank Polski wprowadza do obiegu złotą monetę kolekcjonerską o nominale 100 zł oraz srebrną monetę o nominale 50 zł – „Odsiecz wiedeńska”.

Na awersie złotej monety widnieje wizerunek Jana III Sobieskiego, który przedstawiony jest w prawym półprofilu, w polskim stroju, zgodnie z wizerunkiem z epoki. Na rewersie umieszczono husarzy w galopie z pochylonymi do ataku kopiami.

Awers monety srebrnej ukazuje skrzydła husarskie, zaś rewers – stylizowany portret konny Jana III Sobieskiego jako zwycięzcy z chorągwią w lewej i szablą w prawej ręce, powalającego pokonanych wrogów. Wizerunek króla pochodzi z pamiątkowej tablicy z 1883 r., znajdującej się na ścianie Bazyliki Mariackiej w Krakowie.

Monety kolekcjonerskie do nabycia
od 10 października w Oddziałach
Okręgowych NBP oraz w sklepie
internetowym [KOLEKCJONER.NBP.PL](https://kolekcjoner.nbp.pl)



100 zł

metal: Au 900/1000
stempel: lustrzany
średnica: 21,00 mm
masa: 8,00 g
nakład: do 1 200 szt.



50 zł

metal: Ag 999/1000
stempel: zwykły,
wysoki relief
wymiary:
32,00 x 50,00 mm
masa: 62,20 g
nakład: do 6 000 szt.

Sygnalista nadaje

Donald Tusk wciąż śni o zwycięstwie i przejęciu władzy. To słodkie marzenie dosładza jeszcze opowieściami o zemście. W czasie wiecu w Bydgoszczy zapowiedział błyskawiczne przejęcie TVP. „Po wygranych wyborach i po utworzeniu nowego rządu będziemy potrzebowali dokładnie 24 godziny, żeby telewizja PiS-owska zamieniła się w publiczną. Trzymajcie mnie za słowo, to już kilka tygodni. Nie będę ujawniał szczegółów recepty, jaką przygotowaliśmy. Nie będziemy potrzebowali ustawy, nie będziemy potrzebowali zgody prezydenta Dudy. Mamy mechanizmy prawne” – mówił lider PO. Nie mają. Ale ogólnie zgoda: rządy PO byłyby oparte na bezprawiu owiniętym w różne papierki.

Byłyby, ale nie będą. Sygnałów jest sporo, a wśród nich wskaźniki oglądalności poszczególnych stacji. A tu sprawa wygląda jasno: im bliżej dnia wyborów, tym bardziej zyskują TVP Info i „Wiadomości”, a nie komercyjna konkurencja. Siła telewizji publicznej, mimo wzrostu znaczenia internetu i mediów społecznościowych, nadal imponuje. To dlatego Platforma i jej media od lat próbują podważyć wiarygodność mediów publicznych oraz zastraszyć dziennikarzy TVP. A każdy atak to po prostu komplement i wyraz uznania.

W radiu TOK FM **Borys Budka** zmierzył się z pytaniem: „Jak pan tłumaczy to, że afery wizowa właściwie PiS nie dotknęła, że nawet na ten skandal władza okazała się być skutecznie zaszczepiona?”. Polityk KO odpowiedział tak: „Wyborcy PiS często nie wiedzą o tych aferach, bo nie mają dostępu do rzetelnej, obiektywnej informacji. To, co robią rzą-

dowe media, chociażby telewizja rządowa, to pokazuje, że nie ma takiego kłamstwa, którego by nie byli w stanie powtórzyć i jednocześnie blokują wszystkie informacje, które pokazują afery tej władzy”. Nie, to nieprawda, dziś nie da się ukryć informacji. Tzw. afery wizowa nie zaszkodziła PiS, bo to nie była afery, a jedynie kreacja opozycji. A poza tym wyborcy PiS od lat wiedzą, że ani opozycji, ani jej mediom wierzyć nie należy. Skąd? Z doświadczenia.

Tusk wie, że kampania jego obozu idzie kiepsko, co widać także w oficjalnych sondażach. Sięga więc po różne sztuczki. W Elblągu podał wyniki „wewnętrznego sondażu przeprowadzonego w ciągu trzech ostatnich dni na próbie 1,5 tys. osób”. „Wyniki, które przyszły do mnie, jak wjeżdżałem do Elbląga, pokazują bardzo wyraźnie, jak wielkie wyzwanie przed nami stoi, że szansa jest na wyciągnięcie ręki, ale nic nie jest rozstrzygnięte”. Podał liczby: PiS może liczyć na 34,9 proc. głosów, a KO na 32,8 proc. To fantazja. Im więcej takich bajek, tym poranek 16 października będzie trudniejszy.

Jak jest naprawdę? W Warszawie słychać o wewnętrznych sondażach sztabu Platformy, w których PiS wyprzedza KO o 12 punktów, Trzecia Droga nie wchodzi do Sejmu, a PiS gładko zdobywa samodzielną większość. Z tego, co słychać, badania wewnętrzne PiS także pokazują wyraźną przewagę Zjednoczonej Prawicy nad partią Tuska oraz słabe wyniki listy Hołowni i Kosińskiego-Kamysza. Walka będzie trwała do końca, ale mijanka na pozycji lidera, o której od miesięcy marzą politycy Platformy, nie nastąpi. Trendy są odwrotne: różnica rośnie i będzie rosła.

Pytanie brzmi, czy PiS jest przeszacowane, czy też niedoszacowane? Raczej to drugie. Ważny polityk tej partii opowiadał o spotkaniach na terenach zdominowanych przez Platformę. Słyszał wtedy od zwykłych ludzi: „Pracuję w firmie, w której zatrudnionych jest kilkadziesiąt osób. Dwie trzecie popiera Was, bo wiedzą, kiedy żyje im się lepiej. Ale się nie przyznają, bo są zastraszeni, boją się kpin, sankcji, kłopotów”. Dekady mijają, ale jedno w Polsce się nie zmieniło: partie wielkomiejskie mają zawyżone wyniki w sondażach, a partie silnie atakowane przez główny nurt zanizone.

W tej kampanii Tusk wiele obiecuje, ale czy można mu wierzyć? Portal wPolityce.pl informuje: „Gdy usłyszeliśmy o tym pierwszy raz, powątpiewaliśmy. Bo czy plan lidera opozycji może być aż tak cyniczny? Jednak kolejne rozmowy z osobami bardzo dobrze zorientowanymi w sprawach Platformy, będących blisko jej przewodniczącego i kierownictwa, przyniosły potwierdzenie. Otóż według naszych źródeł w PO Tusk ma już w głowie zdanie, którym – jeśli wygra – odwoła wszystkie swoje obietnice. W kręgu kierownictwa PO jest ono doskonale znane. Brzmi prosto: „Zastanę sytuację dużo gorszą niż sądziłem. Dlatego wszystkie plany trzeba odłożyć na bok. Konieczne są drastyczne oszczędności”. To bardzo prawdopodobny scenariusz. Kto wie, może nawet wróci Jacek „piniendzy nie ma i nie będzie” Rostowski?



Portal wPolityce.pl dodaje: „Radykalne cięcia mają dotyczyć nie tylko własnych zapowiedzi, lecz także programów prorodzinnych i społecznych wprowadzonych przez rządy Prawa i Sprawiedliwości. Mówi się o »zawieszeniu« 13. i 14. emerytury, ograniczeniu 800+ do najuboższych, rezygnacji z większości dodatków dla rodzin. Zresztą posłowie PO mówią o tym co jakiś czas, choć są uciszani »dla dobra kampanii«”. Argument zastanej rzekomo „katastrofy” ma być też użyty do zatrzymania kluczowych, znieuwadżonych przez opozycję inwestycji, jak CPK, budowa silnej armii, inwestycje w atom i petrochemię. Słowem – cała wstecz, hamulec na maksa. Za rządów PiS Polska zbyt poszła do przodu, by Berlin i Bruksela mogły to tak zostawić.



W Bydgoszczy Tusk odniósł się także do nazwisk niektórych polityków PiS: „Jest pan (Piotr) Müller, (Paweł Maciej) Szefernakier, (Łukasz) Schreiber, (Radosław) Fogiel. Ja nie lubię zabawy i gry nazwiskami, ale czasami, tak myślę sobie, ile tupetu trzeba mieć, żeby polskich patriotów wyzywać od niemieckich kolaborantów, jak się nie ma do tego żadnej podstawy”. Do tych słów odniósł się minister **Lukasz Schreiber**: „Nazwisk nie wybieramy, lecz to, komu służymy. Ja służę Polsce, tak jak moi przodkowie”. Celne. Tusk też mógł wybrać inną drogę. W istocie wciąż może wybrać dobrze, zaczynając oczywiście od wyznania win, przeprosin i pokuty.



Także za fałę nienawiści, która rozlała się po Polsce w 2005 r., gdy Tusk uznał, że skoro przegrał z Lechem Kaczyńskim bój o prezydenturę, to rozpęta przemysł pogardy. Skutki tamtej szalonej decyzji widać i w tej kampanii. Poseł PiS Piotr Kaleta został potrącony samochodem przez działacza opozycji. Jak do tego doszło? Poseł zauważył, że od kilku dni jego plakaty wyborcze są zrywane. Postanowił sam sprawdzić i zweryfikować, kto niszczy jego mienie.

Udało się – chuliganem okazał się działacz kaliskiego KOD. W czasie interwencji parlamentarzysta próbował zatrzymać odjeżdżającego mężczyznę, który nie zatrzymał się, ale potrącił go samochodem i odjechał. W mediach głównego nurtu cisza. Gdyby było odwrotnie, o sprawie debatowałby Parlament Europejski.

Prezes Instytutu Pamięci Narodowej wystosował list do niemieckiej minister oświaty i badań naukowych. **Karol Nawrocki** zaoferował wsparcie przeprowadzenia działań edukacyjnych w RFN. W liście do Nancy Faeser oraz Bettiny Stark-Watzinger przedstawia ofertę działań w sprawie przypomnienia o zbrodniach narodowego socjalizmu. „Niektórzy obywatele współczesnych Niemiec postrzegają III Rzeszę jako uosobienie dumnego i silnego państwa aspirującego do roli światowego lidera. Nie baczą przy tym na ogrom dokonanych przez nią zbrodni i ludobójczą ideologię wyznawaną przez członków NSDAP” – napisał prezes IPN, odnosząc się do sprawy Oktoberfest w Saksonii, na którym pojawiła się nazistowska piosenka i hitlerowskie pozdrowienie. Pomysł świetny. Niemieckie „moralne mocarstwo” coraz pilniej potrzebuje naszej pomocy.

I jeszcze jeden fragment listu dr. Nawrockiego: „Dotychczasowe doświadczenia moich współpracowników w prowadzeniu edukacji historycznej opartej na rzetelnych badaniach naukowych dają gwarancję skutecznego dotarcia do serc i świadomości obywateli Niemiec. By już nigdy więcej żaden obywatel RFN nie uniósł ręki w haniebnym, hitlerowskim pozdrowieniu; by nigdy więcej nikt nie zaintonował pieśni zbrodniarzy w mundurach Wehrmachtu lub innych formacji zbrojnych; by nikt nie tworzył neonazistowskich organizacji”. Mamy państwo, które nie ma kompleksów, nie boi się, nosi się godnie. Nie zmarumnyj tego.

Kardynał nominat, metropolita łódzki Grzegorz Ryś, podczas mszy przy grobie św. Jana Pawła II w bazylice watykańskiej powiedział: „Czy nie macie poczucia, że żyjemy w kraju, gdzie każdy zajmuje się tylko swoimi sprawami. A to, co jest naszym wspólnym domem, coraz bardziej obraca się w gruzy? Potrafimy się dobrze czuć we własnych, konfesyjnych wspólnotach, ale dom Pana, czyli Kościół, który – jak wyznajemy – jest jeden, święty, powszechny, apostołski, ten dom Pana jest ciągle w gruzach, jest ciągle w ruinach. Każdy się stara, każdy pracuje, każdy widzi zerowe owoce swojej pracy. Czyż nie dlatego, że nie ma jedności? Czyż Pan nie powiedział, że świat uwierzy, jak zobaczy w nas jedno? Skoncentrowani na swoich własnych kościelnych, wewnętrznych interesach, pożytkach nie patrzymy na to, że dom Pana – jeden, wielki, święty Kościół jest w ruinie”. Diagnoza słuszna, ale recepty trzeba szukać gdzie indziej. Jeśli z góry płynie przekaz tak rozedrgany jak obecnie, o dobre owoce więcej niż trudno.

Muzeum, jakiego nie było

Wystawa czasowa pt. „Wielkie i małe historie” otwiera działalność Muzeum Historii Polski. Zgromadzono na niej ponad 500 różnych eksponatów pokazujących całą historię Polski, ale też zasoby tego muzeum wraz z jego nowymi nabytkami. To choćby cykl siedmiu obrazów historycznych stworzonych na Wystawę Światową w Nowym Jorku w 1939 r., które do 2022 r. znajdowały się w bibliotece Le Moyne College w Syracuse. Zwiedzający zobaczą oryginalne bramy Stoczni Gdańskiej ze strajku w 1988 r., odręczny list Ryszarda Siwca, pozostawiony 55 lat przed jego samobójczą śmiercią w proteście przeciw interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji, kopię Enigmy, pamiątki po Ignacym Paderewskim, dyplomacie Michałe Sokolnickim oraz wspaniałą kolekcję kontuszowych pasów słuckich. I tak wymieniać można by długo.

Muzeum ma mocno eksponować historię I Rzeczypospolitej, kulturę staropolską i sarmackie tradycje. Kilka dni temu podpisano umowę na stworzenie wystawy stałej, która na ponad 7 tys. m² pomieści scenografię oraz ok. 3,6 tys. eksponatów, a także kilkadziesiąt replik obiektów historycznych. Za sprawą dyrektora Roberta Kostro MHP stanie się z pewnością jedną z najważniejszych instytucji tego typu w Polsce.

Siedzibą muzeum jest imponujący, modernistyczny gmach o łącznej powierzchni 44 tys. m². Pomysł jego utworzenia pojawił się jeszcze w 2006 r., w czasie pierwszych rządów PiS, ale przez wiele lat nie udawało się go zrealizować. „Platforma nie potrafiła tego zrobić, choć nie zablokowała pomysłu, ale my nie tylko mówimy o tym, co zamierzamy, ale to robimy” – mówi z dumą minister kultury prof. Piotr Gliński. Bo niemal natychmiast po wyborach w 2015 r. podjęto decyzję o zlokalizowaniu gmachu na terenie warszawskiej Cytadeli. Jak podkreślał minister, Cytadela, mająca być w zamyśle carskich władz symbolem zniewolenia i przestroga dla buntowników, stanie się dla Polaków miejscem spotkań z ich własną historią.

Maciej Walaszczyk



Zemsta Hollandowej



KRZYSZTOF FEUSETTE

– **Halo? Czy Poland?**

– Holland! Pomyłka! No, skąd Poland? Jak ja przyjeżdżam do Poland, to czuję zaduch potworny. Ale nie z garsonki, tylko jakby ktoś bez przerwy puszczał... No nie wiem, jakieś g... w kinach? Ja się nigdy nie czułam Poland, z taty dziada i pradziada. To już bardziej Europejką, reżyserką, a teraz jeszcze patriotką. A kto mówi w ogóle?

– **Po głosie nie poznajecie? Towarzysz Łukasz z tej strony.**

– Jaki Łukasz?

– **Wy Holland, ja Łukasz, nas, kochana, nie oszukasz. Enka, Łukasz Enka. Ja dzwonię z Mińska...**

– Mińsk Mazowiecki? Piękne miasto. Ale polskie.

Miałam tam kiedyś spotkanie w domu braku kultury. Ale nie to, na którym wyznałam, że Platforma naciskała na przesunięcie filmu...

– **Naprawdę? Jak tak można? W demokracji kneblować artystkę?**

– Prawda? Dziękuję za te słowa, gdyż jestem szczególnie wrażliwa na pochwały zagraniczne. Np. niemiecka ZDF jak tylko dostała scenariusz, a nadmienię, że to są porządni ludzie od porządnym Niemców, bo to oni nakręcili „Nazi ojców, nazi matki”, też dała pieniądze.

– **Kino jest najważniejszą ze sztuk i dobrze wiecie, kto to powiedział, kto w to wierzył i kto umacniał, żeby tacy, jak wy, dzieci komunistów, mogły od tego odcinać kupony. Powiem krótko: wasza twórczość bardzo nam się podoba i dlatego chcielibyśmy nakręcić o was film. Taki, wiecie, niby na faktach.**

– O mnie? Przecież ja jestem taka skromna...

– **A o kim? Czeczko nie żyje. O Ochojskiej mamy kręcić?**

– No, ale co by to miało być?

– **Przecież mówiłem: niby na faktach. Wróćcie do Polski, uderza was zaduch, polski smród, i wy go rozpoznajecie, gdyż jest to wasz smród, to znaczy polski. Przebijacie się przez miasto, w którym żli ludzie, czyli Polacy, bestie, kretyni, mordercy, typią na was niechętnym wzrokiem. Sąd zakazuje mówić o was głośno, więc te bestie szepczą o was po kątach: „To ta, co napluła na własny kraj!”, „E, tam, to nigdy nie był jej kraj...”. A wyciągnijcie wywiady, autografy, wizyty w zakładach pracy.**

– A kto by mnie zagrał? Może, kurde, ta, no, Diabeł? Kurdej-Szatan!

– **Albo Jachira, bo już u nas grała.**

– Super. Idę przez miasto i co?

– **Trzymajcie tę swoją nagrodę dla specjalnych filmów pod pachą. Wtedy napada na was patrol Straży Granicznej. Mordercy.**

– W Warszawie?

– **Tak jest. Dojechali. Specjalnie, żeby was pozabawić nagrody. Pluj na was.**

– Ale na mnie czy na Kurdej? Nie podoba mi się to. To znaczy ja mogę sobie pluć na kogo chcę, gdyż tak zostałam wychowana. Pluj i pozwól pluć innym na innych. Tak się u mnie w domu mówiło.

– **Tej sceny nie ma. Idźcie ulicą, wróćcie z premiery „Zielonych ludzików”, czy jak to się nazywa.**

– Zielona...

– **Nie przerywajcie. Idźcie, machacie sobie torebką, powiedzmy w kolorach biało-niebiesko-czerwonym, bo lubicie te kolory, a nawet jeśli nie, to one was lubią. I nagle wyskakujecie na was kilku PiS-owców...**

– A skąd wiem, że PiS-owcy?

– **No, że wyskakują. Kto inny by wyskoczył?**

– Polak jakiś? Albo strażnik graniczny?

– **W Warszawie?**

– No przecież mówiliście, że akcja dzieje się w stolicy.

– **Bo granica jest na Wiśle! Ale możecie w scenariuszu zmienić. My wam ufamy na tyle, że jak**

powiecie, iż chcecie nakręcić film o smutnych świętach białoruskich pograniczników, to też pomożemy. Wy nam przywróćcie wiarę w dobre imię pożytecznego polskiego intelektualisty. A już myśleliśmy, że u was same Poczobuty.

– Nie znam. To jest aktywista jakiś?

– **Podobacie mi się. Ale muszę kończyć, bo mam hokeja. PiS-owcy was napadają, ale trafiać chce, że akurat pod naszą ambasadą. Białoruski strażnik ma na imię Ahmed, więc wie, co to płynąć z kotem przez sześć dni strumieniem do 60 cm głębokości. On was ratuje, to znaczy Ahmed, nie kot.**

– Cudowne. Jeszcze jedno pytanko: czy moja córka mogłaby coś robić przy tej produkcji? Bo ja mam taki zwyczaj, że dziecka nie można zostawić samego, zwłaszcza w branży rodzica.

– **Ostaszewska może być?**

– A nie lepiej Stuhra młodego? No i co w tej ambasadzie?

– **Nic. Jesteście uratowani. Uratowane, bo córkę też napadli, wiecie za co. Składacie zeznania i dostajecie ode mnie, osobiście, na stadionie Dymania, to znaczy Dynama, lalkę w nagrodę.**

– A czemu?

– **No, do klucia. Przecież jesteście wyznawczynią wudu. Chwaliliście się kiedyś, że uśmierciliście w ten sposób dwie osoby...**

– Było, minęło. Już nie praktykuję. Tylko sobie palce kłulam. Raz to nawet taką rudą lalkę zrobiłam, ale 2 proc. PKB na kulturę obiecała, więc odpuściłam. Jak się okazało, że wszystko pic na wodę, to pomyślałam: czekaj, frajerze, ja ci się kiedyś filmem w kampanii odpłacę...

Cyeron mawiał, że „historia jest nauczycielką życia”, zaś Hegel, że „historia uczy, że ludzkość niczego się z niej nie nauczyła”. Na pewno nie uczą się z niej politycy Trzeciej Drogi, a już na pewno nie w odniesieniu do marszów organizowanych przez Donalda Tuska.

Trzeciej Drodze do dziś odbija się czkawka marsz 4 czerwca. Szymon Hołownia w pierwszym odruchu ogłosił wówczas, że na niego nie pójdzie. Później rozwinął swoją myśl i stwierdził, że „marszami w Warszawie wyborów się nie wygrywa” oraz zaapelował: „Odpuśćmy sobie z tym marszem”. Rzecz miała miejsce już po tym, gdy politycy opozycji okrzyknęli Hołownię „grabarzem jednej listy” po tym, jak złamał jedność opozycji przy okazji głosowania nad nowelizacją ustawy o Sądzie Najwyższym.

Po zapowiedzi o odpuszczeniu marszu na głowę Hołowni wylały się kolejne wiadra pomyj, a lider Polski 2050 odkręcał swoje słowa: „Przestańcie manipulować. Powiedziałem wyraźnie: idźcie na marsz, kto tylko chce, nasi ludzie też tam pewnie będą. Opuśćcie sobie BRATOBÓJCZE DYKUSJE nad listą obecności i obrzucanie się błotem. To wielkie święto wszystkich Polaków. 4 czerwca nas łączy, przestańcie nas dzielić” – pisał w mediach społecznościowych.

Ostatecznie Szymon Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz na marsz się wybrali, ale – i tu relacje są rozbieżne. Zdaniem jednych Hołownia się spóźnił i utknął w tłumie, zdaniem innych, co nie wyklucza tej pierwszej wersji, platforma, z której przemawiali liderzy Nowej Lewicy odjechała Hołowni i Kosiniakowi-Kamyszowi sprzed nosa. Tak czy inaczej panowie nie wystąpili, a Włodzimierz Czarzasty może sobie dziś żartować, że obaj siedzieli w krzakach. Po marszu sondaże Trzeciej Drogi poleciały na łeb, na szyję – tak, że do dziś w części z nich koalicja lokuje się pod progiem.

Donald Tusk postanowił nie ułatwiać życia liderom opozycji i zorganizował kolejny marsz, 1 października. Gdy państwo czytają te słowa, jest

Którą drogą idzie Trzecia Droga?

Wygląda na to, że Trzecia Droga próbuje mieć ciastko i zjeść ciastko.

Tylko czy za tym wszystkim nadążają jeszcze wyborcy?

rzym kierunku pójdzie Polska, a nie że ktoś będzie za nas decydował. Nie będziemy niczym kwiatkiem do kożucha”.

Jednak niespodziewanie dwa dni przed marszem część polityków Trzeciej Drogi zmieniła zdanie i postanowiła przyłączyć się do marszu Tuska. „Startuję z list Trzeciej Drogi z ostatniego miejsca w Warszawie. 1 października idę na marsz, bo wolność – osobista i gospodarcza – to dla mnie fundamenty nowoczesnego państwa. Razem z Michałem Kobosko oraz Anną Radwan i innymi z naszej listy idziemy na marsz, bo Polska demokratyczna, praworządna i europejska jest naszym wspólnym celem” – oznajmił w nagraniu udostępnionym na Twitterze Ryszard Petru.

Wcześniej Szymon Hołownia zasugerował, że koalicja w tej sprawie trzeszczy i nie ma zgody. „Nie pojawimy się my, znaczy ja i Władysław Kosiniak-Kamysz, na marszu 1 października, pojawią się nasi działacze z Warszawy [...]”. Natomiast nasze stanowisko jest jasne, też przekazywaliśmy je Donaldowi Tuskowi, Włodzimierzowi Czarzastemu. Jest bardzo jasne i precyzyjne, podzielmy się pracą. To jest weekend naprawdę kluczowy dla demokracji w Polsce, weekend wielkiej mobilizacji” – mówił Hołownia w Wałbrzychu.

Wygląda więc na to, że Trzecia Droga szuka dla siebie dobrej drogi, jest „za, a nawet przeciw”, próbuje mieć ciastko i zjeść ciastko. Tylko czy za tym wszystkim nadążają jeszcze wyborcy? Najważniejszy sondaż w tej sprawie już 15 października.

Dorota Łosiewicz



Gwałtowny wzrost notowań Alternatywy dla Niemiec (AfD), od czerwca będącej już drugą siłą polityczną za naszą zachodnią granicą, zmusza władze w Berlinie do korekty dotychczasowego kursu. Przejawem tego typu działań jest m.in. zaostrzenie polityki imigracyjnej oraz odchodzenie od wyśrubowanych norm klimatycznych, które doprowadziły do spadku poziomu życia w Niemczech.

Tydzień temu kanclerz Olaf Scholz zapowiedział odejście od rygorystycznych wymogów dotyczących tzw. efektywności energetycznej w budownictwie. Nowe budynki miały być zasilane wyłącznie odnawialnymi źródłami energii i neutralne klimatycznie, a starsze czekała kosztowna modernizacja pod groźbą wysokich kar nałożonych na ich właścicieli. Rezultatem tej klimatycznej rewolucji w mieszkalnictwie byłby nieuchronny wzrost czynszów. Alenietylko. Jak wskazali przedstawiciele wpływowej branży deweloperskiej, budowanie nowych domów stałoby się zwyczajnie nieopłacalne, a to nie tylko spowodowałoby dalsze podniesienie cen mieszkań, lecz również pogłębiło



Koniec zielonych domów

obecny kryzys w niemieckim sektorze budowlanym.

Jeszcze kilka lat temu – przed pandemią i wojną na Ukrainie – branża budowlana w Niemczech przeżywała boom dzięki niskiej cenie kredytu. Wzrost inflacji, podwyżka stóp procentowych oraz wprowadzenie surowych norm środowiskowych doprowadziły jednak do załamania na rynku. Inwestycje zatrzymano z powodu gwałtownie rosnących kosztów, a te, które już zrealizowano, nie znajdowały nabywców.

W wielu miastach doszło też do podwyżki czynszów. Skutkiem niemieckiej rewolucji klimatycznej stała się więc zapaść na rynku nieruchomości i drożyzna.

Aby ratować się przed rosnącym niezadowolaniem, rząd w Berlinie postanowił przekazać w ciągu najbliższych trzech lat 45 mld euro na ożywienie budownictwa. Co jednak najważniejsze, podobnie jak w Wielkiej Brytanii, wycofano się – na czas nieokreślony – z norm środowiskowych oraz obowiązku modernizacji energetycznej istniejących domów. Niemcy zamierzają też sprzeciwić się propozycjom klimatycznym Unii Europejskiej, które mogłyby uderzać w budownictwo.

„Potrzebujemy tańszych mieszkań” – powiedział Olaf Scholz przed spotkaniem z liderami branży deweloperskiej. Wydaje się, że to właśnie oni przekonali go do zaprzestania rewolucji klimatycznej. Bo gdy walka o klimat uderzyła w interesy najbogatszych, a jej skutki zaczęły chwiać niemiecką sceną polityczną, to przestała być fajnym, modnym sloganem. Zamiast tego stała się zagrożeniem.

Konrad Kolodziejski



Wstrząsy na Zakaukaziu

Rozpoczynając 19 września ofensywę wojсковą przeciwko nieuznawanej przez świat republice Górskiego Karabachu, Azerbejdżan osiągnął swój cel polityczny,

jakim było odzyskanie kontroli nad tym obszarem. Po kilkunastu godzinach intensywnych walk władze Arcachu, jak Górski Karabach nazywa się w Armenii, zgodziły się na rozejm, który przewiduje m.in. rozwiązanie sił samoobrony i oddanie zgromadzonej broni.

Tzw. operacja antyterrorystyczna, bo w ten sposób Baku określiło uderzenie na separatystów, została poprzedzona wielomiesięczną blokadą Karabachu, ta zaś wywołała dokuczliwe braki żywności i paliwa. Republika została też pozbawiona wsparcia wojskowego ze strony Erywanu po tym, jak

w 2022 r. premier Nikol Paszinian podpisał w Pradze deklarację, w której Armenia oficjalnie uznała Górski Karabach za część Azerbejdżanu. Rząd Paszinianiana był zresztą poróżniony z władzami Arcachu, dążącymi do utrzymania ścisłych związków Armenii z Rosją.

Upadek Górskiego Karabachu wywołał ucieczkę tamtejszej ludności, obawiającej się czystek etnicznych. Jednocześnie w Erywanu rozpoczęły się protesty organizowane przez ludzi z formacji prorosyjskich, odsuniętych kilka lat temu od władzy przez Paszinianiana.

Dążący do zbliżenia z Zachodem rząd Paszinianiana oskarża Rosję, że jej misja pokojowa, utworzona po zakończonej w 2020 r. wojnie Azerbejdżanu z Armenią, nie wywiązuje się z ustalonych obowiązków. Dlatego szef armeńskiej dyplomacji Ararat Mirzjan zaproponował zastąpienie Rosjan siłami międzynarodowymi. Moskwa jest z kolei wściekła na Erywan z powodu niedawnych wspólnych manewrów sił amerykańskich i armeńskich.

Jeśli Paszinian utrzyma się u władzy, co wcale nie jest pewne, to nie można wykluczyć, że Armenia w najbliższym czasie wystąpi z OUBZ – kierowanego przez Moskwę sojuszu wojskowego państw posowieckich – i zlikwiduje rosyjską bazę wojskową na swoim terytorium. Taki rozwój wydarzeń będzie oznaczał wyparcie Rosji z Zakaukazia.

Marek Budzisz

Na początku był Murzyn

Wielka Brytania była krajem czarnych przez ponad 7000 lat, zanim przybyli tu biali ludzie. W tym czasie zbudowano najsłynniejszy brytyjski pomnik, Stonehenge – twierdzi urodzona w Nigerii brytyjska autorka Atinuke w książeczce pt. „Genialna historia brytyjskich czarnych”.

Wydawnictwo jest skierowane do dzieci od lat siedmiu i opowiada o wielowiekowej obecności czarnej ludności na Wyspach Brytyjskich, zaczynając już od człowieka z Cheddar, a więc najstarszych szczątków ludzkich – sprzed ok. 10 tys. lat – odnalezionych na terenie Wielkiej Brytanii. Co najważniejsze, autorka twierdzi, że prehistoryczny człowiek miał skórę „tak ciemną, jak to tylko możliwe”. Przedstawia także czarnych rzymskich legionistów walczących z białymi Celtami.

W książce znajdziemy również rozdział poświęcony ruchowi Black Lives Matter, w którym jest napisane, że chociaż „rasa nie istnieje z naukowego punktu widzenia”, na czarnych w dalszym ciągu wpływa „rasizm instytucjonalny”. Te wszystkie nonsensy wywołały ostrą krytykę historyków, zwracających uwagę, że pierwsi czarni Afrykanie przybyli na Wyspy w okresie panowania Cesarstwa Rzymskiego ok. 300 r., a badania genetyczne nie dają ostatecznej odpowiedzi na pytanie, jakiego koloru skórę miał człowiek epoki neolitu.

Od kilku lat szkoły są atakowane przez publikacje zawierające motywowane ideologią woke pseudonaukowe teorie dekonstruujące dotych-

czasowe ustalenia. W dowolny sposób stosuje się w nich kryteria rasowe, mające dowartościować kolorową ludność i piętnować białych Brytyjczyków odpowiedzialnych za dziedzictwo kolonializmu. Np. w katedrze w St. Albans w Anglii w jednym z ołtarzy umieszczono nową wersję „Ostatniej wieczerzy” Leonarda da Vinci – Chrystus został w niej przedstawiony jako Murzyn, ale Judasz jest tam niebieskookim blondynem.

Emerytowany profesor z Uniwersytetu w Cambridge David Abulafia zauważył, że kryteria rasowe stosowali narodowi socjaliści.

„Uczynienie koloru skóry kryterium oceny wielkich osiągnięć, takich jak Stonehenge, nie jest więc nowym pomysłem i nie ma on żadnej wartości. Co zrobić, gdy okaże się, że ich skóra była niebieska lub zielona?”

– pyta naukowiec. No właśnie! Może to klucz do rozwinięcia teorii Ericha von Dänikena, który twierdził, że wiele starożytnych megalitów, takich jak m.in. Stonehenge, egipskie piramidy czy głowy Moai na Wyspie Wielkanocnej, zbudowano przy użyciu technologii przekazanej ludzkości przez kosmitów? Bo chyba dopiero na tym poziomie należy odczytywać opowieść o czarnym dziedzictwie Wielkiej Brytanii.

Maciej Walaszczyk

Wielka Brytania 

Władze Uzbekistanu rozpoczęły kampanię zwalczania „radikalizmu estetycznego”. Za tym zagadkowym określeniem kryje się noszenie hidżabów przez kobiety, zapuszczanie długiej brody przez mężczyzn oraz umieszczanie szyldów w języku arabskim w miejscach publicznych. W rzeczywistości rząd w Taszkencie obawia się nie tyle ekstremizmu estetycznego, ile religijnego. Walczy więc z zachowaniami, które uważa za przejawy wahhabizmu, czyli islamskiego fundamentalizmu.

W wielu miastach lotne brygady policji zaczęły zrywać kobietom hidżaby z głów oraz wylapywać brodatych mężczyzn i golić im brody. Stawiający opór trafiali do aresztu nawet na dwa tygodnie. Na uczelniach przestano wpuszczać na zajęcia lub zaczęto usuwać z akademików studentów, którzy nie podporządkowali się zaleceniom władz. W niektórych prowincjach zamaskowani funkcjonariusze służb specjalnych przeprowadzali rewizje w prywatnych domach, rekwirując odzież uznaną przez

Nie dla hidżabów



Uzbekistan 

władze za niewłaściwą. Pod pretekstem nieprzestrzegania przepisów sanitarnych zamknięto dziesiątki barów i kawiarni, regularnie odwiedzanych przez ortodoksyjnych muzułmanów. Policijną obserwacją objęto również księgarnie z literaturą religijną oraz sklepy odzieżowe. Zakazano także eksponowania w miejscach publicznych napisów w języku arabskim.

Działania władz poparł przewodniczący Rady Muzułmańskiej Uzbekistanu Nuriddin Chaliknazarov – skrytykował on takie „ekscesy religijne”, jak zapuszczanie brody czy noszenie hidżabów. Jego zdaniem błędem jest przecenianie wyglądu czy ubioru w kulturze islamskiej, ponieważ tworzy ono mentalność skupiającą uwagę na kwestiach drugorzędnych, a ignorującą sprawy duchowe. Zarówno władza państwowa, jak i religijna działają więc wspólnie, by ograniczyć wpływ islamistyczne w państwie, uznawanym za najbardziej muzułmańskie spośród wszystkich republik postsowieckich.

Grzegorz Górny

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Tusk na prochach czy na płynach?

Ale heca! Tusk „uroczyście ogłosił”, że przejmuje wyborcze hasło PiS: – „Bezpieczna przyszłość Polaków!”. Koń by się uśmieł, jak powiadał mój dziadek. On się jedynie podszywa, jak mawiała moja babcia. O żadnej przyszłości, zwłaszcza bezpiecznej, z Tuskiem nie może być mowy. Zaufać mu nawet na jeden dzień byłoby nieuzasadnionym wybrykiem. To kompletnie skolowany koleś. Nie wiem, czy jest na prochach, czy na płynach, ale jakieś wspomaganie czuć na odległość. Sterling Power wszczepiony za uchem?

Tusk to nienormalność, wiemy od dawna. Wyrzuca z siebie lawinę słów bez żadnego znaczenia, kręcąc się pośród ludzi jak g...wo w przereźlu. To wszystko jest sztuczne niczym nawozy na ugorze, saletrzak z mocznikiem. Odgrywa tandetną pantomimę emocjonalnego przywódcy, nie mając w gruncie rzeczy nic do zaoferowania poza swoim stresem i strachem, że nadciąga klapa. Jedyne, co mnie zdumiewa, to ziomale, cierpliwie wysłuchujący tego pieprzenia bez solenia. Wojsko, w którym służyłem w pacholeństwie, miało wiele wad, ale też parę zalet.



**Jan
Pietrzak**

M.in. uczyło obrzydzenia do tzw. mowy-trawy, a tą karmiono nas na wyrost. Koszarowym slangiem mówiło się o takich mówcach: ruska onuca albo pruski trep. Przepraszam, że w tym felietonie nasuwają mi się mocne słowa, których, przyznacie państwo, na ogół nie stosuję. Usprawiedliwia mnie temat niniejszego felietonu. Jeden z największych szkodników naszej, szczęśliwie odzyskanej, niepodległości. Zasługuje na bluzg, jakim obrzucał Jaruzelskiego aktor Teatru Domowego Emilian Kamiński w latach 80. To była perelka. Prędzej czy później jakiś anonimowy pracownik wolnego słowa pokusi się zapewne o zrymowanie słów adekwatnych do wyczynów typka, o którym tu mówimy.

Na razie, w trybie przedwyborczym, na własny użytek przypomnijmy sobie, co nam ukradł, w czym nas zawiódł, ile razy oszukał... by z czystym sumieniem powstrzymać jego ciąg do władzy, którą chce tu sprawować w imieniu i dla dobra naszych notorycznych sąsiadów. Od lat śpiewam o nich historyczną piosenkę... „Szkopy i kacapy, dzieciństwa koszmara”. Też niezbyt mile słowa, ale oddające prawdę...

GORĄCE PYTANIA

ZOSTAŃ W DOMU I OGLĄDAJ

W POLSCE PL

NA POZYCJI
polsat box 
wcześniej Cyfrowy Polsat **196**

NA POZYCJACH
 **339** dekodery Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

NA POZYCJI
 **32**

NA POZYCJI
NETIA **192**

NA POZYCJI
VECTRA **825**

BRONISŁAW WILDSTEIN

„Tygodnik Powszechny”, czyli „Krytyka Polityczna”

Tygodnik Powszechny”, który pełnił funkcję dodatku religijnego „Gazety Wyborczej”, stał się ekspozyturą „Krytyki Politycznej”. Trudno się dziwić, gdyż ta ostatnia już lata temu skolonizowała organ Michnika.

Nie tylko idee, ale i polityka ma konsekwencje. Opowieść o mentalnym przejęciu „GW” przez „KP” jest tego doskonałą ilustracją i nadaje się na solidną monografię, której raczej nikt nie napisze, bo wymagałoby to odwagi, a niedługo będzie miało znaczenie wyłącznie historyczne.

„GW” miała uzasadnić sojusz części elit opozycji z komunistami jako fuzję postępowych i liberalnych środowisk III RP. Zabetonować rządy grupy, która przejęła władzę po upadku PRL. W tym celu gazeta przodowała w narzucaniu pedagogiki wstydu, która obrzydzała Polakom ich historię i tożsamość, aby tym łatwiej podporządkowali się rządowi oświeconych, europejskich liberałów. Dekomunizacja i lustracja miały być zakazane, bo uderzały w znaczną część panujących środowisk. Wzbronione było eksponowanie Solidarności, co wzbudzić mogłoby „niezdrawą” dumę Polaków. Zastępowano to kultem odpowiednio dobranych liderów związku. Ograniczona miała być również rola Kościoła – zarówno jako konkurenta do przejęcia rządu dusz, jak i fundamentu polskiej wspólnoty.

Musiało to prowadzić do zakwestionowania elementarnego porządku moralnego („fundamentalizmu etycznego”) i wartości wspólnoty, a w konsekwencji zasad cywilizacji zachodniej. Organizatorzy tej strategii łącznie z ich liderem nie zastanawiali się nad tym ani tego nie przewidzieli. Stąd pierwotna niekoherencja gazety.

Ludzie potrzebują logicznego przekazu. Jeśli nie sposób potępić komunistycznych obrońców totalitaryzmu i obcego panowania, bo jest to „bardziej skomplikowane”, a oni także mieli się kierować patriotyzmem, jeśli donosicielstwo jest sprawą dwuznaczną, a kapuś jest ofiarą, której należy współczuć, a nie go rozliczać, to wali się jakakolwiek hierarchia moralna, nie ma na czym oprzeć polityki, a ludzie zaczynają szukać nowego ładu. Ofiarowuje go ideologia emancypacji, której zasadą jest wyzwolenie się z tradycyjnego porządku mentalnego. W ten sposób, ku zaskoczeniu starej gwardii „GW”, zaczęli w niej dominować feminiści czy zwolennicy gender.

Analogiczne są dzieje „Tygodnika Powszechnego”. Zawsze walczył z „ludowym katolicyzmem”, który miał być niepgłębioną i wręcz pogańską religijnością, a prymasa Wyszyńskiego traktował jako „dopust boży”. Nie miejsce tu na tłumaczenie, że tak naprawdę niepgłębioną religijnością cechowali się krytycy jej ludowego wariantu, którzy cały kulturowy wymiar chrześcijaństwa chcieli zastąpić intelektualną spekulacją. Nie

poczuwali się do żadnej wspólnoty z tzw. zwykłymi ludźmi, którym wiara formowała całe życie. Słyszałem, jak wyrafinowany kapłan tłumaczył, że zanik ludowej religijności nie jest niczym złym, bo w Kościele pozostaną ludzie, którzy pojmują prawdziwą myśl chrześcijańską. Zrozumiałe więc, że nie będą się oni musieli wówczas wstydić za swoich pseudo „współwyznawców”, a i miejsca w kościołach będzie więcej.

Beatyfikację Ulmów „TP” obszedł, publikując artykuł o tym, że po ich śmierci mieszkańcy Markowej, gdzie działa się tragedia, własnoręcznie wymordowali ponad 20 ukrywanych wcześniej Żydów. Do tych rewelacji odwołał się w swoim komentarzu redaktor nestor tygodnika Adam Boniecki. Wprawdzie w następnym numerze pojawiło się wyjaśnienie, że informacje na ten temat są po prostu nieprawdziwe, ale fakt opublikowania w momencie beatyfikacji polskich męczenników, którzy zginęli za ratowanie Żydów, niesprawdzonej informacji o mordowaniu tychże i komentarz na ten temat jest bardzo wymowny. Tygodnik za wszelką cenę usiłował znaleźć przeciwwagę dla heroizmu Polaków.

Apologetyczny, okładkowy artykuł o „Zielonej granicy” w „TP” napisał autor „KP” Jakub Majmurek. W filmie zwykli Polacy są przedstawiani w sposób odrażający – w przeciwieństwie do muzułmanów i przede wszystkim elity kraju, która otwiera granice, drzwi oraz ramiona dla wszystkich ubogających ich przybyszy.

„Wszystkie te postaci to Żydzi próbujący przetrwać Zagładę, ale też ludzie, którzy walczą o to, by zachować człowieczeństwo w środku historycznego horroru, który odmawia człowieczeństwa takim ludziom jak oni” – pisze Majmurek, zestawiając obronę polskiej granicy z nazistowskim polowaniem na Żydów.

Bicie się w piersi ludu ze strony elit jest zaiste wrzeszczące, zwłaszcza że ten permanentny proceder służy eksponowaniu własnej wyjątkowości i wartości. „KP” i „TP” ludem wrzeszcza się wyłącznie jako obiektem realnych czy domniemyanych bezceństw, które wobec niego miały niegdyś wyczyniać klasy posiadające. Polska historia, a więc i tożsamość, mają być przecież przedmiotem wstydu. Tak jak dziś Polska i jej mieszkańcy, za wyjątkiem oczywiście oświeconych elit.

Fot. Andrzej Wiktor





Walizka Dariusza Pawła Stefaniuka

posła PiS na Sejm RP



10 -osobową grupą znajomych z naszego klubu motocyklowego „Wild Hogs” (nazwa jest pastiszem z komedii „Dzikie Wieprze”) zaczęliśmy jeździć kilka lat temu. Pierwsza podróż odbyła się do Rumunii bajecznymi trasami – Transfagaraską i Transalpiną – nazywanymi potocznie Mekkami motocyklistów. Te dwie malownicze drogi przebiegają przez pasma Karpat: Góry Fogaraskie oraz Parang, z czego pierwszą z nich twórcy Top Gear uznali za najlepszą trasę Europy. W następnym roku pojechaliliśmy do Szwajcarii, potem była Słowacja, Węgry... I tak trzymamy się tradycji corocznych wspólnych wypadów naszą paczką. Gdy na Wschodzie była inna sytuacja polityczna, jeździliśmy na Białoruś szlakiem polskich grobów i kościołów, odwiedziliśmy rodzinny dom Czesława Niementa i naszego wieszczę Adama Mickiewicza, zwiedziliśmy Grodno, Brześć itp. Dobrze wspominały Korsykę, która jest świetną wyspą dla motocyklistów. Podróże rodzinne mają oczywiście inny charakter. Dla małżeństwa z trójką dzieci znacznie bardziej przyjazne są Wenecja czy wybrzeże francuskie. Mamy jeszcze dwa psy, ale na czas wakacji czy ferii zimowych zostają z dziadkami. W br. z powodu ubiegania się o reelekcję z 6. miejsca w okręgu 7. (Biała Podlaska, Chełm, Zamość) wypoczną dopiero po wyborach.

MAGNESY

Ponieważ w sakwach motocyklowych nie ma zbyt dużo miejsca, najpraktyczniejsze pamiątki to magnesy na lodówki. Krecik i Myszką pochodzą z czeskiej Pragi, zakupione z sentymentu do kreskówek z dzieciństwa. Jak Czechy, to także magnesy z pubów. Z kolei czaszka została zdobytą na Korsyce. W sumie moja kolekcja magnesów liczy ok. 100 egzemplarzy.





RÓŻANIEC

Nie pojawił się tu na potrzeby wywiadu, po prostu zawsze mi towarzyszy. Drugi mam w samochodzie. Uważam, że różaniec chroni, broni i należy się na nim modlić. Wtedy pomaga nam w różnych troskach życia codziennego, nie tylko zawodowych, lecz także prywatnych, żeby Bóg trzymał naszą rodzinę w opiece.

SŁUCHAWKI

Bo bardzo często podróżuję pociągami i żeby nie przeszkadzać innym. Jadąc na zaproszenie do stacji telewizyjnych czy radiowych, przygotowuję się, przeglądam media, YouTube'a.

WIERSZYK

Prezent od pracowników żłobka w Białej Podlaskiej, do którego uczęszczała nasza mała Liliana. Ponieważ byliśmy świeżo po wyborach samorządowych, podczas których brutalnie atakowano mnie i moją rodzinę, ten wiersz był jak łyk słodkiej wody. Przypominał nam, że są porządni ludzie, którzy w nas wierzą, i to dodaje skrzydeł.

ODZIEŻ PATRIOTYCZNA

Prezenty od mojej żony i znajomych, bo wiedzą, że lubię barwy oraz symbole narodowe. Po prostu lubię pokazywać, że jestem Polakiem. Robię to podczas pobytów za granicą, związanych także z pracą poselską.

Zasiadam w komisji OECD, a więc jeździmy na

wybory do innych krajów. Gdy jesteśmy po oficjalnych spotkaniach i wszyscy są na luzie, wtedy odzież patriotyczna jest jak znalazł.



SĘKACZ

Rewelacyjne ciasto wypiekane na ogniu, którego głównym składnikiem są jajka. Wiąże się z moim regionem, południowym Podlasiem, albo, jak niektórzy mówią, północną lubelszczyzną. Jak pamiętam, od zawsze sękacz był pieczony na święta przez moją babcię.

RĘKAWICE

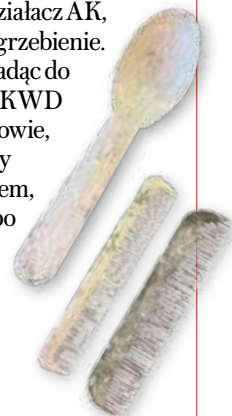
Treningi bokserskie nie tylko wzmocniły moją kondycję, lecz także nauczyły kontrolować emocje. Ta cecha bardzo się przydaje w studiu telewizyjnym, gdy opozycyjny polityk stale przerywa mi wypowiedź...



JÓZEF KARWACKI

Zdjęcie dziadka. Uczestnik kampanii wrześniowej pod Wieluniem, potem działacz AK, sybirak. Łyżkę i dwa grzebienie. To miał w „walizce”, jadąc do obozów jenieckich NKWD w Riazaniu i Ostaszkowie, w których spędził trzy lata. Nie będąc oficerem, zamiast do Katynia, po

„amnestii” trafił do formowanych Polskich Sił Zbrojnych. Tysiące deportowanych Polaków nie miało tyle szczęścia, dlatego wraz z senatorem Grzegorzem Biereckim mamy inicjatywę ułatwiającą repatriantom powrót bez większych formalności do Rzeczypospolitej.



PODZIĘKOWANIA

Od komendanta Straży Granicznej Jacka Szczochora za zorganizowanie patriotycznego koncertu wspierającego funkcjonariuszy SG z rodzinami, m.in. tych, którzy zostali ranni na służbie. Ważna dla mnie rzecz, bo bardzo cenię sobie strażników granicznych, szczególnie dzisiaj, gdy są atakowani na granicy polsko-białoruskiej, gdzie bronią naszego bezpieczeństwa. Jestem pierwszą osobą w pierwszym szeregu, która staje w ich obronie i nie pozwala powiedzieć o nich złego słowa.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun



OGNIEM NA WPROST

Pop swoje, czort swoje

Uderzenie brytyjskimi pociskami Storm-Shadow, niszczącymi bunkry, w kwaterę główną Floty Czarnomorskiej w Sewastopolu ma swoją drugą odsłonę. Jak podaje brytyjski „The Sun”, dowództwo zostało wystawione ukraińskiej artylerii raketowej przez podległych mu bojów. To oni przekazali partyzantom z organizacji ruchu oporu na Krymie Atesz dokładne informacje o mającej się odbyć naradzie z naczelnym dowódcą Floty Czarnomorskiej adm. Wiktorem Sokołowem. On został osobiście wybrany i mianowany przez Władimira P., aby przywrócić chwałę czarnomorskiej flocie po tym, jak Kreml stracił Moskwę – flagowy okręt marynarki wojennej. Partyzanci z Atesz mieli przekazać, że ich informatorzy nie byli szczególnie zmotywowani kwotą pieniężną. Ich podstawowym celem było osłabienie rosyjskiej armii i krok w kierunku zakończenia wojny. Oplata stała się wówczas jedynie „dodatkową zachętą”, choć kwota okazała się dość spora. W każdym razie na tyle duża, by zabezpieczyć sytuację finansową rodzin bojów. Wystawienie szefostwa było dosłownie kompletne. Oprócz samego adm. Sokołowa ciężkie rany odniósł dowódca ugrupowania Rosyjskiej Floty Czarnomorskiej gen. płk Aleksander Romanczuk, a szef sztabu, gen. lt. Oleg Cekow jest nieprzytomny. Oj, nie mają lekko w armii dowódcy Władimira P.

Z kolei inną naradę kacapskich dowódców, tym razem pod Chersoniem, po drugiej stronie Dniepru, odwiedziły HIMARSY. Oficerowie 24. Pułku Strzelców Zmotoryzowanych i 70. Dywizji Strzelców Zmotoryzowanych spotykali się codziennie skoro świt, by ustalić plan dnia, czyli jak najskuteczniej zaszkodzić

w nadchodzącej dobie Tryzubom. Zanim towarzystwo doszło do ostatecznych wniosków, nasiadówę przerwała celna salwa z HIMARSÓW. W efekcie „ustaleń” ośmiu oficerów zmieniło swój status na „gruz 200” (ładunek 200 – trupy), a siedmiu na „gruz 300” (ranni). Tak więc część narady przeniosła się na łono Abrahama i w tej chwili ustalają ze św. Piotrem przed Sądem Ostatecznym swoją dalszą przyszłość (piekło czy czyściec, bo na raj raczej mają małe szanse), a reszta może dokończyć naradę w szpitalu polowym. O ile odzyskają przytomność.

Jak już jesteśmy w obwodzie chersońskim i przy sprawach ostatecznych, w łapy SBU (Służba Bezpieczeństwa Ukrainy) wpadł tamtejszy pop. Według informacji prokuratury, we wrześniu znajomy duchownego – 42-letni mieszkaniec przedmieścia Chersonia – sprzedał mu dwa przeciwlotnicze systemy raketowe Igła przeznaczone do rażenia celów powietrznych, a także trzy ładunki prochowe do granatnika przeciwpancernego. Otrzymał za to 3 tys. dol. W dodatku jeszcze na początku pełnoskalowej inwazji ów mężczyzna dostarczył na przechowanie w cerkwi broń i amunicję. Podczas przeszukania miejsca zamieszkania duchownego znaleziono również dwa ładunki prochowe i pięć sztuk amunicji do granatnika. Poza tym duchowny poinformował organy ścigania o tym, że w piwnicy budynku na osiedlu Szumenskie ukrył broń i amunicję. Pod wskazanym adresem znaleziono: 1,5 tys. naboju kaliber 5,45 mm, ok. 900 naboju kaliber 7,62 mm, trzy granaty F-1 z zapalnikami, karabin maszynowy PKM, karabin AK-74, pięć załadowanych magazynków i pięć noży bagietowych. No i mamy prawo-



ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI

sławnego kapłana, dorabiającego sobie na boku handlem śmiercią. Czyli pop swoje, a czort swoje.

Wygląda na to, że SBU wzięła się za reżimowych propagandystów pracujących dla Kremla. Co najmniej trzech funkcjonariuszy kacapskich mediów otrzymało od nieznanego nadawcy przesyłki ze świńskimi głowami – podaje „The Moscow Times”. Wcześniej kierowano wobec nich groźby śmierci. Według gazety chodzi o publicystę mediów państwowych Timofieja Sergejcewa, eksperta wojskowego Konstantina Siwkowa i fotoreportera państwowej agencji TASS Michaiła Tereszczenkę. W ub.r. Sergejcew napisał artykuł, w którym wzywał do mordowania ukraińskich cywilów. Jak czytamy w „The Moscow Times”, on jako ostatni dostał świńską głowę. Informację na temat przesyłki potwierdził pracodawca dziennikarza – agencja Rossija Siewodnia. Z kolei Ria Nowosti relacjonuje, że do wspomnianego Siwkowa zadzwoniła nieznana osoba i zażądała, aby wycofał się z poparcia dla wojny, bo inaczej zginie. Tereszczence przesyłkę ze świńskim łbem wręczył kurier. Podczas przeszukania mieszkania doręczyciela policja odnalazła cztery podobne pakunki. W USA jeden z bohaterów filmu „Ojciec chrzestny” obudził się w łóżku z odrąbaną głową konia. Innym gangsterom, ku przestrodze, wysyłano zdechłą rybę zawiniętą w gazetę, co oznaczało, że przełożeni zwracają mu uwagę na niedyskrecję. A u Ruskich główną rolę odgrywa świński łeb. Klimat iście Pali-kotowy, ale co kraj, to obyczaj.

Współpraca: „Skipper”

Opowieść o Polsce

Obraz Złotego Wieku” to największa wystawa w historii Zamku Królewskiego na Wawelu. Monumentalna ekspozycja przedstawia dziedzictwo kulturalne i artystyczne Polski pod berłem ostatnich Jagiellonów.

Blask i splendor epoki można podziwiać dzięki 450 eksponatom pochodzącym m.in. z Biblioteki Bodlejańskiej w Oksfordzie, British Library w Londynie, Metropolitan Museum w Nowym Jorku, Luwru, Livrustkammaren w Sztokholmie, Muzeum Narodowego w Pradze, Muzeum Sztuk Pięknych w Budapeszcie, a także zbiorów kościelnych i prywatnych. Wystawa, trwająca do 14 grudnia, została zaprezentowana w 17 salach znajdujących się na trzech kondygnacjach zamku na Wawelu, stanowiącego wzór renesansowej budowli dla wielu budynków wznoszonych i remontowanych w złotym wieku.

Okres historii Polski określany tym mianem obejmuje 66 lat rządów Zygmunta Starego (1506–1548) oraz jego syna Zygmunta Augusta (1548–1572). Ani wcześniej, ani później Rzeczpospolita nie miała tak ogromnego terytorium, o powierzchni liczącej niemal 1 mln m², zamieszkanego przez ok. 8 mln ludzi. Była największym państwem Europy. W jej granicach żyli katolicy, prawosławni, muzułmanie, Żydzi. Obok Polaków byli to Litwini, Rusini, Ormianie, Karaimi, Czesi, Niemcy. Rzeczpospolita, słynąc z tolerancji, przyciągała francuskich hugenotów i niemieckich luteranów, holenderskich menonitów, włoskich antytrynitarzy, rosyjskich sekciarzy, angielskich jezuitów. Nie podlegali dyskryminacji ze względów narodowościowych czy religijnych, korzystali z przywilejów gospodarczych oraz z pełnej swobody kultu.

Wzrost dochodów państwa ostatnich Jagiellonów pozwolił na rozbudowę i modernizację armii. Zmalało znaczenie pospolitego ruszenia. Narodziła się słynna polska husaria – formacja ciężkiej jazdy, pozostająca niezwyciężona przez blisko dwa wieki. Akademia Krakowska przeżywała okres świetności. Rozwijały się miasta – najbardziej spektakularnym przykładem Zamość, ufundowany przez hetmana wielkiego koronnego Jana Zamoyskiego i zaprojektowany przez Bernarda Morando. W latach 1550–1560 na poznańskim rynku stanął ratusz projektu Giovanniego Battisty Quadro. Język polski stał się coraz bardziej doceniany i został przyjęty w sferze życia publicznego. Wielkim promotorem polszczyzny był Mikołaj Rej, piszący swe utwory po polsku, lecz również przemawiał w tym języku w sejmie, w którym uprzednio dominowała łacina. W 1525 r. na krakowskim Rynku hołd polskiemu władcy złożył książę pruski. W 1529 r. podczas sejmiku Zygmunt August włączył do Korony Mazowsze z Warszawą. Zwycięstwo pod Obertynem (1531 r.) nad hospodarem mołdawskim oraz zawarcie wieczystego pokoju z Turcją w 1533 r. zapewniło Rzeczypospolitej na długie lata spokój na południowo-wschodnich rubieżach. W lipcu 1569 r. zawarto unię realną z Wielkim Księstwem Litewskim – w jej wyniku powstała Rzeczpospolita Obojga Narodów.



**Marta
Kaczyńska-
Zielińska**

Ekspozycję na wawelskim zamku rozpoczyna sala, w której centralne miejsce zajmuje dzieło polskiego historiografa, medyka i geografa, kanonika krakowskiego Macieja z Miechowa – słynny „Tractatus de duabus Sarmatis Asiana et Europeana”, przetłumaczony na wiele języków. Obejrzeć można obrazy, arrasy, rzeźby, płaskorzeźby, rękopisy czy starodruki, w tym m.in. najstarszy egzemplarz „Żywota Ezopa Fryga” z 1578 r. Biernata z Lublina. W kameralnym wnętrzu dormitorium Zygmunta I można zobaczyć modlitewnik władcy, a także jego żony Bony. Zwiedzających zachwycą kamea Gian Jacopa Caraglio z wizerunkiem królowej Bony, wizerunek Zygmunta I na medalu oraz tłoczona w skórze tarcza z portretem Zygmunta Augusta. Jest też „Portret młodzieńca” Hansa Dürera z galerii Spada w Rzymie. W ostatniej sali można oglądać 30 słynnych wawelskich głów Sebastiana Tauerbacha i Hansa Snycera na co dzień spoglądających na zwiedzających ze stropu wawelskiej Sali Poselskiej.

Różnorodność eksponatów na wystawie „Obraz Złotego Wieku” skłania do refleksji nad meandrami, pięknem i bogactwami naszej wielowiekowej historii.

REKLAMA

Kalejdoskop historyczny

Marcin Bąk
poniedziałek, godz. 20.00

Radio 106.2
Warszawa
Jeszcze słychać

46/0923/F

Telemarketerzy w bieli



**Samuel
Pereira**

Chyba nikt dotąd nie wziął tak bardzo do serca hasła: „Kampania wyborcza to spektakl” jak Platforma Obywatelska z jej wodzem na czele. Mogliśmy się o tym przekonać wiosną, gdy z powodu zbliżających się wyborów politycy tej partii zakupili polskie flagi i biało-czerwona zaczęła pojawiać się na wiecach Donalda Tuska. A pewność co do teatralnego charakteru kampanii największej partii opozycyjnej możemy mieć teraz, gdy schowali do szafy kolorowe koszule i jak sekta w tym samym momencie założyli białe.

Tekst, który piszę dzisiaj, ukaże się po marszu miliona serc, w którym było pewnie więcej bieli niż w „Locie nad kukulczym gniazdem”. Cały czas zachodzę w głowę, który to młody, cwany spin doktor wymyślił tak dumny koncept i jak bardzo musi być dumny ze swojego pomysłu. Klepie się pewnie po własnym ramieniu z dumą, będąc zapewne święcie przekonany, że teraz to już Polacy uwierzą w świętą, nieskalaną Platformę, pełną niewinności i czystości, którą symbolizuje biel. A może tych pomysłodawców jest więcej i chcieli oni pokazać, że są dobrem, a reszta to zło. Zapewne też są z siebie bardzo dumni. Tego typu korporacyjne my-

ślenie jest oczywiście odrealnione, ale żeby to wiedzieć, musieliby wyjść ze swojej lemingowej bańki i posłuchać zwykłych ludzi, a nie krzykaczy z Siłnych Razem. Może wtedy zrozumieliby, że dla normalnego człowieka taki masowy, jednolity ubiór kojarzy się raczej z seansami nienawiści „Roku 1984” czy telemarketerami sprzedającymi niemiecki proszek do prania niż z dobrem i cnotą. Dodatkowo jest to zwyczajnie sztuczne.

Do tego dochodzi cały przekaz, sprowadzający się do tego, że o trudnych tematach czy pytaniach referendalnych nie ma co rozmawiać, bo, wicie, rozumiecie, nie możemy teraz ujawniać naszych poglądów, mamy pokonać PiS i tylko to się liczy. No nie, dla wyborców, nawet tych niepalających sympatią do obecnej władzy, liczy się również to, czy inne ugrupowania, a na pewno lider opozycji, mają jakąkolwiek kontrpropozycję. Tymczasem co robi Tusk i jego towarzysze? Wywieszają białą... koszulę.

Autor jest dyrektorem TVP Info

Czym żyją nasi sąsiedzi

Z Markiem Solonem-Lipińskim, dyrektorem ds. współpracy międzynarodowej TVP S.A., rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Za nami trzecia edycja Międzynarodowego Festiwalu Telewizyjnego i Forum Heart of Europe. Ilu nadawców oraz twórców wzięło udział w tym wydarzeniu?

Marek Solon-Lipiński: 14 telewizji publicznych i niemal 200 twórców, producentów i przedstawicieli nadawców z Europy Środkowo-Wschodniej. Do konkursu głównego zgłoszono 80 produkcji z Polski, Czech, Słowacji, Słowenii, Węgier, Estonii, Litwy, Łotwy, Chorwacji, Serbii, Rumunii, Bułgarii, Ukrainy i Gruzji. Festiwalowi towarzyszyło forum, w którym wzięło udział 27 projektów (filmów, seriali i dokumentów) wybranych w preselekcji ze 130 zgłoszeń.

Które z polskich tytułów zostały nagrodzone?

W kategorii Film fabularny najlepszym projektem Forum Heart of Europe 2023 został „Why God doesn't play with time”. Obraz z pogranicza science fiction, odpowiadający na pytanie, co by było, gdybyśmy mieli możliwość spotkania się na dobrą z osobą, która już odešla. Jak spędzilibyśmy ten czas.

W głównym konkursie, bardzo bogatym i różnorodnym, zarówno jeśli chodzi o tematykę, jak i gatunki (mieliśmy tu m.in. kategorię filmowo-serialową, dokumentalną, produkcji dla dzieci, jak i programów rozrywkowych), wśród nagrodzonych znalazł się polski film „Marzec '68” w reżyserii Krzysztofa Langa, a w kategorii Rozrywka projekt „Kamper Polska”.

Specjalnymi nagrodami zarządu TVP zostały wyróżnione serial „Polowanie na ćmy” oraz cykl rozrywkowy „Biesiady Polskie”.

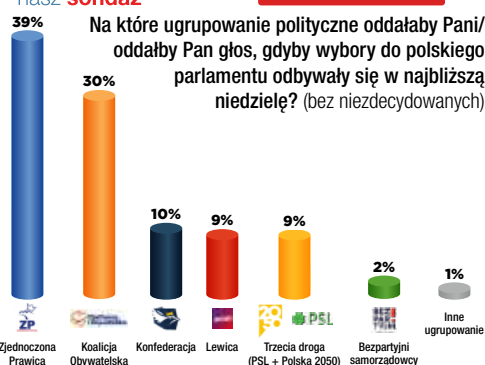
Gala zamknięcia już za nami, ale festiwal właściwie się nie skończył. Jak to możliwe?

Od 25 września do 25 października na platformie heartofeurope.tvp.pl są dostępne bezpłatnie produkcje biorące udział w festiwalu w oryginalnych wersjach językowych z napisami w języku angielskim. Zachęcamy, żeby zapoznać się z tą propozycją, zobaczyć, jakimi tematami żyją nasi bliźni i dalsi sąsiedzi. Zapewne część tych produkcji trafi do oferty TVP, tak jak było w przypadku poprzednich edycji festiwalu.

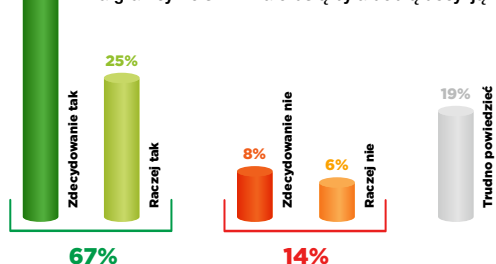




pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

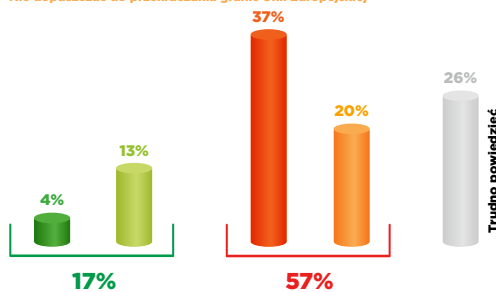


Jak Pani/Pan ocenia, czy budowa bariery (zapory) na granicy Polski z Białorusią była dobrą decyzją?

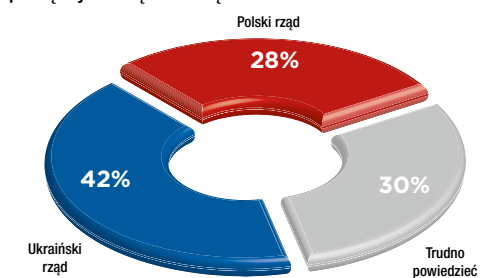


Co Pani/Pana zdaniem należy zrobić z imigrantami, którzy docierają z Afryki do Europy, np. na włoską wyspę Lampedusa?

Zezwalać na pobyt, ale tylko na terenie kraju, do którego przybyli
Zezwalać na pobyt i rozdzielać pomiędzy kraje członkowskie Unii Europejskiej
Nie zezwalać na pobyt i odsyłać z powrotem do krajów, z których przybyli
Nie dopuszczać do przekraczania granic Unii Europejskiej



Kto według Pani/Pana ponosi winę za pogorszenie się relacji pomiędzy Polską i Ukrainą?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięto udział N=1052.

Zakres czasowy badania 22-25 września 2023 r.

SIECI

ISSN 2544-2694
www.wSIECIprawdy.pl

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL.: (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYŚŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZIŚ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWILSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNIA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI,

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
 UL. LEGIONÓW 126-128,
 81-472 GDYNIA
 REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCOWSKA,
 MARIOLA.BARCOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
 MICHAŁ KORSUN, MICHAŁ.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK),
 ANDRZEJ.SKWARCZYŃSKI@FRATRIA.PL,
 LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA ŁASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
 OBRÓBKĄ ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
 TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 9.00 – 17.00), (22) 255 93 32
 PRENUMERATA@FRATRIA.PL
 REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE
 WWW.WSIECI.PRAWDY.PL

WPLAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
 W TYTULE WPLATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO
 WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZECZ RUCH S.A.:
 ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA
 E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE
 WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI
ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ,
 TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT,
 MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK,
 JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH
 RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBINSKA, WOJCIECH
 STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIELIK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ
 WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDESTEIN, PIOTR ZAREMBA,
 DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL:
 PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ
 Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH” POD NUMERAMI:
 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE
 W GODZINACH 7⁰⁰ – 17⁰⁰.
 KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
 KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
 REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
 PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
 MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA
 I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O.
 WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
 (WŁĄCZNIE Z TYTUŁACZNIEM NA JĘZYKI OBCE).
 REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH.
 OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU
 POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY.
 BEZUMÓWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH
 PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZECZ WYDAWCĄ JEST
 ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.



FOT. NA OKŁADCE: A. LANGE, J. KALABRNE, PAP, J. STENBORN, A. ABARCO, EASTNEWS (50),
 S. LADY/SHUTTERSTOCK (50), M. KOSIŃSKI, MUSEUM POLSKA WARSZAWSKA



Niemieckie przemilczenia

Po co Berlinowi rewizja traktatów i wyeliminowanie prawa weta?
Po to, aby w świetle prawa móc narzucać swoją wolę wszystkim europejskim społeczeństwom. Rząd Prawa i Sprawiedliwości nigdy się na to nie zgodzi

*Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z **prof. Zbigniewem Rauem**,
ministrem spraw zagranicznych*



Fot. Andrzej Wilk

Panie ministrze, mija rocznica wystosowania przez Polskę noty do Niemiec z żądaniem zadośćuczynienia. Wyraził pan w niej przekonanie, że „strony powinny podjąć niezwłoczne działania zmierzające do trwałego, kompleksowego i ostatecznego, prawnego i materialnego uregulowania kwestii następstw agresji i okupacji niemieckiej w latach 1939–1945”. Jakie inne działania zostały podjęte w tej sprawie przez polską dyplomację?

Zbigniew Rau: Polska zainicjowała bezprecedensową pod względem skali i zakresu akcję dyplomatyczną, zmierzającą do poinformowania społeczności międzynarodowej o istnieniu polskich roszczeń odszkodowawczych wobec Niemiec. Nasze placówki dyplomatyczne na całym świecie, zarówno bilateralne, jak i wielostronne, informowały

rządy, parlamenty, organizacje pozarządowe, ośrodki analityczne i media o stanowisku polskiego rządu w tej sprawie oraz o tym, że rząd niemiecki nie wywiązał się z obowiązku rekompensacyjnego wobec Polski i polskich obywateli za krzywdy i szkody poniesione przez nich w wyniku niemieckiej agresji i okupacji.

Duża w tym zasługa pełnomocnika rządu ds. odszkodowań za szkody wyrządzone agresją i okupacją niemiecką oraz sekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Arkadiusza Mularczyka. Tak złożony mandat polityczny, który wykonuje, dobrze odzwierciedla skalę zadania, jakie przed nim postawiono.

Rząd PiS nie dał się Niemcom zastraszyć i konsekwentnie domaga się od nich rozliczenia z własną przeszłością, zainicjowania rozmów o sposobach niemieckiego zadośćuczynienia

Wyrażnie wykracza to poza nadzór nad akcją dyplomatyczną w tej sprawie?

Tak. Część jego zadań ma bowiem charakter krajowy i wiąże się z wypracowywaniem instrumentów instytucjonalnych oraz argumentacji wspierającej polskie roszczenia wobec Niemiec. Jesteśmy na początku drogi i batalia będzie przybierać na sile, o ile kolejny rząd – gdyby wygrała opozycja – nie zostanie przez Niemcy przekupiony, tak by w zamian za inne korzyści, publiczne lub prywatne, wycofał się z domagania się odszkodowań. Z punktu widzenia Niemiec tak wyszłoby z pewnością taniej.

Pod koniec grudnia 2022 r. niemiecki rząd odpowiedział na polską notę, stwierdzając, iż sprawa reparacji za straty wojenne pozostaje zamknięta, a on nie zamierza podejmować negocjacji w tej sprawie. Jak pan przy-

jął tak nieprzemakalne stanowisko naszego sąsiada? Czy to coś zmieniło w polskich staraniach?

Bez zaskoczenia. Niemcy przez kilkadziesiąt lat inwestowały w wizerunek państwa, które nie tylko rozliczyło się ze wszystkimi ofiarami swojej agresji i polityki eksterminacyjnej, lecz także dokonało tego na tyle wzorowo, że uzyskało podstawy do ubiegania się o tytuł moralnego supermocarstwa. Takiej polityce służył jałtański podział Europy, umożliwiając Niemcom unikanie odpowiedzialności za większość zbrodni III Rzeszy popełnionych podczas II wojny światowej. Przecież niepodległa Polska zgłosiłaby protest przy pierwszej

próbie złożenia przez państwo niemieckie odpowiedzialności za wszystkie zbrodnie na Narodowo-Socjalistyczną Partię Niemiec, czyli na nazistów.

Pokolenie naszych dziadków doskonale wiedziało, że napadli na nas i zbrodni dokonali Niemcy, państwo niemieckie. Ale dziś w popkulturze często są to beznarodowi naziści. Ta manipulacyjna operacja się udala?

W Polsce nie. Polacy dobrze pamiętający niemiecką okupację wiedzieli przecież jak

nikt inny na świecie, że niemiecka, rasistowska polityka okupacyjna nie opierała się na rozróżnieniu politycznym, ale narodowościowym. To dlatego w Generalnym Gubernatorstwie nie jeździły tramwaje z napisem „Tyko dla członków NSDAP”, czyli tylko dla nazistów. W Polsce pamiętamy, że były wagony, kina, restauracje, a nawet całe dzielnice miast „tylko dla Niemców”. Ale ponieważ Polską rządili komuniści, co samo w sobie było rezultatem niemieckiej i sowieckiej agresji na Polskę w 1939 r., Niemcy mogły odgrodzić się od polskich protestów murem berlińskim – ignorować głos polskich ofiar, zapewniać ochronę zbrodniarzom odpowiedzialnym za eksterminację Polaków oraz unikać wypłacania reparacji i odszkodowań, posługując się argumentem, że byłyby one wykorzystane dla wzmocnienia komunizmu. Na to oczywiście nie było zgody ani amerykańskiej, ani innych narodów



europczych zagroonych sowie-
ckim ekspansjonizmem.

***Polska nie bya niepodległa. Mo-
żemy zatem mówić o rodzaju
premi za zniewolenie naszego
kraju, z której Niemcy skorzystały
po wojnie?***

Można to tak ująć. Niestety, po za-
kończeniu zimnej wojny sytuacja
nie była dla nas znacząco korzyst-
niejsza. Niemcy bez skrupułów
wykorzystywali fakt, że Polska,
państwo zrujnowane w wyniku
ich agresji i okupacji, wyniszczone
dekadami komunistycznego pano-
wania, aspirujące do członkostwa
w NATO i Unii Europejskiej,
była uzależniona od ich poparcia.
I kolejne niemieckie rządy bez-
względnie wykorzystywały swoją
przewagę nad Polską, proponując
oparcie stosunków z naszym kra-
jem na historycznej amnezji i skon-
centrowanie się na „wspólnej przyszłości
w naszym europejskim domu”. Czyniły
to bezwzględnie, uciekając się do nacis-
ków, a nawet gróźb.

Należy pamiętać, że Niemcy
najintensywniej zabiegali
o wprowadzenie swoich
porządków na ziemiach
polskich w czasach zaborów
i okupacji III Rzeszy.
W pierwszym przypadku
zakładali, że jesteśmy
Irokezami, czy wręcz
dzikusami, jak to ujmował
Fryderyk II, a w drugim po
prostu untermenschami

Na czym pan opiera to zdanie?

Na tym, że sam byłem ich adresatem
– całkiem niedawno, przed objęciem
urzędu ministra spraw zagranicznych,
jako przewodniczący sejmowej komisji

spraw zagranicznych. Słyszałem od
niemieckich dyplomatów, że Polska
będzie musiała się liczyć z poważ-
nymi konsekwencjami, jeśli zagrozi
niemieckim interesom w dwóch ob-
szarach: będzie blokować budowę
gazociągu Północnego i zażąda
reparacji za krzywdy i szkody po-
niesione w czasie II wojny świato-
wej. Innym razem usłyszałem od
nich sugestię, że sprawa odszko-
dowań może otworzyć kwestię za-
chodniej granicy Polski. Ten język
i tego rodzaju argumenty są niedo-
puszczalne między sojusznikami
i dobrymi sąsiadami. Otóż aby pro-
wadzić skuteczną politykę wobec
Niemiec, trzeba bronić polskiej su-
werenności i nie dać się zastraszyć.
Jestem dumny, że urząd ministra
spraw zagranicznych pełnię w rzą-
dzie Prawa i Sprawiedliwości, który
nie dał się Niemcom zastraszyć.

Konsekwentnie domagając się od
nich rozliczenia z własną przeszłością,
zainicjowania rozmów o sposobach nie-
mieckiego zadośćuczynienia w duchu
przyjaznej i dobrosąsiedzkiej współ-

pracy. Taką politykę prowadzi i będzie prowadzić nasz rząd.

Lider opozycji uderza w odwrótne tony. Sugeruje, że tereny okupowane przez Niemcy, wcześniej będące pod zaborem pruskim, zyskały jakąś kulturową, cywilizacyjną przewagę. Jak pan odebrał te wypowiedzi?

Jeśli dobrze pamiętam, Donald Tusk mówił o tym w kontekście potrzeby zaprowadzenia w Polsce pewnego porządku, który mamy zawdzięczać związkom z kulturą Zachodu, a jak on to rozumie – z kulturą niemiecką. Należy pamiętać, że Niemcy najintensywniej zabiegali o wprowadzenie swoich porządków na ziemiach polskich w czasach zaborów i okupacji III Rzeszy. W pierwszym przypadku zakładali, że jesteśmy Irokezami, czy wręcz dzikusami, jak to ujmował Fryderyk II, a w drugim po prostu Untermenschami. W obu przypadkach istota tych porządków miała się sprowadzać do przekonania – zarówno Niemców, jak i Polaków – że między naszymi nacjami nie ma miejsca na żadną postać równości, ani moralnej, ani intelektualnej, ani cywilizacyjnej. Rysy tego przekonania dostrzegam właśnie w myśleniu i działaniu lidera opozycji. I chcę Donaldowi Tuskowi jasno powiedzieć: nie będzie niemieckich porządków w Polsce.

Patrząc na sprawę braku rozliczenia Niemiec z przeszłością: czy mamy do czynienia z pamięcią i amnezją historyczną tego kraju? Czy może z różnicowaniem ofiar, bo przecież innym zapłacili, zadośćuczynili? To jest do utrzymania w świecie, w którym historia i wynikające z niej racje moralne odgrywają tak ważną rolę we współczesnej polityce międzynarodowej?

Psychologia nie zna pojęcia zbiorowej i masowej amnezji doświadczanej przez społeczność liczącą kilkadziesiąt milionów osób. Więc jeśli pojawia się brak wiedzy lub nieświadomość w tak wielkiej skali, to mamy do czynienia z rezultatem zaplanowanej i skutecznie wdrożonej polityki. Niedawno miałem

okazję poznać wyniki poważnych badań socjologicznych nad niemieckim społeczeństwem, z których wynika, że Niemcy nie mają pojęcia, ilu obywateli Polski zginęło i zostało wymordowanych wskutek dokonanej przez nich agresji i okupacji. Niemieccy politycy przemawiający w Polsce przy okazji różnych uroczystości związanych z upamiętnieniem II wojny światowej przypominają nam te liczby i zapewniają o niemieckiej odpowiedzialności. Bardzo te słowa doceniamy i czekamy, aż Niemcy przejdą do czynów. Jesteśmy jednak rozczarowani, że ci sami niemieccy politycy nie wygłaszają takich samych przemówień w Niemczech.

Po odrzuceniu zasady jednomyślności w UE wystarczyłoby wygrać wybory w Niemczech, aby móc decydować o losie większości pozostałych państw, w tym Polski. Po tych zmianach nawet istnienie „partii niemieckiej” w naszym kraju nie byłoby już potrzebne

Mamy do czynienia z odseparowaniem pamięci niemieckiej i tej na eksport do Polski?

U siebie w domu Niemcy często prowadzą politykę przemilczenia i zapomnienia. Nie edukują własnego społeczeństwa o ponad 5 mln polskich obywateli – ofiar II wojny światowej. Wbr., 1 września, kanclerz Olaf Scholz nie zdobył się nawet na wpis w internecie, oddający hołd polskim ofiarom niemieckiej agresji i okupacji – po co Niemcom przypominać o zbrodniach, za które winni są Polsce zadośćuczynienie? Nie ma wątpliwości, że celem polityki kolejnych rządów Republiki Federalnej Niemiec było zredukowanie piętna, jakie ciążyło

na państwie niemieckim w związku z wywołaniem II wojny światowej i prowadzoną następnie polityką eksterminacji narodu żydowskiego oraz innych Untermenschów, w tym Polaków. Ograniczenie tej odpowiedzialności polegało na wykopaniu rowu mariańskiego między III Rzeszą, państwem nazistowskim a współczesnym państwem niemieckim.

Co to Niemcom dało?

Plan polegał na tym, aby obarczyć odpowiedzialnością nieistniejące państwo nazistowskie i uwolnić w ten sposób od odpowiedzialności istniejące państwo niemieckie. Tym samym rząd Niemiec może próbować odpowiedzieć na nasze żądanie rekompensaty za krzywdy i szkody wyrządzone w okresie II wojny światowej, odsyłając kopertę z naszą notą ze stemplem: „Adresat nieznany”. Tyle tylko, że my wiemy, iż mamy do czynienia z dłużnikiem unikającym odpowiedzialności poprzez próbę zmiany tożsamości.

Niemcy odrzucają polski postulat zmierzania się z tragicznym do dziś niezadośćuczynionym dziełstwem II wojny światowej. Jednocześnie coraz brutalniej zmierzają do uzyskania w Europie hegemonii. Jak pan ocenia to rozdwojenie? Czy niemiecka hegemonia, trwała i sformalizowana, jest w ogóle możliwa? Czy Polska może ją zaakceptować?

Można sobie wyobrazić dwie wizje Europy. Pierwsza jest oparta na hegemonii i dominacji największych państw Unii Europejskiej, zwłaszcza Niemiec. I druga – antyhegemonistyczna, respektująca suwerenną równość państw. Europa oparta na hegemonii nie ma przyszłości, gdyż w swej naturze jest antydemokratyczna. Zwolennicy Europy akceptującej w niej niemiecką dominację zmierzają do stworzenia sytuacji, w której demokratyczny wybór zostanie ograniczony do woli RFN i kilku bliskich jej państw. Ze względu na przewagę siły głosów Niemiec i kilku innych przy całkowitym planowanym odrzuceniu zasady jednomyślności w Unii Europejskiej wystarczyłoby wygrać wybory w Niemczech,

aby móc decydować o losie większości pozostałych krajów, w tym Polski, bez pytania o zdanie Polaków.

W tym momencie zależność stanie się sformalizowana?

Po tych zmianach nawet istnienie „partii niemieckiej” w Polsce nie byłoby już potrzebne. Do czasu ich wprowadzenia funkcjonowanie takiej partii, to znaczy środowiska politycznego zwasalizowanego przez Niemcy, łączącego swoje kariery ze stanowiskiem i poparciem Niemiec i ich interesów, w Polsce jest Berlinowi niezbędne. To dlatego zdecydowaliśmy się ogłosić referendum w czterech kwestiach, kluczowych dla suwerenności Polski i przyszłości naszego kraju. Chodzi o wzmocnienie mandatu politycznego przyszłego rządu w taki sposób, aby mógł on skutecznie sprzeciwiać się próbom takiej zmiany architektury instytucjonalnej w UE, która *de facto* likwidowałaby suwerenność narodu polskiego nad polskim państwem, a tym samym pozbawiałaby Polaków dobrodziejstwa demokracji. Po ustanowieniu tak planowanego, hegemonicznego systemu przez Niemcy walka z nim będzie bardzo trudna, gdyż będą oni twierdzić, że praworządność wymaga respektowania traktatów, a te według niemieckich planów zostaną tak zmienione, by gwarantować hegemonię Berlina. Tylko rząd PiS, wyposażony przez Polaków w silny mandat polityczny, będzie w stanie bronić europejskiej demokracji i przeciwstawić się niemieckim dążeniom do hegemonii w Europie.

Jest pan najdłużej urzędującym ministrem spraw zagranicznych w rządach Prawa i Sprawiedliwości. Jak by pan nakreślił po tym okresie cele i wizję polityki zagranicznej tego obozu politycznego?

W polityce zagranicznej kierowaliśmy się trzema fundamentalnymi zasadami, najpełniej i najsukceszniej realizującymi polską rację stanu. Przede wszystkim nie było dla nas ważniejszej kwestii niż bezpieczeństwo Polski i Polaków. Po raz pierwszy w historii na terytorium naszego kraju zaczęły stacjonować duże amerykańskie jednostki wojskowe, na-

stała zmiana doktryny obrony terytorium NATO, odejście od doktryny odstraszenia nieuchronnością kary w stronę odstraszenia Rosji gotowością do obrony każdego cala NATO-wskiego terytorium. W obliczu rosyjskiej agresji na Ukrainę Polska dzięki swojej suwerennej polityce, własnym przykładem, skłoniła sojuszników do natychmiastowego i zdecydowanego wspierania naszego wschodniego sąsiada, a zatem zmiany pierwotnego podejścia do tej wojny. W Niemczech do dziś nie mogą przeboleć, że musieli się dostosować do linii proponowanej przez Polskę i jej przykładu. To dlatego zapadła tam decyzja, aby zredukować polską siłę oddziaływania, doprowadzić do zmiany rządu w naszym kraju, rozbić współpracę pol-

Fiasco zachodnioeuropejskiej polityki migracyjnej jest bezsporne. W tej sprawie zgadzają się wszyscy

sko-ukraińską, a tym samym zniszczyć atrakcyjny punkt odniesienia, na którego tle widać było prorosyjską orientację niemieckiej polityki i niemieckie dążenia do hegemonii.

To punkt pierwszy. A drugi?

Drugą zasadą, którą się kierowaliśmy, to antyimperializm, wzmacnianie demokracji stosunków międzynarodowych i sprzeciwianie się wszelkiej dominacji i tendencjom hegemonistycznym. Dlatego polityka zagraniczna prowadzona przez Polskę w związku z rosyjską napaścią na Ukrainę okazała się tak skuteczna i atrakcyjna. Niemcy wiedzą, że nasz kraj, trzymając się tej zasady, będzie zagrożeniem dla ich dążeń do zwasalizowania Europy. Trzecia zasada to legalizm, czyli obrona porządku międzynarodowego opartego o przestrzeganie prawa międzynarodowego. Staraliśmy się wykorzystać do tego polskie przewodnictwo w Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Euro-

pie, które przypadło na czas rosyjskiej napaści na Ukrainę. Nie pozwoliliśmy Rosji na zniszczenie tej instytucji, gdyż to ułatwiłoby jej tłumaczenie, że potrzebna jest nowa architektura bezpieczeństwa w Europie, gdyż poprzednia uległa zniszczeniu. Co prawda w wyniku działań Rosji, ale kto by o tym za chwilę w Berlinie pamiętał?

Co w tym okresie uznaje pan za rozczarowanie, a co za największy sukces polskiej polityki zagranicznej?

Największym sukcesem było zbudowanie przez Polskę, w ścisłej współpracy ze Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią, skutecznej koalicji udzielającej Ukrainie wsparcia w powstrzymywaniu rosyjskiego imperializmu i odparciu agresji. To wielki triumf polskiej polityki, skutecznie wpłynęliśmy na politykę Waszyngtonu, Berlina i całej demokratycznej wspólnoty międzynarodowej do takiego stopnia, że zaczęto mówić o przesuwaniu się politycznego środka ciężkości w Europie z Berlina do Warszawy. To oczywiście była przesada, ale takie głosy pojawiły się nie bez powodu. A tym powodem była nasza skuteczna polityka. Największym rozczarowaniem – łatwość, z jaką Berlinowi udało się wbić klin między Polskę i Ukrainę.

Tak zdecydowały obecnie rządzące elity ukraińskie.

To oczywiście wynika z siły niemieckiego oddziaływania, politycznego i gospodarczego, oraz bezwzględności w dążeniu do celu, czyli zwasalizowania Europy. Ukraińskim politykom zaczęło się wydawać, że przyszłość będzie można zbudować w oparciu o niemiecką hegemonię w Europie. To oczywiście są mrzonki. W sytuacji kryzysu Niemcy, mając do wyboru Rosję i Ukrainę, zawsze postawią na Rosję. Polska zaś, stojąc przed tym samym dylematem, zawsze wybierze Ukrainę. Tak bowiem w praktyce wygląda różnica między polityką opartą o dążenia hegemonistyczne – prowadzi ona do powtarzania schematu paktu Ribbentrop–Mołotow, i polityką antyimperialną, prodemokratyczną, którą musi prowadzić Polska. Godząc się na zwasalizowanie Ukrainy

przez Rosję, musieliśmy sami się pogodzić z rolą wasala Niemiec. To dlatego współpraca polsko-ukraińska jest tak ważna – tylko razem możemy się przeciwstawić niemiecko-rosyjskiej tradycji współpracy i dominacji. Na szczęście polityka jest zjawiskiem dynamicznym i trzeba mieć nadzieję, że w Kijowie lepiej zaczną rozumieć strategiczne uwarunkowania współpracy z Polską.

Szczególnym wyzwaniem staje się przybierająca masowe formy presja migracyjna, niepokojąca opinię publiczną. To też jeden z najważniejszych tematów kampanii wyborczej, tej sprawy dotyczy jedno z pytań referendalnych. Jakie jest stanowisko w tej sprawie kierowanego przez pana resortu?

Niepokój Polaków wydaje się uzasadniony, gdyż fiasko zachodnio-europejskiej polityki migracyjnej jest bezsporne. W tej sprawie zgadzają się wszyscy. Warto jednak pamiętać, że to kanclerz Niemiec Angela Merkel wystosowała, w imieniu Unii Europejskiej – choć jak zwykle bez odpowiedniego do tego mandatu innych państw członkowskich UE – zaproszenie dla wszystkich poszukujących lepszych warunków do życia, aby przyjechali do Europy. Pani Merkel chciała narzucić wszystkim społeczeństwom europejskim sztuczną, niemiecką Wilkommenkultur, kultury otwartej na migrantów. Była to propozycja arbitralna, gdyż pani kanclerz nie uznała za stosowne uzyskać mandat niemieckiego społeczeństwa dla takiego zaproszenia. Znamy dalszy bieg wypadków. Jak zwykle gdy Niemcy popełnią błąd, jego konsekwencjami natychmiast chcą się podzielić z innymi państwami członkowskimi. Berlin wystąpił z propozycją przymusowej relokacji uchodźców napływających do RFN.

Ido propozycji wraca teraz, używając presji, nacisków.

Rozwiązanie moralnie niedopuszczalne, a politycznie szkodliwe. Ale pomysł ten pokazuje, po co Berlinowi rewizja traktatów, aby całkowicie wyeliminować prawo weta. Otóż po to, by w świetle

prawa móc narzucać swoją wolę wszystkim europejskim społeczeństwom. Rząd PiS nigdy się na to nie zgodzi. W Berlinie o tym wiedzą, dlatego tak mocno wspierają w Polsce swoich politycznych wasali. Sprawa kontroli granic i polityki migracyjnej to elementy bezpieczeństwa oraz ładu społecznego, którego ochrona jest konstytucyjnym obowiązkiem polskiego rządu. Dlatego nie zgodzimy się na przekazanie tych kompetencji instytucjom UE i rządowi Niemiec.

Opozycja stale podnosi temat tzw. afery wizowej. Jak pan odpowiada?

Przed wszystkim termin „afery wizowa” nie jest adekwatny do znanego już opinii publicznej stanu faktycznego. W ciągu ponad rocznych działań służb pod nad-

Największym rozczarowaniem jest jednak łatwość, z jaką Berlinowi udało się wbić klin między Polskę i Ukrainę. W Kijowie uwierzono, że przyszłość będzie można zbudować w oparciu o niemiecką hegemonię w Europie. To są mrzonki

zorem prokuratury zakwestionowano prawidłowość procedowania 268 wiz, w wyniku czego postawiono zarzuty siedmiu osobom spoza szeregów urzędników MSZ, aresztowano trzy z nich, jeden wiceminister poniósł odpowiedzialność polityczną za niesatysfakcjonujący nadzór nad departamentem konsularnym i został odwołany, a jeden urzędnik został zwolniony. W czasie gdy doszło do nieprawidłowości w procedowaniu tych 268 wiz, wydano ich wszystkich prawie 2 mln (w tym ponad 1,5 mln Białorusinom i Ukraińcom). A zatem skala nieprawidłowości sprowadzała się do jednej dziesiątej promila. Gdy zaś chodzi o moją osobę, to wiedziałem o pracy służb od

samemu początku, wspierałem je organizacyjnie i logistycznie, choć nie znałem całego zakresu podmiotowego i przedmiotowego ich dociekań. Kiedy pojawiły się pierwsze ustalenia, podjąłem decyzję o wdrożeniu audytu i nadzoru w służbach konsularnych i wypowiadaniu umów z firmami outsourcingowymi, które są wylaniane w przetargach decyzją mojego poprzednika Radosława Sikorskiego od 2011 r.

Czy ma pan sobie tu coś do zarzucenia?

Nie, w zaistniałej sytuacji nie mam sobie tu nic do zarzucenia.

Jak w pana ocenie może się zakończyć wojna rosyjsko-ukraińska?

Ukraina odniosła sukces, skutecznie broniąc swojej niepodległości. Rosji nie udało się zniszczyć i zlikwidować ukraińskiego państwa i narodu. Ale niezależnie od tego, jak ta wojna się skończy, Rosja w dalszym ciągu będzie zagrożeniem dla bezpieczeństwa i pokoju w Europie. Jeśli podbije Ukrainę, będzie się szykować do kolejnej agresji, gdyż uzna tę metodę za skuteczną. Jeśli Ukraina przetrwa – czym jesteśmy głęboko zainteresowani – a Rosja zostanie pokonana, to w jej polityce zaistnieje aspiracja do rewanzu. To są w zasadzie dwie podstawowe możliwości. Istnieje jeszcze wiele wariantów pośrednich. Pojawiają się pomysły zawieszenia broni, rozejmu, zamrożenia konfliktu. Ale trzeba mieć świadomość, że Rosja uważa wolną, niepodległą i demokratyczną Ukrainę za swoją antytezę.

Tamtejsza propaganda mówi wprost: chcemy w ogóle zlikwidować to państwo, wybić jego elity. Tam ma być Rosja.

Rosja nadal będzie uważała Ukrainę za egzystencjalne zagrożenie. Dlatego każdy rozejm wykorzysta do odzyskania sił i lepszego przygotowania się do kolejnej agresji na Ukrainę, a może także na innych sąsiadów. Dlatego najlepszy moment na pokonanie Rosji i złamanie rosyjskiego potencjału militarnego jest teraz. Może tego dokonać Ukraina przy wsparciu Stanów Zjednoczonych oraz koalicji wolnego świata, w tym Polski. ▀

Szlachetność oszczerców

Beatyfikacja Ulmów była wydarzeniem podniosłym. Powinno integrować narodową wspólnotę. Najwyższa ofiara, którą poniosła ta rodzina, broniąc śmiertelnie zagrożonych ludzi, swoich współobywateli, stanowi moralny drogowskaz. Nie oznacza, że taka była większość Polaków – czyn heroiczny z zasady jest wyjątkiem, a beatyfikacja wskazuje wybranych – lecz fakt, że byli i tacy, nobilituje oraz zobowiązuje



BRONISŁAW WILDSTEIN

Od razu jednak, i to na znaczącą skalę, podniosły się głosy kwestionujące nie tyle postawę Ulmów – ich ofiarę trudno zanegować – ile jej eksponowanie i celebrację. Jak niestety można było oczekiwać, kolejny raz został zademonstrowany obłęd opozycji, której horyzont wszystkiego wyznacza nienawiść do PiS. Z tej perspektywy upamiętnianie martyrologii Ulmów ma być jej karygodnym wykorzystaniem do propagandy politycznej. Czas jej obchodów miał zostać cynicznie zaplanowany na okres wyborów. Oznaczałoby to, że papież Franciszek chodzi na pasku Kaczyńskiego i dokonuje beatyfikacji w dogodnym dla niego momencie, ale nie takie absurdy obecna opozycja potrafi propagować.

Innym nonsensem jest ogólny zarzut, że PiS wykorzystuje ofiarę Ulmów w swojej polityce historycznej. Polityka owa polega właśnie na tym – za co szeroko rozumiana opozycja potępia prze-

cież obecny rząd – czyli odwołaniu się do heroicznych aktów jako punktów odniesienia wspólnoty i jej biegunów integracji. Nie oznacza to, że w narracji PiS nie wskazuje się na wstydlive epizody polskiej historii, przede wszystkim stale obecny w niej gen autodestrukcji, co przejawia się w zaprzaństwie, a najlepiej symbolizuje Targowica. Akcentowanie przez Kaczyńskiego ciągłości tego dziedzictwa aż do dzisiaj jest szczególnie piętnowane przez opozycję.

Oskarżenie polityków, że swoje postępowanie wykorzystują w walce o władzę jest jednym z licznych idiotyzmów, funkcjonujących nie tylko w III RP. Klasyczny polityk działa na rzecz wspólnoty i propaguje swoje przedsięwzięcia, aby uzyskać poparcie dla nich, a więc i dla siebie. Oburzanie się na to stanowi aberrację.

Poważniejszym jednak zjawiskiem są opinie, jakoby honorowanie Ulmów służyło mitologizacji historii, przesłaniało ciemne strony polskich dziejów i żywiło narodową megalomanię. W takich momentach zawsze pojawia się argument, że postawa Ulmów nie była powszechna, co jest wspomnianą już niedorzecznością. Gdyby bohaterstwo było normą, nie trzeba by eksponować jego reprezentantów, a sama ta idea przestałaby mieć sens. Kwestionujący honorowanie Polaków ratujących Ży-



dów odwołują się jednak zwykle do innego uzasadnienia i oskarżają naszych rodaków o niewłaściwą postawę wobec Holocaustu, zależnie od stopnia radykalizmu rzeczników tej interpretacji, mieszczącej się między obojętnością a współudziałem. Upamiętnianie tych, którzy Żydów ratowali, ma więc służyć przesłaniu radykalnie innej postawy ogółu społeczeństwa.

Tosprawa podstawowa, ponieważ określa wizerunek narodu. W dobie zakwestionowania wszelkich porządków aksjologicznych Holocaust pozostaje jedynym powszechnie uznawanym negatywnym punktem odniesienia, a więc to w odniesieniu do niego budowana jest ocena określonej zbiorowości. Pokazuje to raz jeszcze, jak rozchodzą się z rzeczywistością deklaracje utraty znaczenia historii. Ci, którzy to ogłaszają, zwykle chcą uzyskać monopol na odwoływanie się do niej.



ŹRÓDŁA POLONOFOBII

Oskarżenia Polaków o współudział w Holokauście wypływają z czterech niezależnych od siebie źródeł, które w praktyce się nakładają.

Pierwszym jest dominująca dziś lewicowo-liberalna ideologia – można ją nazwać ideologią emancypacji. Jej imperatywem jest uwolnienie się od sfery normatywnej cywilizacji zachodniej, a więc realnie od niej samej, co jest dokonywane poprzez atak na tworzące ją fundamenty, a więc chrześcijaństwo i mocne tożsamości, również narodowe. Polska jest wyjątkowym w Europie krajem, w którym ciągle silna jest religia i przywiązanie do tradycji. Uczynienie z niej współnika Holokaustu umożliwia tropienie jego źródeł w chrześcijaństwie i narodowej wspólnocie.

Ten motyw nakłada się na obecną grę polityczną w Europie, której dominujące siły, zarówno instytucjonalno-ideologiczny establishment, jak

III RP wyrosła na lęku przed jakoby zawsze nacjonalistyczną i ksenofobiczną postawą narodu. W tym nastawieniu łączyły się polityczne interesy oraz historyczne fobie polskiej lewicy, która przetrwała komunizm i sprzymierzyła się z jego pogrobowcami

i najsilniejsze państwa (Niemcy oraz Francja) usiłują zredukować nasz kraj do roli posłusznym peryferii.

Drugim czynnikiem jest polityka historyczna Niemiec i Rosji. Ci pierwsi, formalnie przyznający się do sprawstwa Zagłady, realnie coraz bardziej ją denacjonalizują, czyniąc winnymi mitycznych nazistów. Wyznawcy ideologii narodowo-socjalistycznej (jej drugi komponent jest pomijany i negowany we współczesnych interpretacjach) mogą pochodzić z każdego kraju, a więc nadużyciem byłoby wiązanie ich z Niemcami, a jeśli uznamy, że również Polacy są odpowiedzialni za Holokaust, operacja ta zostanie uwieczniona sukcesem.

Kamieniem węgielnym szczególnej pozycji Rosji ma być „wielka wojna ojczyzniana”, czyli

zwycięstwo nad III Rzeszą, co jest łączone z negacją zbrodni totalitarnego komunizmu. Propagatorzy tego podejścia robią wszystko, aby zafałszować pierwotny sojusz Moskwy z Hitlerem i współuczestnictwo w wywołaniu wojny, a więc także podziału Polski. Jeśli nasz kraj okaże się współnikiem w Holokauście, to zajęcie jego połowy można będzie przedstawić jako obronę mniejszości przed krwiożęrczymi Polakami. A podważenie naszej reputacji uczyni nas w ogóle radykalnie słabszymi na geopolitycznej arenie.

Wbrew pozorom rosyjska polityka historyczna potrafi rezonować na Zachodzie. Nie wprost, lecz przez ośrodki wpływu, które tam istnieją, choć transformują się od czasów zimnej wojny. Ich pośrednie oddziaływanie, tak na lewicowe, jak i wcale liczne rusofilskie środowiska, jest znaczny.

Trzecim czynnikiem polonofobii jest straumatyzowana pamięć żydowska – dla niej Polska to ziemia Zagłady. Wspomnienia ludzi, którzy przeżyli taką tragedię, są siłą rzeczy nieobiektywne, eksponują poczucie zagrożenia – takie nastawienie było niezbędne dla przeżycia Holokaustu. Niemniej Żydzi ocaleni na ziemiach polskich wcale nie zachowali negatywnego stosunku do naszego kraju, prezentując dużo bardziej wyważoną i pozytywną ocenę Polaków, niż dzieje się to dziś w Izraelu. Dopiero kiedy wymarli świadkowie, działania wywołane wspomnianymi motywami znalazły posłuch w żydowskich środowiskach na świecie, a naszemu krajowi, jako miejscu Holokaustu, bezrefleksyjnie przypisano za niego odpowiedzialność.

Działo się tak głównie dlatego, że obwinianie Polaków nie wzbudziło sprzeciwu. III RP współtworzyła opowieść o winie Polaków. Ten czwarty czynnik jest najważniejszą przyczyną zafałszowania najnowszej historii naszego kraju.

III RP wyrosła na lęku przed jakoby zawsze nacjonalistyczną i ksenofobiczną postawą narodu. W tym nastawieniu łączyły się polityczne interesy oraz historyczne fobie polskiej lewicy, która przetrwała komunizm i sprzymierzyła się z jego pogrobowcami. Dodatkowo wzmacniała je utopia końca historii

oraz wyobrażenie, że narodowości rozpływają się we wspólnej Europie. Opornym Polakom należało więc zohydzić ich narodową przynależność poprzez pedagogikę wstydu. Nasza historia miała być obiektem sromoty, czy to przez głupotę przodków, czy ich podłość. Wyrosła z niej tożsamość miała być czymś niegodnym i należało się jej czym prędzej pozbyć. Najbardziej radykalnym sposobem obrzydzania Polakom ich historii, a więc i tożsamości, było oskarżenie o współudział w Holokauście. W imię tego należało uderzyć w podstawowy obiekt naszej dumy, czyli zachowanie Polaków w okresie II wojny światowej.

Żydzi, którzy ocalili na ziemiach polskich, nie zachowali wcale negatywnego stosunku do naszego kraju, prezentując dużo bardziej wyważoną i pozytywną ocenę Polaków, niż dzieje się to dziś w Izraelu

To ideologiczne podejście wiązało się z rachubami politycznymi: zakompleksiony naród łatwiej zaakceptuje przewodnictwo elit, które ponad jego głowami będą go modernizować oraz europeizować, zresztą generalnie zbiorowością taką łatwiej rządzić. Naturalnie dla jej dobra.

POLONOFobia JAKO INTERES

Opisując przyczyny skutecznego, niestety, pomówienia Polaków o współudział w Holokauście, w żadnym wypadku nie twierdzę, że jego propagatorzy mieli świadomość całego kontekstu sprawy. Takich było niewiele. Reszta skupiała się na konkretnych działaniach powodowanych interesem, jak zawsze dowartościowanym ideologicznymi hasłami.

Najgłośniejszymi rzecznikami odpowiedzialności Polaków za Zagładę są historycy (czy uchodzący za historyków), profesorowie Jan Grabowski i Jan Tomasz Gross. Na oskarżaniu Polaków zrobili oni już międzynarodową karierę, mimo że wielokrotnie wytknięto im elementarne błędy i mistyfikacje. Kiedy Gross pisał interesujące książki na temat martyrologii naszego narodu w rodzaju „W czterdziestym nas Matko na Sibir zesłali...” pozostawał nieznany, a jego pozycja jako profesora w Yale była zagrożona. Gdy zaczął piętnować Polaków jako współników Zagłady, jego kariera ruszyła z kopyta.

Sprzeciw i oburzenie, wywołane przez jego rewelacje przy zachwycie rzeczników pedagogiki wstydu, spowodowały radykalizację postawy autora. W efekcie Gross stwierdził: „Polacy faktycznie zabili w czasie wojny więcej Żydów niż Niemców”, co zostało triumfalnie ogłoszone przez dziennik „Die Welt”.

Nieco podobne były losy Grabowskiego, który zaczął robić międzynarodową karierę dopiero jako prokurator polskiej winy. Poważniejszym zagadnieniem jest jednak to, że ich postawa w dużym stopniu znajduje wsparcie środowisk naukowo-intelektualnych w Polsce. Jedną z przyczyn jest przejście instytucji takiej jak Centrum Badań nad Zagładą Żydów przez ludzi reprezentujących podobną mentalność, czego dobitnym przykładem jest jej szefowa Barbara Engelking, wyznawczyni Grabowskiego.

Ten proces wiąże się z nastawieniem sporej grupy ludzi pochodzenia żydowskiego wywodzących się z rodzin tzw. żydokomuny. Nie chodzi o podtrzymywanie antysemitycznych stereotypów, zgodnie z którymi komunizm w Polsce zainstalowali i podtrzymywali Żydzi. Niemniej istotną rolę w pierwszym okresie PRL odegrali działacze pochodzenia żydowskiego. Tak jak wszyscy komuniści wyrzekli się narodowej przynależności na rzecz ideologicznego wyznania. Z czasem oni sami i ich potomkowie odchodzili od niego, lecz pozostało im poczucie odmienności i stało się ich jedyną identyfikacją. W III RP to ci ludzie zaczęli reprezen-

tować praktycznie nieistniejącą żydowską wspólnotę w Polsce. Wzmacniani poparciem z zewnątrz, polityką UE, systemem grantów i promocji, nieufni wobec polskiej zbiorowości, co wynieśli nie ze swojego żydowskiego dziedzictwa i komunistycznych doświadczeń, które polegały na wykorzenianiu Polaków z tradycji, współtworzą wyobrażenie ich jako antysemitów i tłuszczy.

Wszystkie te czynniki powodują, że większość przyzwoitych historyków trzyma się z daleka od problematyki Zagłady, a ci, którzy, jak prof. Grzegorz Berendt, uczciwie ją badają, są odsądzani od czci i wiary, jak zresztą cały IPN.

HOLOKAUST JAKO PAŁKA

Przy okazji beatyfikacji Ulmów mogliśmy obserwować poszukiwanie za wszelką cenę polskiej winy. W „Tygodniku Powszechnym” pojawił się artykuł, którego autorka podaje jako fakt, że po masakrze Ulmów chłopcy w Markowej wymordowali ponad 20 ukrywanych przed siebie Żydów. Na tym kłamstwie zbudował swój „szlachetny” komentarz redaktor nestor tygodnika Adam Boniecki. Wprawdzie w następnym numerze pojawiło się sprostowanie i wyjaśnienie mistyfikacji, lecz tak łatwe jej uleganie jest warte podkreślenia.

To kłamstwo ma szczególnie podły charakter, gdyż mimo skrajnego zagrożenia, demonstrowanego przez los zamordowanej rodziny, mieszkańcy Markowej do końca wojny przechowywali Żydów, ratując w ten sposób 21 osób. Tę sprawę dokumentuje poruszający film Mariusza Pilisa pt. „Historia jednej zbrodni”.

Ujawnienie niegodziwości ich oskarżenia powinno wywołać wstrząs. Nie wywołało. Powinno skompromitować tych, którzy, jak Grabowski, propagowali to oszczerstwo. Nie skompromitowało. Opiniotwórcze środowiska czują się usprawiedliwione tym, że walczą z polską megalomanią. To, iż istnieje ona wyłącznie w ich wyobraźni, nie ma znaczenia. Szlachetności rzeczników polskich win ma dowodzić to, że jako Polacy najpierw chcą się z nimi rozliczyć. Ta wielkoduszość okazuje się

swoim zaprzeczeniem. Przedstawiciele elit biją się w piersi moherowego ludu; nie tylko nie czują się solidarni z nim, lecz na każdym kroku podkreślają obcość i niechęć, żeby nie powiedzieć – pogardę wobec niego. Elementem tego jest poczucie wyższości wobec jakoby „niepogłębionego” ludowego katolicyzmu. Współczucie środowiska te demonstrować wyłącznie wobec ahistorycznie traktowanych, dawno minionych krzywd polskiego ludu, które mają służyć kompromitacji naszych dziejów.

Kompleks tych spraw ujawnia się przy okazji filmu „Zielona granica”

Najbardziej radykalnym sposobem obrzydzania Polakom ich historii, a więc i tożsamości, było oskarżenie o współudział w Holokauście. W imię tego należało uderzyć w podstawowy obiekt naszej dumy, czyli zachowanie Polaków w okresie II wojny światowej

Agnieszki Holland. Polscy pogranicznicy, broniący państwa przed operacją Putina, są tam przedstawiani jako SS-mani. Sytuacja imigrantów z trzeciego świata, wabionych przez Łukaszenkę w celu destabilizacji naszego kraju i przybywających nad jego granicę, jest porównywana z zagładą Żydów. Lewicowi krytycy, np. Jakub Majmurek w „TP”, piszą to wprost.

To kolejny dowód na to, jak jedna z największych tragedii ludzkości jest traktowana przez lewicowo-liberalne ośrodki. Służy jako poręczna pałka w ideologiczno-politycznych starciach. Oznacza to jej realne lekceważenie, które musi prowadzić do banalizacji, a w konsekwencji odbierania znaczenia Holokaustowi.

IGNORANCJA PRZECIW POLSCIE

Pod ciężarem wymienionych już presji badania zagłady Żydów w Polsce zostały sprowadzone do tropienia polskiego udziału w niej, a w efekcie odciążania jej realnych sprawców, co w sporej mierze zademonstrowała publikacja CBnZZ „Dalej jest noc”. Dopiero od niedawna na poważnie Holokaustem zajął się IPN. Aby uniknąć z nim polemiki na gruncie merytorycznym, dominujące ośrodki opiniotwórcze w kraju i za granicą usiłują go zdezawuować. To typowe zachowanie.

W efekcie w małym stopniu odpowiedzieliśmy na podstawowe pytanie: jak Polacy zachowali się wobec Zagłady.

Odpowiedź nie polega na piętnowaniu kryminalnego marginesu, rozrastającego się w warunkach wojny, czy akcentowaniu demoralizacji, która jest nieunikniona w nieludzkich czasach – prawdziwe wyjaśnienie podsumowuje postawy polskich oficjalnych władz i ich reprezentacji, a także zestawia postępowanie poddanych szczególnej presji Polaków z innymi narodami w tych samym położeniu. Okazuje się, że nie mamy się czego wstydzić. Wręcz przeciwnie. Nie oznacza to, że nie istniało szmalcownictwo, wykorzystywanie trudnego położenia Żydów, że większość ludzi, porażona strachem i presją walki o przetrwanie, angażowała się w skrajnie ryzykowne przedsięwzięcie pomocy Żydom. Polacy nie są narodem aniołów i jak wszyscy podlegają mechanizmom społecznym. A jednak zarówno jako państwo, jak i naród, zachowaliśmy się godnie.

Niestety, również naturalnym odruchem niesprawiedliwie oskarżanej wspólnoty jest autoapologia i agresja wobec zbiorowości, którą najłatwiej uznać za winną tego stanu rzeczy. W tym wypadku oznacza to reakcje antysemitów, na szczęście ciągle jeszcze stosunkowo nieliczne, o jakich marzą liberalne środowiska. A wszystko to wiąże się z ogromnymi i długofalowymi kosztami, ponoszonymi przez naród i państwo polskie.



Fot. Michał Dyjak/REPORTER

Za granicą nienawiści. Do Polski

Agnieszka Holland chciała, by jej nowy film stał się centralnym punktem kampanii wyborczej. Udało się jej. To dobrze, bo dzięki temu możemy zobaczyć, jaki stosunek do polskiego bezpieczeństwa ma klasa polityczna. Możemy sobie wyobrazić, co zrobiłaby na wschodniej granicy opozycja, gdyby jednak przejęła władzę. Wniosek jest jeden – zaporą by zniknęła, a tabuny nielegalnych przybyszków z Afryki i Azji zostałyby wpuszczone do Polski

**MAREK PYZA**

W dyskusji o tym, co zrobiła Agnieszka Holland, można zająć dwa stanowiska. Wspierać państwo polskie, polskich żołnierzy i funkcjonariuszy, tak brutalnie zaatakowanych przez artystkę, albo dołączyć do niej i wspólnie płynąć rzeką nienawiści. Niewiele jest miejsca

na postawę pośrednią. Wypatrywanie go, doszukiwanie się jakichś półcieni, niuansów i częściowe choćby usprawiedliwianie reżysera to tylko pozorny obiektywizm.

Rzecz dotyczy bowiem sprawy fundamentalnej – naszego bezpieczeństwa i stosunku do ojczyzny. Czy jakiegol-

wiek podważanie sensu jej obrony da się połączyć z patriotyzmem? Nie. Czy można godzić się na zniesławianie Polski za granicą za pomocą wzruszająco opakowanych kłamstw? Nie.

A jednak elity III RP się tego podejmuje. Opozycja, osławiająca się z kolejną wyborczą klęską, zupełnie straciła słuch społeczny i odkrywa swoje prawdziwe plany. Jej reakcje na „Zieloną granicę” mówią nam więcej niż sam film. Nie stanowią bowiem wypowiedzi artystycznej, zakłętej w przejmujących zdjęciach i innych filmowych sztuczkach, lecz twardą postawę tu i teraz, w konkretnych realiach. Ta rzeczywistość to trwająca barbarzyńska wojna tuż za naszą granicą i wojna hybrydowa, której celem stał się nasz kraj. To katastroficzna dla Starego Kontynentu fala nielegalnych migrantów, stanowiąca wręcz zagrożenie dla europejskiej cywilizacji.

I w takim czasie do Polski przyjeżdża pani Holland (na stałe mieszka za granicą), by na 2,5-godz. gniota przekuć swoją wizję bliskiej przyszłości: „Nie boję się, że przestaniemy istnieć jako biała rasa. Sami ku temu zmierzamy. Już się nie reprodukujemy. Robimy miejsce dla innych. Może coś lepszego się z tego narodzi”. Warto sobie uświadomić, że obrona „Zielonej granicy” to *de facto* podpisywanie się pod powyższym zdaniem z wywiadu Holland dla „Polityki”. I kolejnym, stanowiącym odpowiedź na pytanie, czy przyjmimy kilkaset milionów migrantów z Afryki: „Jakie mamy wyjście? Zastąpią nas, jak barbarzyńcy zastąpili Rzymian”.

Dlaczego politycy autoryzujący „Zieloną granicę” nie powtórzą tego głośno za artystką? Kieruje nimi wstyd czy resztki instynktu samozachowawczego w czasie kampanii? To drugorzędne, bo prawdziwe intencje i tak są widoczne.

To dlatego Jarosław Kaczyński powiedział: „Film Agnieszki Holland jest przygotowaniem do wyburzenia zapory na polsko-białoruskiej granicy oraz zgody na przymusową relokację”.

Czy przesadził? Uważnie przeanalizowaliśmy wypowiedzi polityków

opozycji w ostatnich dniach. Wynika z nich, że prezes PiS ma rację. Ten film ma oswoić opinię publiczną z likwidacją zapory i zaszczyć zgodę na wypuszczenie pchanych tu setkami tysięcy obcych kulturowo nielegalnych migrantów. Stąd taki zalew nienawiści do Polski, do obrońców naszych granic. Stąd pełna moc we wspieraniu nowego obrazu Holland.

DECYZJA NA SAMEJ GÓRZE

Po pokazie filmu w kinie na warszawskim Żoliborzu Holland miała powiedzieć zgromadzonemu, że Platforma Obywatelska wywierała na nią naciski,

„Nie boję się, że przestaniemy istnieć jako biała rasa. Sami ku temu zmierzamy. Już się nie reprodukujemy. Robimy miejsce dla innych. Może coś lepszego się z tego narodzi” – warto sobie uświadomić, że obrona „Zielonej granicy” to *de facto* podpisywanie się pod powyższym zdaniem Agnieszki Holland

aby nie puszczała tego filmu przed wyborami, bo przez to mogą przegrać. Czy usłyszała to od samego Donalda Tuska? Raczej nie. Jak ujawniliśmy w „Sieci” przed tygodniem, lider PO przyjął panią reżyser w siedzibie partii i miał być przez nią namawiany do mocnego odpalenia filmu w czasie kampanii. Holland miała przekonywać, że to pogrzebi PiS.

Może zatem Tusk się z nią zgodził, a żoliborską wypowiedź artystki należy czytać jako próbę osłony dla jej ukochanego ugrupowania? Bo przecież politycy Platformy nie dają po sobie poznać, że film może przekreślić ich szanse na

zwycięstwo i na wyścigi bronią paszkwilu Holland.

Decyzja o takiej taktyce musiała zapisać na samej partyjnej górze. Trwa kampania, w której każdy drobiazg może zdecydować. Na samowolkę nie ma więc miejsca.

PO stanęła przed trudnym pytaniem: jak zareagować na film? I bez większego namysłu wybrała odpowiedź – murem za Holland. Czy rozumieją konsekwencje tej decyzji? Prawdopodobnie tak, lecz mamy tu chyba do czynienia ze zbyt silnym elementem ich tożsamości, by byli w stanie się zreflektować.

Holland powiedziała w rozmowie z OKO.press: „Opinia publiczna była w pewnym sensie, w swojej masie, odcięta od tego, co się tam naprawdę działo. A ja po prostu zebrałam wszystkie możliwe dokumenty, świadectwa, fakty i pokazałam prawdę, którą oni chcieli ukryć”. Dalej przyznaje: „może daję paliwo [PiS – przyp. red.], ale naprawdę nie może być tak, że jest tylko jedna narracja na temat granicy polsko-białoruskiej”.

„Prawda” Holland to w rzeczywistości kalejdoskop tyleż tandetnych, co haniebnych wymysłów, *vide* scena z rzucaniem przez strażników granicznych ciężarnej kobiety na drut kolczasty czy z przetrzuceniem migrantom termosu z potłuczonym szkłem. Politycy doskonale wiedzą, że nic takiego nie miało miejsca. A jednak zdecydowali się te kłamstwa (i wiele innych) podbijać.

Adam Bodnar (kandyduje do parlamentu w ramach paktu senackiego) najpierw opublikował zdjęcie z premiery „Zielonej granicy” z komentarzem: „Kiedy zaciera się granica między filmem fabularnym a dokumentalnym”, a w Tok FM pogłębiał tę myśl: „Udało się Agnieszce Holland osiągnąć coś niezwykłego, stworzyć dzieło filmowe, jednocześnie pokazujące tak głęboko rzeczywistość od sierpnia 2021 r., czyli od kryzysu w Usnarzu Górnym”.

Na premierze stawiał się też Paweł Kowal z PO. Jego przekaz był lapidarny i jednoznaczny: „»Zielona granica«. Premiera. Teraz. Wspierajmy Agnieszkę Holland!”.

Klaudia Jachira na Facebooku: „Są politycy, którzy za mówienie prawdy porównują reżyserkę filmu »Zielona granica« do III Rzeszy. Ale są też polityczki, które są dumne z polskiej reżyserki, która ma odwagę mówić prawdę, nazywać zło złem i podobnie jak my wie, że każdy człowiek zasługuje na szacunek i pomoc w potrzebie”.

Franciszek Sterczewski (poseł KO) na X: „Film swoim realizmem i pełnią obrazu porusza do szpiku kości”.

Jeszcze dobitniej wyraziła to europosel KO Janina Ochojska: „Film DO-
KŁADNIE odzwierciedla wydarzenia, które miały i mają nadal miejsce na granicy PL-BY”.

Krzysztof Gawkowski z Nowej Lewicy w Polsat News: „W PiS mówią, że film Holland niszczy polski mundur, a to nieprawda, bo dostaje europejskie nagrody i pokazuje prawdę [...]. Nie czuję, nie wierzę i nie jestem zwolennikiem tezy, że ktoś atakuje polski mundur”.

SZCZEROŚĆ OPOZYCJI

Może to tylko takie rytualne wsparcie – skoro PiS odsądza od czci i wiary Agnieszkę Holland, to z automatu trzeba stanąć po jej stronie? Nie. Tu chodzi o coś więcej. O głębokie przekonanie polityków opozycji, że to artystka ma rację, a jej poglądy są tożsame z wyznawanymi przez nich.

Jaka jest odpowiedź pani reżyser na kryzys migracyjny? Nieraz powtarzała to, co zacytowaliśmy na wstępie: wpuścić wszystkich! We wspomnianym wywiadzie dla „Polityki” padło jeszcze coś, co trzeba przywołać. Jacek Żakowski sufluje: „»Małe zło« obudzone przez władzę w lokalnych funkcjonariuszach staje się »wielkim złem« w walce o świat”, a pani reżyser dopowiada: „To są naczynia połączone. Paru skur...synów i głupców noszących polskie mundury może uruchomić lawinę niewyobrażalnych globalnych konsekwencji”. Tak, to ta sama Holland, która w TVN24 twierdziła: „Mój film jest uczciwym filmem prawdziwej patriotki. Zrobiłam go z miłości do Polski”.

Jak wygląda ta miłość? Sięgnijmy do słów autorki „Obywatela Jonesa” z 2013 r. Powiedziała wtedy w Radiu Zet: „Mieszkam i pracuję poza Polską. Kiedy przyjeżdżam, uderza mnie fala niedobrego powietrza, coś takiego jakby w zamkniętym pomieszczeniu ktoś bez przerwy puszczał bąki. Jest coś takiego, że jest duszno”. Chyba nikt nie chciałby być obdarzony taką miłością – iście nienawistną.

„Patriotka” Holland swoimi występiami ośmiela więc polityków. Niektórzy z nich tracą wycucie i mówią to, co im w duszy gra. Jak posłanka Nowej Lewicy Małgorzata Prokop-Paczkowska, która w „Strefie starcia” w TVP najpierw zgodziła się, że skoro „w tej chwili” ta zaporą jest, to powinna zostać, by jednak za

Może to tylko takie rytualne wsparcie – skoro PiS odsądza od czci i wiary Agnieszkę Holland, to z automatu trzeba stanąć po jej stronie? Nie. Tu chodzi o coś więcej. O głębokie przekonanie polityków opozycji, że to artystka ma rację, a jej poglądy są tożsame z wyznawanymi przez nich

chwilę użyć skandalicznego porównania: „Kiedyś był mur berliński. Ja jestem ze Szczecina i byłam wtedy w tym dniu, kiedy ten mur został zburzony. Wszyscy chyba byśmy chcieli, żeby takie mury i takie zapory nie musiały istnieć”.

Jana Shostak, gdy jeszcze była kandydatką do Sejmu z list PO, mówiła wprost: „Jestem za tym, żeby ten mur został użyty do przetworzenia na ogrodzenia albo blachy dla mieszkańców i mieszkańek Podlasia, którzy są bardzo kreatywni w swoich domach i sta-

rają się używać wszystkiego, co mają”. Ostatecznie Platforma ją z list skreśliła, lecz nie za tę wypowiedź, a domaganie się prawa do aborcji aż do końca ciąży. Szybko jednak przytuliła ją Nowa Lewica i domagająca się zburzenia zapory aktywistka wciąż ma szansę zdobyć mandat posła.

Władysław Frasyniuk co prawda nie kandyduje, ale całym sercem wspiera Platformę, a w zaprzyjaźnionych z nią mediach występuje jako polityczny autorytet. Pojawił się na konferencji kandydatów PO w stolicy Dolnego Śląska, gdzie powiedział „Gazecie Wrocławskiej”, że nie zamierza przeproszać strażników granicznych i żołnierzy, obrażonych przez niego w 2021 r., że wojska na granicy w ogóle nie powinno być, a zaporą powinna zniknąć. „Jestem zwolennikiem, by mur rozebrać i postawić go w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, bo ten mur podbił tylko cenę korupcyjną dla tych, którzy na tych zezwoleniach zarabiali”.

Jerzy Borowczak, poseł i kandydat PO na posła, zapytany w Polskim Radiu, czy wpuszczać imigrantów do Polski, odpowiedział błyskawicznie: „Wpuszczać. Ja uważam, że każdego można sprawdzić, jeśli chodzi o możliwości państwa. Nie mówię, żeby 1000 jednego dnia, ale po 100 osób, po 20 osób i jeśli nie uciekają przed wojną, tylko jest to emigracja zarobkowa – no to wtedy odstawiać ich z powrotem. Taniej by nas kosztowała odwózka tych ludzi do Nigerii czy do innego państwa, z którego oni pochodzili, jak stawianie murów i angażowanie setki tysięcy ludzi do ochrony tej granicy”.

To utopia, abstrahująca od doświadczeń innych państw. Więcej – dlaczego państwo miałoby sobie zawracać głowę odstawianiem najeźdźców do ich ojczyzn? Łatwiej jest nie wpuścić ich na nasze terytorium. Poza tym dla uchodźców wojennych istnieją dobrze znane procedury ubiegania się o azyl, lecz śniadzi chłopcy pojawiający się w przygranicznych lasach nie chcą z nich korzystać. Czym poskutkowałoby wdrożenie koncepcji Borow-

czaka? Totalnym chaosem, płonącymi ośrodkami dla azylantów, ucieczkami z nich, a ostatecznie jakąś kapitulacją państwa pod wzburzoną falą niechcianych przybyszów. Przykłady z Niemiec czy Włoch niektórych nie nauczyły niczego.

Trzeba jednak docenić szczerą wypowiedź. A jeśli dla kogoś to za mało, niech sięgnie po twarde dane. Politycy mieli bowiem okazję już się opowiedzieć w omawianych sprawach w najbardziej wiarygodny sposób – wypełniając swoje mandaty. Gdy w Sejmie głosowano nad budową zapory, posłowie Platformy, Lewicy i Polski 2050 byli przeciw. Gdy zaś w czerwcu br. w Parlamencie Europejskim głosowano nad paktem migracyjnym (czyli przymusową relokacją), „za” podniosła rękę ósemka polityków Platformy, Lewicy i Polski 2050, a kolejnych ośmiu nie głosowało lub wstrzymało się od głosu (czyli nie sprzeciwili się pakto-owi, w tym gronie był też europoseł ludowców).

Resztki zdrowego rozsądku w opozycji słychać tylko w wypowiedziach niektórych polityków PSL. Władysław Teofil Bartoszewski w rozmowie z portalem wPolityce.pl przyznał, że „nie wybierze się na to do kina”, a poczeka, aż film pojawi się w serwisach streamingowych. Fragmenty pokazane już publicznie nazwał szokującymi. Stwierdził, że „z całą pewnością powinniśmy być wdzięczni Straży Granicznej” i że „nie można krytykować ludzi, którzy z narażeniem swojego zdrowia starają się zatrzymać zgodnie z prawem nielegalnych migrantów”. Uznał też, że emisja filmu przed wyborami to dla opozycji strzał w stopę. „Myślę, że ktoś ze świata polityki nierozsądnie podpowiedział, moim zdaniem nawet bezrozumnie. PiS może zacząć mówić: »Totalna opozycja atakuje mundurowych«. [...] To był błąd polityczny, że ten film został puszczony do kin przed wyborami”.

Władysław Kosiniak-Kamysz dodał, że on by „Zielonej granicy” nie dofinansował, jak zrobił to marszałek województwa mazowieckiego Adam Struzik (PSL), wcześniej zaś pisał, że „jakiegokolwiek obraz tworzący wrażenie agresji ze strony Polski jest po prostu nieprawdziwy”. Lecz w opozycji takie

głosy jak dobywające się z obozu ludowców są odosobnione. Przecież nawet jego współkoalicjanci z Polski 2050 Szymona Hołowni mają zupełnie inne zdanie. Człowiek nr 2 w tym obozie, Michał Kobosko, pochwalił się zdjęciem, na którym serdecznie obejmuje Holland tuż przed premierą filmu na festiwalu w Gdyni.

GRANICA JAK WIETNAM

„Zielona granica” ma zostać pokazana w FilMOTECE Watykańskiej, a także na współorganizowanym ze Stolicą Apostolską festiwalu Tertio Millennio w Rzymie. Po pojawieniu się tej informacji w lewicowo-liberalnym kotle zabułgotała euforia, niewykluczone, że akolici Platformy zaczną nawet na wysłuch przyjmować i odnawiać sakramenty. Na autorytet Stolicy Piotrowej powołują się wszak dziś ci sami ludzie, którzy przed chwilą nawoływali do równania Kościoła katolickiego z ziemią, widząc w nim samo zło.

Nie może dziwić, że w Watykanie znaleźli się hierarchowie wyciągający pomocną dłoń do Holland i autoryzujący jej kłamstwa o polskim pograniczu. Pamiętajmy, że w pierwszą zagraniczną podróż po wyborze na papieża Franciszek udał się na Lampedusę, by wstawić się za nielegalnie najeżdżającymi wyspę migrantami. Postawa biskupa Rzymu na pewno nie pomogła rozwiązać problemu imigranckiego, za to przyczyniła się do destabilizacji wielu europejskich państw i całego Starego Kontynentu.

Czy polski katolik ma prawo nie zgadzać się z politycznymi decyzjami zapadającymi za Spisową Bramą? Oczywiście. Zwłaszcza jeśli te decyzje podważają prawo i sens obrony naszej ojczyzny przed zagrożeniami z zewnątrz. Możemy więc się oburzać na relatywizowanie przez Franciszka „ruskiego miru” na Ukrainie, podobnie jak możemy – i powinniśmy – protestować przeciw oczernianiu Polski przez kłamliwą propagandę kinową.

Dystrybutor „Zielonej granicy”, zapowiadając watykańską ofensywę, powołał się na to, iż przedstawiciele duchowieństwa i publicyści katoliccy rzekomo piszą o dziele Holland „w samych superlatywach”. Wymieniono

po jednym autorytecie w każdej z tych kategorii – o. Tomasza Dostatniego (dominikanin, chyba częściej pojawiający się publicznie bez habitu niż w nim, równie chętnie piszący homilie co artykuły do wojującej z Kościołem „Gazety Wyborczej”) oraz dyżurnego „publicystę katolickiego” Tomasza Terlikowskiego. Ten ostatni nazwał film „ważną lekcją chrześcijaństwa w niełatwych czasach”. Szkoda, że nie wpadł jeszcze na to, iż wcielenie w życie migracyjnych ideałów Holland to przepis na koniec chrześcijaństwa w Europie. Oby nie było już za późno, gdy się wreszcie opamięta.

Warto tu przywołać trafną analogię, po którą sięgnął w rozmowie z wPolityce.pl historyk prof. Mieczysław Ryba: „Proszę pamiętać, że mamy do czynienia z wojną hybrydową przeciwko Polsce. Kiedyś wojnę zwykłą, w Wietnamie, Amerykanie przegrali, ponieważ przegrali ją w mediach. Nie na froncie, tylko w mediach! Kiedy załamał się w Ameryce etos służby publicznej w wojsku. I to samo próbuje się powtórzyć w Polsce. Tak jak skandaliczne było, kiedy Jane Fonda solidaryzowała się z komunistami wietnamskimi, tak dziś mamy »występy« naszych aktywistów na granicy z Białorusią i »Zieloną granicę«. [...] Rzeczywiście, film Agnieszki Holland wspiera wizję i narrację opozycji. Tyle tylko, że Polacy tej wizji nie podzielają”.

Na szczęście w efekcie burzy, jaka powstała wokół tej antypolskiej produkcji, tę wizję możemy zobaczyć jak na dłoni. I ze skrajnym niepokojem myśleć o tym, co wydarzyłoby się na wschodniej granicy, gdyby opozycja pod przewodnictwem Donalda Tuska przejęła władzę.

Dostajemy też koronny argument, że trzeba wziąć udział w referendum, by zatrzymać szaleństwo, jakie chce nam zaserwować zdecydowana większość opozycji. Przecież wypowiedzi jej przedstawicieli z ostatnich dni wskazują, że przynajmniej na dwa referendumne pytania odpowiedzieliby dziś twierdząco.

Może się więc okazać, że wyniki głosowania będą kluczowe dla obrony zapory na granicy i niewpuszczenia nielegalnych migrantów do Polski. Nie wolno nam tego zbagatelizować. ➤



Kieszonkowy Wielopolski

*Donald Tusk powiela działania
margrabiego Aleksandra Wielopolskiego,
tyle że w wersji farsowej*



Donald Tusk politycznie zdaje się powtarzać drogę, jaką w latach 1861–1863 przeszedł margrabia Aleksander Wielopolski, od 1862 r. naczelnik rządu cywilnego Królestwa Polskiego. To droga, w której ignoruje się dwie fundamentalne dla Polaków wartości: suwerenne państwo i samostanowienie narodu. Wystarczy autonomia. W przypadku Wielopolskiego w ramach Cesarstwa Rosyjskiego, w przypadku Tuska w ramach europejskiego superpaństwa, którego ramy postanowiono dopiąć we wrześniu i październiku 2023 r. O ile Wielopolski musiał się liczyć z takim czynnikiem, jak rosyjska armia i aparat urzędniczy zaborcy, na które nie miał wpływu, o tyle Tusk sam robi wiele, żeby decydujący głos w polskich sprawach miał aparat urzędniczy Unii Europejskiej oraz mniej lub bardziej jawnie przedstawiciele niemieckiego rządu i niemieckich elit. Wielopolski często musiał uwzględniać czynnik zewnętrznego przymusu, Tusk chce go uwzględnić, żeby w ten sposób zyskać przewagę w wojnie z przeciwnikiem wewnętrznym. Dla Wielopolskiego dogadywanie się z carem wynikało z historycznego determinizmu, a nawet fatalizmu, Tusk uważa, że rozplnięcie się Polski w Unii Europejskiej jest najlepszym możliwym wyborem, także z historycznej perspektywy. Wielopolski był powszech-



STANISŁAW JANECKI

nie nienawidzony za to, co robił, na co odpowiadał: „Dla Polaków można czasem coś dobrego zrobić, ale z Polakami nigdy”. To by z grubsza odpowiadało temu, co Tusk zawarł w zdaniu, że „polskość to nienormalność”. Chyba nieprzypadkowo przewodniczący PO budzi równie silne emocje, jak w latach 60. XIX w. Wielopolski. Tym bardziej że podobnie jak on uważa się za zbawcę Polski.

STRATEGIA REZYGNACJI

Hrabia Aleksander Wielopolski przeszedł do historii jako polityk przegrany i splamiony współpracą z zaborcą. Jego działania, które on sam uważał za zbawienne dla Polski, w żaden sposób nie odpowiadały oczekiwaniom społeczeństwa. Reformy, potrzebne krajowi i korzystne dla niego, były jednak w dużej części cofaniem się, i to aż o trzy dekady. A tym nikt nie był zainteresowany. Domagano się nie autonomii, lecz niepodległości i suwerenności. Domagano się

granic z 1772 r. W 2023 r. Polacy też nie chcą cofnięcia się nawet o trzy dekady, gdy kompromis z komunistami, a *de facto* przyjęcie ich warunków uznano za wielki sukces. Polacy nie chcą autonomii w ramach europejskiego superpaństwa, lecz pełnej niepodległości i suwerenności. W swoim biegu po władzę Tusk napotyka więc podobne przeszkody, jakie Wielopolski, gdy układał się z carem Aleksandrem II. Margrabia uważał, że nie da się dla Polski zyskać więcej, niż on zaplanował i przeprowadził, a kto tego nie rozumie, jest zdrajcą i idiotą. Tusk też chyba uważa, że to, co on jest w stanie uzyskać w ramach europejskiego superpaństwa, jest absolutnym maksimum, a kto tego nie rozumie, zdradza Polskę i jest idiotą. Aspiracje Polaków były i są jednak inne. Dlatego zarówno Wielopolski, jak i Tusk są symbolem władzy odmawiającej Polakom tego, co im się należy i na co zasługują.

Wielopolski godził się na rezygnację z polskich roszczeń do ziem na wschód od Królestwa Polskiego, Tusk zgodzi się na rezygnację z reparacji od Niemiec. Wielopolski gwarantował, że kwestia ziem przejętych w rozbiorach już nigdy się nie pojawi. Tyle tylko, że te ziemie były wtedy dla Polaków kwestią fundamentalną pod względem politycznym i emocjonalnym. Wielokrotnie dawano do zrozumienia, że nie wyrzeknie się granic z 1772 r. W 2023 r. chodzi o naro-

dową spójność i tożsamość, zagrożoną przez masy nielegalnych imigrantów. Ich wpuszczenie do Polski, gdyby rządził Tusk, jest czymś podobnym jak pogodzenie się z utratą części polskiego terytorium w czasach Wielopolskiego i zapomnienie o żyjących tam Polakach. Od cara margrabia usłyszał: żadnego narodowego wojska, konstytucji ani sejmu, wystarczy Rada Stanu i polski system oświatowy, choćby z wyższą uczelnią. Wystarczą odrębność administracyjna, polski samorząd, urzędy, wybory lokalne, rady miejskie. Gdyby Tusk rządził i zaaprobował przekształcenie ustroju UE w superpaństwo, koncesje dla Polski byłyby podobne, jak te przedstawione Wielopolskiemu, a może nawet mniejsze.

PATRIOCI NA ODWRÓT

Nawet w 2023 r. dla tzw. realistów Wielopolski jest wzorem polityka i patrioty, choć jemu współcześni wcale go za patriotę nie uważali. Ma być ofiarą romantycznych szaleńców, nierozumiejących, jak się powinno uprawiać politykę. Podobnie sądzą o Tusku jego zwolennicy. Za takimi poglądami kryje się marketingowa kreacja, a nie rzeczywistość. Podobno do woli Wielopolskiego nagiął się car i rosyjskie imperium, dzięki czemu Polacy, nawet jeśli krnąbrni i nierozumiejący ducha dziejów, zyskali swobody i przywileje. Do woli Tuska miała się z kolei nagiąć Angela Merkel. W rzeczywistości Aleksander II oraz kanclerz Merkel narzucali to, co sami chcieli. A nawet margrabia miał więcej do gadania niż Tusk, bo jednak zatrzymał jednocześnie się Kongresówki z Rosją, zaś przewodniczący PO raczej dąży do przyspieszenia jednoczenia się w ramach europejskiego superpaństwa. Nieważne, że w czasach margrabiego Polska nie była suwerenna i niepodległa, ważne, że ta część, którą zagrabiała Rosja, mogłaby mieć taką autonomię, jak Galicja pod zaborem austriackim. Zamiast niepodległości wystarczy polonizacja w ramach autonomii. Czy plany Tuska nie są podobne?

Gdy w 2014 r. Tusk został przez Merkel nagrodzony stanowiskiem przewodniczącego Rady Europejskiej, można

to porównać do nagrodzenia Wielopolskiego stanowiskiem naczelnika rządu cywilnego Królestwa Polskiego w czerwcu 1862 r. W latach 60. XIX w. dzięki temu, że nowym namiestnikiem w Warszawie został podobno świątły i otwarty brat cara wielki książę Konstanty Nikołajewicz, Wielopolski razem z nim mógł poszaleć w kwestii autonomii. Tak jak Tusk poszalał w kwestii autonomii dla Polski najpierw w War-

Dla Wielopolskiego dogadywanie się z carem wynikało z historycznego determinizmu, a nawet fatalizmu. Tusk uważa, że rozpląnięcie się Polski w Unii Europejskiej jest najlepszym możliwym wyborem, także z historycznej perspektywy

szawie (w latach 2007–2014), a potem w Brukseli (w latach 2014–2019). Tyle że Wielopolski autonomię poszerzał, zaś Tusk raczej ograniczał.

Ratując Polskę przed szaleństwem radykałów, Wielopolski ogłosił brankę do rosyjskiej armii – na 15 lat, żeby radykalizm uleciał, bo to radykałów wytypowano do wcielenia do wojska. Zamiast się dać wziąć w kamasze, ci schronili się w lasach i tam się jeszcze bardziej zradyzalizowali, przez co 22 stycznia 1863 r. wybuchło powstanie. W 2023 r. Tusk nie może dopuścić do radykalizacji, czyli samostanowienia w kwestiach imigracji (w tym zapory na wschodniej granicy), własności oraz zbyt wczesnego schodzenia z rynku pracy. W latach 1863–1864 Polacy zamiast pracować oraz umacniać autonomię, urządzili powstanie, za co zostali przykładnie ukarani, bo car nie mógł inaczej postąpić, skoro różni głupcy nie zrozumieli

wielkiego planu szykowanego przezeń wraz z Wielopolskim. Nie chcieli wspólniej autonomii, więc dostali ponowną rusyfikację, likwidację wszystkiego, co z takim móżdżem margrabia wywalczył i wdrożył oraz konfiskatę majątków na Wschodzie. Nie pozostało mu nic innego, jak opuścić niewdzięczny naród i na emigracji w Dreźnie dokończyć żywota (w 1877 r.). W 2023 r. dzięki takim jak Donald Tusk Polacy są karani blokadami pieniędzy z UE oraz represjami na wielu innych frontach, bo znowu wybierają niepodległość i suwerenność. Ale Tusk twierdzi, że nigdzie się nie wybiera.

POKORNE CIEŁE

Żeby się nie narażać temu, kto jest dystrybutorem suwerenności, niepotrzebna jest własna silna armia: Wielopolski uważał, że własne wojsko jest czynnikiem buntowniczym, Tusk rozbrajał Polskę, żeby nie była traktowana jak potencjalny buntownik i zagrożenie, stąd reset z Rosją. Margrabiemu wystarczało, że Polska była gubernią rosyjskiego cesarstwa, Tuskowi wystarcza, że będzie landem europejskiego superpaństwa. Wielopolski, gotów do zduszenia każdego ruchu powstańczego polskimi rękami, spodziewał się uznania, wdzięczności i ustępstw ze strony cara (pokorne ciała dwie matki ssie). Tusk doświadczył już uznania i wdzięczności, zostając przewodniczącym Rady Europejskiej, a teraz oczekuje ustępstw, np. w sprawie KPO, za podporządkowanie się Polski planowi najpierw zmiany traktatów europejskich, a potem zmiany ustroju UE (utworzenia europejskiego superpaństwa). Wielopolski hamował wybijanie się Polski na niepodległość i suwerenność, a wręcz to uniemożliwiał, Tusk jest strażnikiem i gwarantem tego, żeby Polska nie prowadziła żadnej suwerennej polityki, a także, by na wielu polach dało się kontrolować naszą konkurencyjność. Rządy Tuska po wyborach 15 października 2023 r. to byłoby cofnięcie Polski nie tylko do lat 2007–2015, ale wręcz do lat 60. XIX w. Z ogromnymi stratami dla kraju, bo Tusk to jednak tylko kieszonkowy Wielopolski.



Kompleks niemiecki

Donald Tusk urodził się oraz wychował w Polsce. Mając częściowo niemieckich przodków, musiał jednak wynieść z domu określony stosunek do Niemców i do rzeczywistości. Być może dorastał w przekonaniu, że niemiecka kultura jest lepsza, więc dlatego opowiada teraz o „elementarnym porządku”, który trzeba zaprowadzić w Polsce?



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Podczas spotkania w Pile 21 września Donald Tusk mówił, że mieszkańców Polski zachodniej łączą „pewne cechy, tak cenione na Pomorzu, w Wielkopolsce, przez to że byliśmy bardziej pod wpływem kultury Zachodu”. W kolejnych słowach sprecyzował, że chodzi mu o zamiłowanie do porządku. „Mogą mnie od Niemców wyzywać, ale chcę wygrać te wybory

i iść po zwycięstwo, żeby też wreszcie zapanował jakiś elementarny porządek” – podsumował Tusk.

Lider PO najwyraźniej odpuścił sobie walkę o mniej życzliwych mu wyborców ze wschodniej części Polski – w końcu jest mistrzem w dzieleniu Polaków. „Ch... z Polską wschodnią” – mówił w restauracji Sowa i Przyjaciele minister skarbu w rządzie Tuska Włodzimierz Karpiński (dziś w areszcie z zarzutami korupcyjnymi). Jak widać, ta stara zasada w Platformie wciąż obowiązuje.

Jednak w słowach Tuska nie to jest najważniejsze. Po raz pierwszy szef Platformy tak otwarcie daje bowiem do zrozumienia, że w Polsce potrzebny jest niemiecki ordnung.

CZŁOWIEK POGRANICZA

Gdy Tusk wdychał w Pile do „elementarnego porządku”, można zakładać, że – jak rzadko kiedy – mówił szczerze. Nie tylko z tego powodu, że rządzi nim obsesyjna żądza zemsty, a „porządek” w jego ustach oznacza po prostu wielką antypisowską czystkę. Był szczery również dlatego, że wychował się na dawnym polsko-niemieckim pograniczu – w świecie, gdzie polska kultura uchodziła za niższą, powód do wstydu. Mówiąc o kulturze Zachodu, Tusk miał na myśli Niemców – dawnych panów tych ziem. To oni mieli przynieść Polakom porządek, do którego odwołuje się dzisiaj lider PO.

Tusk spogląda więc na rzeczywistość oczami polskiego chudopacholka,

tęskniącego do pruskich salonów. I za wszelką cenę próbującego się tym salonom przypodobać, udowodnić, że zasługuje na ich uznanie. Nie wiem, kim byłby Tusk, gdyby urodził się 100 lat wcześniej. Czy wytrwałby przy polskiej tożsamości? Może tak, a może nie. Faktem jest jednak, że wielu ludzi w zaborze pruskim uciekało od polskości, bo to był warunek awansu społecznego i przyszłej kariery.

Rodzinne korzenie Tuska są skomplikowane. Jego zmarła przed laty matka Ewa wspominała, że jako dziecko mówiła wyłącznie po niemiecku. Nic dziwnego, skoro jej matka (i zarazem babcia Tuska) Anna Gertruda Liebke była rodowitą Niemką, która zaczęła uczyć się języka polskiego dopiero w wieku 38 lat. Po wojnie rodzina chciała wyjechać do Niemiec, lecz sprzeciwił się temu dziadek Tuska ze strony matki Franciszek Dawidowski.

Według relacji Ewy Tusk Franciszek został ranny podczas budowy kwatery Hitlera w Wilczym Szańcu na Mazurach. Podczas rekonwalescencji szpital, do którego go przewieziono, odwiedził sam führer. „Tata leżał obok kolegi Polaka. Obaj powiedzieli sobie, że za żadne skarby nie podadzą Hitlerowi ręki, więc udawali umarłaków. Tata zezwolił tylko przez przymrużone oko, co się dzieje. Hitler podszedł do jego łóżka, lekko się nachylił, zobaczył, że stan jest ciężki, i tylko poklepał tatusia po ramieniu” – opowiadała w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” matka Donalda Tuska.

O Józefie, drugim dziadku Tuska – tym od strony ojca – było głośno wiele lat temu, gdy wyszła na jaw jego przymusowa służba w Wehrmachcie. Doświadczenia Polaków w takich regionach jak Pomorze czy Wielkopolska były odmienne niż w pozostałych częściach kraju, pierwiastek niemiecki był bowiem nieuchronną częścią ich codziennego życia. Niektórzy się przeciwko temu buntowali, inni podporządkowywali, ale zapewne większość pozostawała bierna.

Tusk wspominał, że w jego domu koledzy śpiewało się po polsku i po niemiecku – rzecz raczej trudna do wyobrażenia w większości polskich domów. Nikt nie siedzi w głowie lidera PO, lecz ktoś, kto podczas rodzinnej Wigilii słyszy język niemiecki, nie będzie go raczej kojarzył z niczym złym. Wręcz przeciwnie.

MIĘDZY DWOMA ŻYWIÓŁAMI

Tę – nazwijmy to umownie – dwukulturową tożsamością Tuska można do pewnego stopnia tłumaczyć jego bliskie relacje z Angelą Merkel. Niemiecka kanclerz ma przecież podobne doświadczenia rodzinne. Jej dziadek od strony ojca Ludwik Kaźmierczak urodził się w Poznaniu, walczył w armii niemieckiej podczas I wojny światowej i trafił do niewoli, a potem wstąpił do armii gen. Hallera. Ok. 1923 r. wyemigrował z Poznania do Berlina, gdzie całkowicie odciał się od polskości. Zmienił nazwisko na Kasner, a nawet wyznanie (przeszedł na luteranizm). Rodzina przez pewien czas mieszkała w Elblągu, a żona Kaźmierczaka-Kasnera (czyli babcia Angeli Merkel) pochodziła z Gdańska.

Angela Merkel niechętnie przyznawała się do polskich korzeni – w Niemczech to ciągle rodzaj ujemny – jednak mogła odczuwać coś na kształt wspólnoty losów z Tuskiem. W obu przypadkach mamy przecież polsko-niemieckie więzy krwi, splątane losy oraz rodzaj zawieszenia pomiędzy żywiołem polskim i niemieckim. Jedną z różnic polegała na tym, że Merkel stała się Niemką, a Tusk pozostał Polakiem. Teoretycznie przecież mogło być inaczej, na co wskazuje sama Ewa Tusk, wspominając o rodzinnych planach emigracji do Niemiec zaraz po wojnie.

Do wyjazdu jednak nigdy nie doszło. Dzięki temu Donald Tusk urodził się oraz wychował w Polsce. Mając częściowo niemieckich przodków, musiał jednak wynieść z domu określony stosunek do Niemców i rzeczywistości. Być może dorastał w przekonaniu, że niemiecka kultura jest lepsza i dlatego opowiada teraz o „elementarnym porządku”, który trzeba zaprowadzić w Polsce?

I nie chodzi nawet o zarzuty wobec niego z tego powodu. Po prostu ukształtował się w świecie, gdzie ciągle żywe były niemieckie stereotypy, kojarzące polskości z bylejakością i bałaganem. A działo się tak dlatego, że w jego rodzinnych stronach polska kultura przez dekady była co najwyżej lokalną kulturą chłopską – rodzajem enklawy, odciętej przez zaborców od polskiego krwioobiegu, od kultury wysokiej. W takich warunkach łatwo było uznać

polskości za coś wstydliwego, krępującego i nabrać silnego kompleksu wobec Niemców.

PRUSKI ELEMENT

Ten kompleks nie dotyczy wyłącznie Tuska. Dwa lata temu prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak (oczywiście też z PO) uznał pruskie zabory za bardzo korzystną epokę dla polskich miast. „U nas ten pruski element, te 123 lata tej obecności w Prusach i to wszystko, co się z tym wiązało, prowadzi do tego, że się świetnie rozumiemy, jeśli chodzi o Gdańsk, Wrocław i uważamy, że z tej wiedzy, z nauki warto czerpać, należy czerpać i w związku z tym tak dobrze się u siebie wzajemnie czujemy” – opowiadał Jaśkowiak podczas mowy wygłoszonej w czerwcu 2021 r. w Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku.

Idealizację zaboru pruskiego można oczywiście odczytywać jako skandaliczną pochwałę niemieckiej dominacji i braku suwerenności Polski. Jednak poza tym słowa Jaśkowiaka były o tyle pozbawione sensu, że zestawiały na jednym poziomie Poznań z Gdańskiem i Wrocławiem. W przeciwieństwie do Poznania przed 1945 r. dwa ostatnie miasta były całkowicie zdominowane przez żywioł niemiecki – i to w końcowym okresie panowania niemieckiego przez jego najbardziej nacjonalistyczną, nazistowską część – a po wojnie zostały zasiedlone przez przyjezdnych z całej Polski, w dużej części z dawnych Kresów Wschodnich. Jak więc można twierdzić, że istnieje wspólnota historyczna, czy – jak to ujął Donald Tusk – wspólne cechy kulturowe łączące rdzennych Wielkopolan z napływową ludnością Gdańska i Wrocławia?

Jaśkowiak mylił się również w kwestii stanowiącej podstawę jego wyводу, że miasta pod zaborem pruskim rozwijały się lepiej niż pod władzą pozostałych zaborców. Prawda jest taka, że ani Poznań, ani Gdańsk nie mogły równać się z położonymi w zaborze rosyjskim Warszawą czy Łodzią. Liczba ludności Poznania w 1910 r. wynosiła 157 tys. mieszkańców, Gdańska – 170 tys., podczas gdy Warszawa liczyła sobie wtedy aż 781 tys. mieszkańców, a młoda, energicznie rozwijająca się Łódź – 408 tys. Wynika z tego coś dokładnie przeciwnego niż twierdził Jaśkowiak,

otóż zabór pruski – wbrew rozpowszechnionym stereotypom – ograniczał rozwój polskich miast. Gdy Warszawa i Łódź były jednymi z największych metropolii ówczesnego Imperium Rosyjskiego, Poznań pozostawał peryferyjnym miastem na pruskich kresach.

Niemcy nie były motorem rozwoju Polski ani wtedy, ani dziś – co zdawał się sugerować prezydent Poznania. Nie mają w tym żadnego interesu. Większość inwestycji w dawnym Poznaniu należała do Niemców i wynikała wyłącznie z tego, że miasto było częścią Prus.

Przekonywanie ludzi, że pod niemiecką kuratelą osiągniemy więcej, jest więc – najdelikatniej rzecz ujmując – niezrozumiałym brakiem wiary w sens istnienia własnego państwa i kompletną kapitulacją. Warto zauważyć, że w podobny sposób myśleli, niestety, całkiem liczni Polacy, którzy pod zaborem pruskim porzucali swoją tożsamość i poddawali się germanizacji.

W CZYM INTERESIE?

Czynnik niemiecki towarzyszył Platformie od samego początku jej istnienia, a nawet znacznie wcześniej. Jak twierdził były polityk PO i KLD Paweł Piskorski, pierwsza partia Tuska, czyli Kongres Liberalno-Demokratyczny, była finansowana przez niemiecką chadecję.

Można więc chyba stawiać pytania o to, gdzie znajdują się źródła polityki prowadzonej przez PO.

Jednym z symboli tej polityki mogą być słynne podziękowania Tuska za przywództwo Niemiec, wygłoszone w ich ojczystym języku, innym jest wypowiedź Rafała Trzaskowskiego o tym, że nie ma sensu budować CPK, skoro istnieje lotnisko w Berlinie.

Nie ma tu miejsca, aby wymieniać niezliczone posunięcia Platformy, które – obiektywnie rzecz biorąc – prowadziły do osłabienia państwa, począwszy od szalonej wyprzedaży majątku poprzez reset z Rosją, rozbrojenie części armii i plany obrony Polski na Wiśle, skończywszy na sabotowaniu inwestycji krytycznych dla gospodarki i bezpieczeństwa podejmowanych przez rząd PiS. Gdyby zapytać, kto na tym korzystał, odpowiedź wydaje się oczywista – Niemcy.

Najbardziej zaskakujące jest jednak to, że wyborcom PO wcale to nie przeszkadza. Można oczywiście zakładać – i pewnie nie brak w tym założeniu słuszności – że nienawiść do PiS wielu z nich odebrała rozum. Jest jednak coś jeszcze, co prawdopodobnie nimi kieruje – to ten sam kompleks co u Tuska, rodzaj przekonania, że jesteśmy gorsi od Niemców. I gdy tylko pozbędziemy się brzemienia polskości, to lyknijemy prawdziwej kultury, staniemy się podobni do Niemców i w ten sposób awansujemy w Europie do najwyższej ligi.

Gdyby rzeczywiście miał się ziszczyć taki scenariusz, to skutek byłby dokładnie odwrotny i Polska wyładowałaby na podrzędnej pozycji wasala Niemiec. Wzdychać do Niemców mogą

Nikt nie siedzi w głowie lidera PO, lecz ktoś, kto podczas rodzinnej Wigilii słyszy język niemiecki, nie będzie go raczej kojarzył z niczym złym. Wręcz przeciwnie

bowiem tylko ludzie niepewni własnych korzeni, mocno zakompleksieni lub mocno niedouczeni. Było to zrozumiałe w czasach zaboru pruskiego, gdzie polskość była zwykle ograniczona do klasy ludowej i prześladowana. Dzisiaj pewnym wytłumaczeniem, choć tylko hipotetycznym, może być mocno utrwalone w podświadomości dziedzictwo peerełowskiej biedy, na ziemiach zachodnich dodatkowo wzmocnione powojennymi przesiedleniami, które wyrwały ludzi z ich dawnych siedzib.

To poczucie niższości było napędzane obrazem materialnej potęgi Niemiec, gdzie jeździło się na saksy i skąd kupowało się stare samochody, Niemiec, które podobno przegrały wojnę, jednak mimo to były na głowę rzekomo zwycięską Polskę. Skoro tak to wyglądało, to być może rzeczywiście byliśmy gorsi? Wielu Polaków odpowiadało na to py-

tanie twierdząco. I dziś, zwłaszcza tych starszych, ciągle nie zmieniło zdania. To oni stanowią rdzeń wyborców PO.

CZAS NA TERAPIĘ

Trzeba przyznać, że Niemcy nie tylko poniżali Polaków, ale też potrafią ich kokietować. W ten sposób budują u nas wpływową klientelę. Wyobraźmy sobie młodych dziennikarzy albo polityków, albo naukowców wyjeżdżających na konferencje w Niemczech lub otrzymujących stamtąd granty. Rozdaje się im uśmiechy, protekcyjnie klepie po plecach i mówi: „Jesteś taki sam jak my”.

Dla przeżartego kompleksem przybysza to jak przekroczenie bram raj. Wreszcie został doceniony, należycie wynagrodzony. Poczul się lepszy od swoich pobratymców w kraju. Bo to jego wskazał palcem niemiecki mentor, a nie ich. Dlatego wdzięczny Polak, zdobywszy taką pozycję, będzie odtąd składał swoim niemieckim przyjaciółom wiernopoddane hołdy i robił wszystko, aby nigdy nie stracić ich zaufania.

Takich osób jest wokół nas mnóstwo, wystarczy przejrzeć szpalty gazet. Im zawsze będzie bliżej do Niemiec niż do Polski, bo to Niemcom zawdzięczają swój awans. Zostali przez nich przecież zaliczeni do ludzi cywilizowanych

i oświeconych, a to jest glejt dający im prawo sprawowania władzy nad polską ciemnotą. Oczywiście nie teraz, ale dopiero po obaleniu pisowskiego reżimu. Nie różnią się więc bardzo od dawnych renegatów z zaboru pruskiego.

Tymczasem jedyną terapią jest uwolnienie się spod niemieckiej kurateli. Przekonanie ludzi, że oznacza ona zatrzymanie rozwoju Polski, który nigdy nie leżał i nie leży w interesie Berlina. Zbiorowe otrzeźwienie i nabieranie pewności siebie to proces długotrwały, lecz – jak widać – powoli przynosi skutki. 30 lat temu nikt w Polsce nie mógłby przecież uwierzyć, że tak bardzo nadgonimy dystans dzielący nas od Niemiec, a Niemcy będą wpadali z tego powodu w histerię. Tymczasem tak właśnie jest.

Donald Tusk i jego partia to relikty ponurej przeszłości. Jeżeli do niej wrócimy, to tracimy przyszłość. 



Zdaliśmy egzamin z przyzwoitości

Życzliwość Polski i Polaków została okazana w tym najtrudniejszym momencie. Na miejscu Kijowa nie zrażałbym do siebie sprawdzonych partnerów

Z Marcinem Przydaczem,
szefem Biura Polityki
Międzynarodowej
w Kancelarii Prezydenta RP,
rozmawia Marcin Wikło

Czy Polacy, którzy dzisiaj tak chętnie, ale często pochopnie recenzują nasze obecne relacje z Ukrainą, wiedzą, jaka naprawdę jest polityka naszego sąsiada? Co powinni wiedzieć?

Marcin Przydacz: Ukraina jest tak samo funkcjonującą demokracją i tak

samo jak wiele innych państw podlega naciskom zewnętrznym i wewnętrznym. Także mglistym zachętom. Może rzeczywiście nie każdy to widzi, ale życie polityczno-międzynarodowe cały czas się toczy. Są też czasem ostre podziały i emocje wewnątrz kraju. Ale

w polityce zagranicznej nie powinno się ulegać przesadnym emocjom – ani sympatii, ani wrogości. Trzeba raczej kalkulować na chłodno i szukać synergii z ewentualnym partnerem. Moje rozumienie polityki w regionie jest takie, że należy stawiać przede wszystkim na te państwa, które są sprawdzonymi sojusznikami i na te, z którymi ma się wspólny interes. Na miejscu Kijowa nie zrażałbym do siebie sprawdzonych partnerów.

A, jak pan ocenia obecny kurs prezydenta Wołodymyra Zelenskigo? Zachód rzeczywiście może dać Ukrainie więcej niż Polska?

Wsparcie państw Europy Zachodniej dla Ukrainy jest oczywiście bardzo potrzebne, ale były czasy, kiedy nie było ono realizowane w sposób ciągły i stały. Zdarzały się momenty, gdy stawiano raczej na dialog z Moskwą, kosztem interesów Kijowa. Tak się przecież działo, gdy pomiędzy Niemcami i Rosją uruchomiono gazociąg Nord Stream 2. Przestrzegaliśmy więc ukraińskich analityków, dyplomatów i decydentów przed myśleniem, że mogą poszukiwać dalszych partnerów kosztem relacji z sąsiadami. Wystąpienie prezydenta Zelenskigo w Nowym Jorku zostało źle przyjęte nie tylko w Polsce, lecz także w regionie. Wielu z nas, z grona państw wschodniej flanki, uznało, że taki sposób komunikacji i taka polityka są trudne do zaakceptowania.

Może za bardzo rozpieściliśmy Ukrainę? Daliśmy, zgodnie z Polską fantazją, całe serce na dłoni?

Wobec Ukrainy prowadzimy przemyślaną politykę zagraniczną. Także w imię własnego bezpieczeństwa. Nasze wsparcie wynikało z tego, że uważaliśmy i wciąż uważamy, iż świat oparty o zasady prawa międzynarodowego, w tym integralności terytorialnej, to świat bezpieczniejszy. Gdy jednemu państwu pozwala się napadać na drugie, jest dokładnie przeciwnie. Mamy świadomość neoimperialnej i neokolonialnej polityki rosyjskiej, toteż naszym głównym celem jest utrzymanie jej jak najdalej od naszej granicy. Istnieje zatem wiele ar-

gumentów, by Ukrainę nadal wspierać w jej walce z napastnikiem.

Ale poczucie jest takie, że dzisiaj Ukraina stawia na Niemcy, domaga się obecności Berlina w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Czy to dlatego, że od Polski dostali już, co mieli dostać, a i tak – jak pan mówi – wciąż będą dostawać?

Odradzałbym ulegać przekonaniom, że lepsze są obietnice większych państw niż konkretne działania mniejszych partnerów. Życzliwość Polski i Polaków została okazana w tym najtrudniejszym momencie. Wtedy, gdy naprawdę wa-

Wystąpienie prezydenta Zelenskigo w Nowym Jorku zostało źle przyjęte nie tylko w Polsce, lecz także w regionie. Wielu z nas, z grona państw wschodniej flanki, uznało, że taki sposób komunikacji i taka polityka są trudne do zaakceptowania przez nasze stolice

żyły się losy państwa ukraińskiego. Jako Polacy i polski rząd zdaliśmy egzamin z przyzwoitości, ale też z właściwego zrozumienia własnego interesu bezpieczeństwa. Wysłaliśmy na Wschód naprawdę bardzo dużo broni, Ukraińcy mają tego świadomość i nie powinni o tym zapominać. Tak jak nie powinni zapominać o geografii. To, że Kijów poszukuje dzisiaj jakiegoś dodatkowego wsparcia, jest w pewnym sensie zrozumiałe, dopóki nie dzieje się to kosztem dotychczasowych sojuszy. Bo w polityce zagranicznej wiarygodność ma niebagatelne znaczenie, raz utracona jest bardzo trudna do odzyskania. Polska realizowała wsparcie dla Ukrainy w oparciu o analizę własnego bezpieczeństwa. Ale

mamy też inne interesy. Jeśli nie będą szanowane, jasne jest, że będzie to wpływać na każdą naszą decyzję.

Rozumie pan ten kurs na Niemcy, o których jeszcze niedawno prezydent Zelenski nie miał najlepszego zdania?

To jest działanie obarczone wieloma ryzykami. Warto przeanalizować niemiecką politykę międzynarodową, nie tylko ostatnich lat. Na końcu zawsze się okazywało, że Berlin realizował wspólne interesy z Moskwą. Spójrzmy na XVIII w., na koncert mocarstw po kongresie wiedeńskim, na Rapallo, Ostpolitik czy politykę kanclerzy ostatnich dekad. Zazwyczaj działo się to kosztem państw Europy Środkowej i bezpieczeństwa regionalnego. Oczywiście decyzja należy do Ukrainy, ale ja byłbym, delikatnie mówiąc, ostrożny. Tu bardzo ciekawa jest reakcja ukraińskiego społeczeństwa, nie do końca rozumiejącego tę dziwną komunikację władz w Kijowie. Może jest tak, że opinia publiczna lepiej wyczuwa sytuację i nie chce poświęcać bardzo dobrych relacji z Polską na rzecz interesów kilku zbożowych oligarchów?

Co więc skusiło Ukrainę? Niemieckie obietnice wprowadzenia Kijowa do UE? Warto było rozpoczynać konflikt z Polską?

Nie warto. Być może zabrakło tam pewnego wyczucia spraw w Polsce, być może Kijów nie do końca rozumie nasze postępowanie, choć wyjaśnialiśmy je bardzo czytelnie.

Na pewne sprawy po prostu nie mogliśmy się zgodzić. Powtórzę – wspieramy Ukrainę, ale za naszych rządów nigdy nie było i nie będzie tak, że interes jakiegokolwiek innego państwa stawia się wyżej niż interes Polski. Los polskich rolników jest ważny, podobnie jak nasze, polskie, bezpieczeństwo. Jeżeli w przypadku relacji z Ukrainą te interesy są zbieżne, będziemy współpracować, ale tam, gdzie pojawia się spór – będziemy twardo bronić naszego interesu. Co do obietnic wprowadzania do UE przy pomocy innych państw, to przypomnę tylko, że to w 2008 r. Berlin zablokował drogę dla Ukrainy do NATO i to on jest dziś największym hamulcowym euroatlantyckich procesów rozsze-

rzeniowych. Trudno komuś odbierać wiarę w zmianę. Pamiętajmy jednak, że naiwność w polityce międzynarodowej bywa bolesna.

To wszystko dzieje się na finiszu kampanii wyborczej. Czy nie obawia się pan, że opozycja powie teraz, że rząd PiS jest w stanie pokłócić się z każdym, nawet z tak bliskim partnerem, jakim niedawno była Ukraina?

Nie znam takiego pojęcia jak klótnia między państwami. Celem polityki zagranicznej jest realizacja interesu naszego kraju. Jeśli odbywa się to w dobrej atmosferze, to dobrze, ale czasami tak się nie da. Dobry klimat jest tylko narzędziem, a nie celem polityki zagranicznej. Od 2015 r. to się zmieniło. Nam nie zależy na tym, żeby klepano nas po plecach albo dawano stanowiska w UE. Chcemy, żeby Polska była bezpieczna i się rozwijała. I to się dzieje. Co do krytyki – od długiego czasu w naszym wewnętrznym dyskursie politycznym jest tak, że cokolwiek zrobi strona rządząca, i tak będzie ostro krytykowane przez opozycję. Często dzieje się to wbrew interesowi nas wszystkich, nie-rzadko zaprzęgane są do tego instytucje zewnętrzne czy zagraniczne media. To jest oczywiście smutny obraz, ale zastanówmy się, czy akurat w tym przypadku krytyka byłaby zasadna? Nie. Bo każda kontra wobec naszej obecnej polityki zagranicznej opiera się na ich założeniu, że celem powinno być usilne zabieganie o dobre relacje i sympatię, a nie realizacja konkretnych interesów. To kompletnie błędne myślenie. My mamy swoje zamierzenia. Jeśli ich realizacja odbywa się w dobrej atmosferze, to dobrze, ale jeżeli czasami atmosfera się psuje, to trudno. Najważniejsze, by nie stracić z oczu priorytetów.

Ani trochę nie zależy nam na opinii z zewnątrz?

Przez ostatnie lata obraz Polski był mocno wykrzywiany przez działania opozycji. Metoda „ulicy i zagranicy” była nadzieją, że uda się zmienić rząd w naszym kraju. Ale w XVIII w. też byli tacy, którzy uważali, że mogą spiskować z mocarstwami zewnętrznymi po to, aby zwać własnego króla. Koniec nie był dobry dla Polski i Polaków. Uczmy się historii i z historii.

Po obowiązkach międzynarodowych w Kancelarii Prezydenta RP jedzie pan, jako kandydat do Sejmu, do swojego okręgu wyborczego. Czy to są kwestie, które ludzi interesują, chcą o tym rozmawiać?

Sprawy bezpieczeństwa interesują każdego. Na szczęście obudziliśmy się po takiej drzemce lat 90., kiedy opowiadano o końcu historii i o tym, że wojen już nie będzie. Że to nieprawda jako pierwszy głośno mówił Lech Kaczyński, ostrzegał przed rosyjskim imperializmem, wskazywał, że wojny nie prowadzi się tylko czołgami i armatami, że są różne sposoby destabilizacji przeciwnika. Że ważny jest np. sposób dystrybucji energii i uzależnienie od swoich źródeł. Wielu to wówczas krytkowało, a potem okazało się, że były rosyjskie morderstwa polityczne na Zachodzie, że były inwazja na Gruzję, aneksja Krymu, wtargnięcie do Donbasu, wreszcie najeżdż na Ukrainę. Ta wojna jest coraz bliżej nas, więc dzisiaj nie można nie interesować się bezpieczeństwem.

Naprawdę o tym słyszy pan na powiatowych spotkaniach?

Bardzo często słyszę, że ludzie się cieszą, iż kraj się rozwija, rząd tak dużo środków centralnych przeznacza na rozwój Polski lokalnej, na coraz lepsze drogi, infrastrukturę, coraz ładniejsze szkoły i przedszkola. Ale jest jedno zastrzeżenie – to wszystko nie miałoby takiego znaczenia, gdybyśmy nie czuli się bezpieczni. Takie głosy pobrzmiwają także w moim okręgu sieradzkim, gdy jadę do Wielunia, Zduńskiej Woli czy Łowicza. Tam jeszcze bardziej złowieszczo są odbierane dokumenty pokazujące, że był kiedyś taki rząd, który zakładał, że pół Polski zostanie oddane potencjalnemu agresorowi w nadziei na to, że sojusznicy przyjdą i pomogą. Właśnie wtedy sojuszników na naszej ziemi nie było, musieliby przyjąć z daleka, by nas bronić! To dopiero rząd Zjednoczonej Prawicy i prezydent Andrzej Duda doprowadzili do tego, że wojska amerykańskie są w Polsce i to m.in. na tych jej terenach, mających być oddane jako tzw. głębia strategiczna. Polacy powinni o tym wiedzieć, decydując, przy czym nazwisku postawią krzyżyk 15 października. A politycy, którzy zgodzili się na tę koncepcję

z premierem Tuskiem na czele, powinni być z tego surowo rozliczeni.

Na co liczy Donald Tusk, idąc do tych wyborów i ignorując wszelkie takie doniesienia, za to bezpardonowo atakując PiS?

Na to, że zakryje rzeczywistość swoimi kłamstwami, insynuacjami, półprawdami i za pomocą usługujących sobie mediów, które w ogromnej części są finansowane przez kapitał zagraniczny. Starsi Polacy doskonale to pamiętają, młodym może próbować wmawiać, jak wyglądała rzeczywistość przed 2015 r. Dlatego trzeba o tym mówić i przypominać. Bo prowadzi to do ekstremalnie kuriozalnych opowieści, jak choćby o tym, że obecny rząd przyczynia się do sprowadzania do Polski nielegalnych imigrantów. A to były rzecznik rządu PO-PSL Cezary Tomczyk mówił, że jako Polska jesteśmy gotowi przyjąć każdą liczbę nielegalnych imigrantów.

Jak wyglądało pana wejście w kampanię wyborczą? Co usłyszał pan od swojego szefa, czyli pana prezydenta, gdy powiedział mu pan, że chce startować do Sejmu?

Oczywiście wszelkie moje działania kampanijne odbywają się za wiedzą pana prezydenta. Rzeczywiście rozmawialiśmy o tym, czy powinienem wystartować w wyborach i zgodził się na tę próbę. Życząc mi powodzenia, udzielił też kilku rad, ma przecież za sobą start w niejednym wyścigu wyborczym. Mówił, że dobrze by było, aby w parlamencie zasiadali ludzie zdobywający przez ostatnie lata doświadczenie w polityce międzynarodowej i bezpieczeństwa, bo to też miejsce, gdzie o tym się rozmawia. Ale jesteśmy z panem prezydentem umówieni, że bez względu na mój wynik będziemy utrzymywali intensywną relację, tak jak przez ostatnią dekadę. Pracując najpierw w pałacu na stanowisku dyrektorskim, potem w MSZ, a teraz znów u boku pana prezydenta jako minister, mam poczucie, że cały czas wykonuję tę samą pracę. Tak samo będąc posłem, chcę pracować na rzecz Polski. Myślę również, że moje kontakty na szczeblu polityki centralnej mogą dobrze przełożyć się na pracę na rzecz ludzi, którzy być może powierzą mi mandat parlamentarzysty z mojej rodzinnej ziemi.

Tylko nie macierzyństwo?!

„Jedną z przyczyn niechęci do macierzyństwa i ojcostwa w Polsce jest jego niekorzystny wizerunek w mediach głównego nurtu” – napisano w raporcie Warsaw Enterprise Institute. Trudno się więc dziwić, że młodzi ludzie będący pod ich wpływem coraz mniej chętnie myślą o sobie jako o przyszłych rodzicach



DOROTA ŁOSIEWICZ

Choć aż 80 proc. Polaków wskazuje, że to rodzina daje największe szczęście (CBOS 2019), a prawie połowa z nas twierdzi, że idealna liczba dzieci w rodzinie to dwójka, Polaków rodzi się mniej. Efekt wzrostu urodzeń można było odnotować w pierwszych latach po wprowadzeniu programu Rodzina 500+. W przyszłym roku nowe świadczenie, już 800+, będzie wypłacone na ok. 100 tys. dzieci mniej niż w momencie, gdy program był wprowadzany w 2016 r. To efekt spadku liczby urodzeń w ostatnich latach. Od 2020 r. wynosił on ok. 20 tys. rok do roku. Wskaźnik dzietności w Polsce w 2022 r. wyniósł 1,38. Jesteśmy jednym z krajów w Europie o najwyższym wskaźniku bezdzietności.

NASTAWIENIE KULTUROWE

W 2023 r. Warsaw Enterprise Institute przygotował raport pt. „Kultura nieprzyjazna macierzyństwu” – wynika z niego, że winne temu stanowi rzeczy są m.in. liberalne media. Zdaniem autorów raportu niska dzietność bierze się nie tylko z czynników obiektywnych, jak procesy demograficzne i uwarunkowania ekonomiczne, ale także z nastawienia kulturowego. W Polsce od lat 90. istnieje opór przed posiadaniem dzieci, wyrażany zarówno przez kobiety, jak i mężczyzn. Nie dotyczy on



całego społeczeństwa, ale grupa deklarująca, że nie chciałaby mieć dziecka w żadnych okolicznościach, jest stosunkowo duża (15 proc.), największa zaś wśród najmłodszych respondentów (23 proc.). Do tego dochodzą ci, którzy wyrażają niechęć do posiadania dzieci z powodu ograniczeń ekonomicznych i prawnych lub z powodu lęku o zdrowie lub brak czasu dla siebie jako rodzica. 67 proc. respondentów deklaruje, że gdyby nie te ograniczenia, chętnie posiadaliby dzieci. Według raportu WEI Polki boją się macierzyństwa, a w posiadaniu dzieci widzą „poświęcenie”, którego często nie chcą podejmować. Wskazują one na kwestie zdrowia, urody oraz czasu dla siebie jako na to, co mogą stracić w wyniku zajścia w ciążę. Mężczyźni, usprawiedliwiając brak potomstwa, powołują się na ogólne uwarunkowania ojcostwa, choć rzadziej widzą w nim „poświęcenie”.

„Jedną z przyczyn niechęci do macierzyństwa i ojcostwa w Polsce jest jego niekorzystny wizerunek w mediach głównego nurtu. Zarówno macierzyństwo, jak i ojcostwo mają się kojarzyć z czymś przestarzałym, wymagającym, trudnym i odbierającym własne życie” – czytamy w raporcie. Zdaniem autorów opracowania jedną z przyczyn niedostrzegania przez media wartości w macierzyństwie, jest kultura woke, w ostatnich latach przenikająca do Polski. Jest ona w wielu aspektach wprost antynatalistyczna, czyli przeciwna posiadaniu dzieci.

Z opracowania WEI wynika, że najmłodsze kobiety obawiają się macierzyństwa, kojarzonego przez nie z czymś wymagającym wyrzeczeń. Autorzy raportu pytali respondentów m.in., co rodzicielstwo zabiera kobiecie i mężczyźnie. Na pierwszym miejscu znalazł się „czas dla siebie” – macierzyństwo odbiera

go według 37 proc., a ojcostwo – 32 proc. Na drugim – „niezależność i swoboda”, przy podobnym wyniku w stosunku do matek i ojców (odpowiednio 32 i 33 proc.). Zdaniem badanych rodzicielstwo bardziej kobietom niż mężczyznom odbiera „karierę/możliwość samorealizacji zawodowej” (18 i 10 proc.) oraz „urodę i atrakcyjność” (9 i 1 proc.).

Odpowiedzi samych kobiet dotyczące wyrzeczeń macierzyństwa są według WEI jeszcze bardziej alarmujące. 59 proc. kobiet w wieku 18–24 lata i 42 proc. kobiet w wieku 25–34 lata uważa, że macierzyństwo zabiera „czas dla siebie”. „Urodę/attrakcyjność” odbiera ono matce zdaniem 15 proc. kobiet w wieku 25–34 lata oraz 12 proc. kobiet w wieku 18–24 lata. W starszych grupach kobiet i wśród wszystkich respondentów odpowiedzi te były rzadziej wskazywane, co oznacza, że szczególnie negatywny obraz macierzyństwa na tle populacji ogólnej mają kobiety między 18. a 34. rokiem życia, czyli w szczycie rozrodczości. Postrzegają one bycie matką jako coś ciężkiego, groźnego i niewygodnego, odbierającego nie tylko czas, niezależność i karierę, lecz nawet atrakcyjność fizyczną, której posiadanie dzieci przecież nie odbiera.

MEDIA NA WOJNIE Z MATKAMI

Autorzy opracowania stawiają pytanie, z czego wynika taki obraz macierzyństwa, i odpowiadają, że z obrzydzenia go przez media. Podają jednocześnie kilka przykładów. „Szczęśliwa bez dziecka. Czy to możliwe? Być wolną od dzieci nie musi oznaczać porażki. Może oznaczać wybór” – to długi tytuł artykułu Patrycji Pustkowiak w „Elle”. W „Wysokich Obcasach” znalazł się artykuł Edyty Bryły pt. „Mam 35 lat i dopiero od niedawna mogę sobie pożyć. Nie rozwalę sobie tego dzieckiem”. Dominika Wantuch obwieszcza w zakopiańskiej „Gazecie Wyborczej”: „Powiedzieć »chcę odpocząć od dzieci« to nie grzech. W hotelach to wręczcie rozumieją”. „Krytyka Polityczna” idzie dalej. Artykuł Sylwii Kwaśniewskiej nosi tytuł: „Wolę cię wieczory niż dziecięcy śmiech. I czuję się z tym doskonale”. W „Poli-

tyce” przeczytamy na tekst Martyny Bundy: „Nie mamy w planach dzieci. Bezpotomni wychodzą z szafy”. Portal natemat.pl przebija inne media artykułem Oli Giersz: „Jestem bezdzietną lambadziarą i mi z tym dobrze”. Autorzy raportu „Kultura nieprzyjazna macierzyństwu” zwracają uwagę, że na łamach progresywnej prasy nie ma artykułów i wywiadów, wskazujących – żartobliwie lub nie – na zalety bycia matką. Ich zdaniem „wychodzić z szafy” mogłyby raczej kobiety nazywane pogardliwie „madkami”, czyli te mające dzieci, zwłaszcza małe.

Do tych obserwacji dorzucę jeszcze swoje. W „nowym, lepszym świecie”

Aż 59 proc. kobiet w wieku 18–24 lata i 42 proc. kobiet w wieku 25–34 lata uważa, że macierzyństwo zabiera „czas dla siebie” – wynika z raportu WEI

mediów liberalnych, w tym „Gazety Wyborczej”, tradycyjna rodzina jest nie tylko passé, ale wręcz promuje się nowy model rodziny: rodzinę transgatunkową. Poznaliśmy ją w tekście „Dwa plus psiecko”. „Nie mają ludzkich dzieci, za to mają »dzieci« psie: Nigdy nie jesteśmy Figą zmęczeni” – relacjonowała historię „rodziny międzygatunkowej” Oktawia Kromer. „Miłość psa czy kota jest bezinteresowna przez całe życie, a dzieci tylko do pewnego momentu. Zwierzęta nie zaczną się kłócić o spadek czy dom po rodzicach” – przekonywała jedna z bohaterek tekstu. Prawdziwe dzieci to, zdaniem „GW”, udręka. „W kościołach, restauracjach, na plaży... Ja też już mam serdecznie dość wrzeszczących dzieci. Chociaż czasem już sama nie wiem, czy bardziej działała mi na nerwy dzieci, które nie potrafią się zachować, czy rodzice, którzy mają wszystko gdzieś i nie reagują kompletnie na nic” – żaliła się czytelniczka w liście do redakcji „GW”.

TRANS JEST OK

Wróćmy jednak do raportu WEI. Przedstawiono w nim wyniki badań, z których wynika, że stosunek Polaków do osób homoseksualnych/biseksualnych, czyli jedynych z tej grupy narażonych na akty nietolerancji, poprawia się szybciej niż w całej Unii Europejskiej. Akceptacja dla osób LGBT+ jest wyższa niż dla rodzicielstwa i powszechna także w starszych pokoleniach, przynajmniej wśród kobiet, gdzie sięga prawie 90 proc. i jest najwyższa w populacji. Tu znów warto sięgnąć do publikacji mediów liberalnych, życzliwiej niż o rodzicielstwie piszących o problemach osób trans-

plciowych. Autorzy omawianego raportu WEI powołują się na badanie dotyczące porównania częstotliwości pojawiania się tematu macierzyństwa i transplciowości w „Gazecie Wyborczej” i jej magazynach przez 2,5 miesiąca. Zuzanna Jakowicka, która je przeprowadziła, tak pisze o jego wynikach: „Tylko od 1 września do 12 listopada 2022 r. (przez 73 dni) gazeta ta opublikowała więcej wywiadów, relacji, felietonów, reportaży otagowanych hasłami: transplciowość, osoby transplciowe, osoby niebinarne lub queer niż otagowanych hasłami ma-

cierzyństwo lub matka”. „Stosunek treści wyniósł 23 artykuły o macierzyństwie do 30 o transplciowości”. Mimo że jedna tematyka dotyczy milionów, a druga tysięcy ludzi! Jakowicka zauważyła jeszcze jedną rzecz. Otóż „matkom często się »grozi palcem«, że postępują negatywnie, natomiast osoby trans i niebinarne traktowane są za każdym razem jako autorytety. Inna ich rola to męczennicy, choć jedyna krzywdą, na jaką się uskarżają, to niepodzielanie przez innych ludzi przekonania, jakoby męskość i kobiecość były kategoriami płynnymi, podlegającymi wyborowi. Przy odrzuceniu płci jako biologicznego faktu przestaje dziwić niechęć do macierzyństwa” – podsumowują autorzy raportu „Kultura nieprzyjazna macierzyństwu”.

Trudno się więc dziwić, że media liberalne tak chętnie i często walczą z programami społecznymi wprowadzanymi przez rząd, który rodzinę postawił w centrum swojego zainteresowania.

Wędrówka ludów, czyli „fakt naszych czasów”

Wystąpienie papieża Franciszka w Marsylii jasno pokazuje, iż papieństwo nie wierzy w ocalenie Europy w jej obecnym, zdegenerowanym kształcie, a w migracji upatruje nadziei na jakiś jej nowy, przyszły początek



JAN ROKITA

Dzwony bazyliki Notre-Dame de la Garde w Marsylii były w piętek 22 września po południu, gdy papież Franciszek jechał z lotniska, aby najpierw modlić się w katedrze za uchodźców, którzy utonęli na Morzu Śródziemnym, a potem uczestniczyć w międzywyznaniowych modłach pod stelą upamiętniającą wszystkich ludzi pochłoniętych przez morze.

Sławna neobizantyńska bazylika, położona na górującym nad miastem i wybrzeżem wzgórza La Garde, słynie zwłaszcza z 60-m wieży, zwieńczonej figurą Najświętszej Maryi Panny z Dzieciątkiem, widocznej nie tylko z każdego punktu miasta, ale również z morskiej dali. Dla marynarzy i podróżnych pojawienie się na horyzoncie owej wieży oraz postaci Madonny jest więc pierwszym znakiem zbliżania się ich statku do marsylijskiego portu.

Jeszcze w samolocie lecącym z Rzymu do Marsylii dziennikarze poprosili papieża o ocenę sytuacji na Lampeduzie, gdzie ostatnimi tygodniami docierają tysiące współczesnych boat people, uciekających z Afryki do Europy i zwiastujących kolejną falę wielkiego kryzysu migracyjnego, nękającego Europę od przeszło dekady. Na nagraniu dostępnym w sieci można zobaczyć głębokie

westchnienie papieża i jego krótką, lecz radykalną w tonie odpowiedź: „Okrucieństwo, brak człowieczeństwa, straszny brak człowieczeństwa!”.

IDEA PIĘCIU BRZEGÓW

Spotkania Śródziemnomorskie – to pomysł włoskich biskupów sprzed kilku lat, którego ideą miało być integrowanie pięciu brzegów Morza Śródziemnego pod duchowymi auspicjami Kościoła katolickiego: łacińskiej Europy, Bałkanów, Morza Czarnego, Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej. W sobotę 23 września o tych pięciu brzegach mówił potem dość obszernie sam papież w swoim głównym wystąpieniu w pałacu Faro w Marsylii; skądinąd (co nie jest typowe dla obecnego pontyfikatu) jego mowa została perfekcyjnie przygotowana i napisana z literackim połotem.

Oprócz licznie zgromadzonych biskupów z państw śródziemnomorskich oraz całej reszty aktywistów młodzieżowych różnych wyznań do pałacu Faro przybył także, aby słuchać papieskiego posłania, prezydent Emmanuel Macron.

Torządłość, aby przywódca zażarcie świeckiej Republiki Francuskiej uczestniczył w wydarzeniach o charakterze religijnym, lecz tym razem Macron nie mógł przepuścić okazji. Oto trzecie z kolei Spotkania Śródziemnomorskie po raz pierwszy zorganizowano poza Italią, i to właśnie we Francji, która nie od dziś na różne sposoby próbuje nadać w Unii większego politycznego znaczenia kwestiom śródziemnomorskim, upatrując w tym szansy na odzyskanie

swego dawniejszego mocarstwowego znaczenia. Jak dobrze wiadomo, wysiłki czynione w tej kwestii przez Macrona w ostatnich latach kończą się porażkami, czego najlepszym dowodem jest narastająca katastrofa migracyjna na Morzu Śródziemnym i związane z nią ustawiczne spory i napięcia francusko-włoskie. A także spektakularne fiasko francuskiej polityki w północnej Afryce, gdzie kolejne frankofilskie reżimy są obalane w zamachach stanu, a nastroje antyfrancuskie i „antykolonialne” podsycają odgrywający tam ważną rolę rosyjscy najemnicy.

Tegoroczne Spotkania Śródziemnomorskie w całości dotyczyły jednak migracji. Z tej perspektywy wybór Marsylii na miejsce tego wydarzenia ma charakter symboliczny, bo, jak podkreśla jego główny organizator ks. Xavier Manzano, wikariusz generalny tamtejszej archidiecezji, Marsylia jest „ostatnią kosmopolityczną metropolią położoną na brzegu Morza Śródziemnego”. Czyli w jakimś sensie jest ostatnią spadkobierczynią wielowiekowej tradycji imponujących kosmopolitycznych ośrodków miejskich, takich jak Konstantynopol, Smyrna, Antiochia czy Aleksandria. Tymczasem właśnie ów kosmopolityczny ideał dawnych śródziemnomorskich metropolii okazuje się wątkiem przewodnim papieskiego nauczania w Marsylii. Bo dla Franciszka Morze Śródziemne jest generalnie „zwierciadłem świata”, gdyż „niesie w sobie globalne powołanie do braterstwa; wyjątkowe powołanie i jedyny sposób zapobiegania konfliktom i ich przezwyciężania”.



Papież jest świadom tego, że zarówno historia, jak i współczesność Śródziemnomorza to w gruncie rzeczy dzieje nieustannego starcia cywilizacji i religii. Od najdawniejszych czasów przez Morze Śródziemne próbowali dostać się do Europy najrozmaitsi „barbarzyńcy” (jak ich zwano u nas przez stulecia): Persowie, Fenicjanie z Kartaginy, Wandalowie, Arabowie, Turcy Osmańscy. Tak dzieje się również dzisiaj, gdy kolejne miliony mieszkańców Afryki i Azji przygotowują się do wypłynięcia na Morze Śródziemne w ucieczce przed wojną, nędzą, zacofaniem cywilizacyjnym i katastrofami klimatycznymi, korzystając z pomocy licznych przemytników ludzi oraz europejskich organizacji humanitarnych. Papież przyznaje: „Owszem, nie ignorujemy problemów, jest ich trochę, ale też nie dajmy się zwieść! To bowiem wymiana, jaka odbywała się między narodami, uczyniła z Morza Śródziemnego kolebkę cywilizacji i morze pełne skarbów”.

I, jak przystało na miejsce, z którego mówi, Franciszek przywołuje idee najsłynniejszego francuskiego historyka Śródziemnomorza Fernanda Braudela. „Morze Śródziemne to nie jeden krajobraz, ale niezliczone krajobrazy, nie jedno

morze, lecz szereg mórz [...]”. Przez tysiąclecia wszystko do niego wpływało, komplikując i wzbogacając jego historię” – pisał Braudel, a w Marsylii te słowa przywołuje papież. W wizji Franciszka właśnie ta cecha wielorakości i mozaikowości cywilizacji śródziemnomorskiej wytworzyła szczególną przestrzeń, w której człowiekowi objawia się Bóg. „*Mare nostrum jest przestrzenią spotkań: między religiami Abrahama, myślą grecką, łacińską i arabską; między nauką, filozofią i prawem oraz między wieloma innymi rzeczywistościami. To morze mówi światu o wartości istoty ludzkiej obdarzonej wolnością, otwartej na prawdę i potrzebującej zbawienia; istoty postrzegającej świat jako cud do odkrycia i ogród do zamieszkania, a więc znak obecności Boga zawierającego przymierze z ludźmi*”.

Rzymianie nazwali Morze Śródziemne *mare nostrum* z prozaicznego powodu – gdyż udało im się dokonać podboju wszystkich jego pięciu brzegów. Franciszek zapożycza jednak ten termin dla odmiennego celu. W ustach papieża słowa „nasze morze” oznaczają unikalną w skali globu mozaikę cywilizacji, która w wyjątkowy sposób objawiła światu fakt przymierza Boga z ludźmi. W końcu to

przecież właśnie przez Morze Śródziemne 2 tys. lat temu przeniknęło do Europy chrześcijaństwo. Prawdę mówiąc, słuchając wystąpienia Ojca Świętego w pałacu Faro, trudno nie odnieść wrażenia, że ten argentyński papież, tak często podejrzewany przez nas o niezrozumienie Europy i patrzenie na świat z jakiejś obcej dla nas kulturowej perspektywy, jest w gruncie rzeczy chrześcijaninem z krwi i kości śródziemnomorskim, czyli Europejczykiem tout court. Tyle tylko, że owa papieska wizja, w której Bóg objawia swe przymierze ze wszystkimi narodami za pośrednictwem kulturowej mozaiki śródziemnomorskiej, jest dopiero początkiem kluczowego nauczania Franciszka w kwestii moralnej natury dziejących się procesów migracyjnych.

MARSYLSKA MOWA PAPIEŻA

Papież mówi: „*Marsylia ma wielki port i jest wielką bramą, której nie można zamknąć. Z drugiej strony kilka portów śródziemnomorskich zostało zamkniętych. Rozbrzmiały dwa słowa, podsycające obawy ludzi: »inwazja« i »stan wyjątkowy«.* A porty są zamknięte. Jednak ci, którzy ryzykują życie na morzu, nie najeżdżają, lecz szukają gościny, szukają życia”.

Tu trzeba koniecznie zwrócić uwagę, iż przez ostatnie lata Franciszek zmienił pogląd na odbywającą się współcześnie nową wędrówkę ludów, tym razem krytykując określanie jej mianem „inwazji”. Tymczasem jeszcze w 2016 r., pod wyraźnym wpływem chaotycznych autostradowych marszów imigrantów przez Europę Środkową, w wywiadzie dla katolickiego pisma francuskiego „Le Vie” Franciszek bez obaw przyznawał, że Stary Kontynent stoi w obliczu „inwazji”, lecz od razu dawał do zrozumienia, że nie ocenia tego zjawiska negatywnie. Mówił wówczas: *„Dziś możemy mówić o inwazji arabskiej. Ale przecież faktem społecznym jest to, ilu najazdów Europa doświadczyła w swojej historii. Zawsze potrafiła pokonać samą siebie i ruszyć naprzód, by w końcu się powiększyć i udoskonalić przez wymianę między kulturami”*.

Ta zmiana papieskiej retoryki jest charakterystyczna. Papież, świadom faktu narastającej „inwazji” na Europę, nie bagatelizuje jej konsekwencji. O tym wyraźnie świadczą jego słowa sprzed siedmiu lat. Teraz natomiast nie chce straszyć nas, Europejczyków, słówkiem „inwazja” i napomina polityków, budujących swoją pozycję poprzez taki strach. Tu właśnie tkwi nerw całej imigracyjnej logiki papieża, a także niewralgiczny punkt myślowy jego marsylskiej mowy.

Dlaczego owa „inwazja”, której z retorycznych względów papież już nie chce nazywać inwazją, winna zostać zaakceptowana przez Europę? Bo są po temu dwa kluczowe powody. Pierwszy ma naturę moralną i dotyczy kwestii sprawiedliwości. Papież tak o tym mówi: *„Patrzę tutaj, na tej mapie, na uprzywilejowane porty: Cypr, Grecję, Malte, Włochy i Hiszpanię... Wychodzą one na Morze Śródziemne i przyjmują migrantów. Mare nostrum woła o sprawiedliwość, a jego brzegi emanują bogactwem, konsumpcjonizmem i marnotrawstwem z jednej strony, a biedą i niepewnością z drugiej. Również w tym przypadku Morze Śródziemne odzwierciedla świat, z Południem zwracającym się ku Północy, z tak wieloma krajami nękanymi niestabilnością, dyktaturami, wojnami i pustynnieniem, spoglądającymi w stronę bogatych w zglobalizowanym świecie, w którym wszyscy*

jesteśmy połączeni, lecz przepaści nigdy nie były tak głębokie”.

Lecz obok papieskiego żądania sprawiedliwości pojawia się jeszcze przyczyna druga, w gruncie rzeczy czysto polityczna, ujawniająca dalekosieźny sposób myślenia Franciszka o przyszłości Europy i imigrantach. Papież mówi: *„Zjawisko migracji nie jest bynajmniej chwilową pilną potrzebą, zawsze dobrą do wzniecania alarmistycznej propagandy, lecz faktem naszych czasów, procesem, który obejmuje trzy kontynenty wokół Morza Śródziemnego i musi być zarządzany z mądrą dalekowzrocznością: z europejską odpowiedzialnością,*

Franciszek: „Zjawisko migracji nie jest bynajmniej chwilową pilną potrzebą, zawsze dobrą do wzniecania alarmistycznej propagandy, lecz faktem naszych czasów, procesem, który musi być zarządzany z europejską odpowiedzialnością, zdolną do radzenia sobie z obiektywnymi trudnościami”

zdolną do radzenia sobie z obiektywnymi trudnościami”.

Z politycznego punktu widzenia to bez wątpienia najważniejszy passus z papieskiej mowy. Franciszek z całą wyrazistością stawia tu diagnozę, iż nowa wędrówka ludów nie jest jakimś doraźnym kryzysem, z którym Europa potrafi się uporać, o ile tylko znajdzie właściwe środki. Owa wędrówka ludów to bowiem „fakt naszych czasów” i „proces obejmujący trzy kontynenty”. Czyli coś na kształt tamtej, pierwszej, wielkiej wędrówki, zakończonej zniszczeniem Imperium Rzymskiego. Cywilizacyjna i materialna przepaść między Północą i Południem urosła do takich rozmiarów, a cały świat

się zarazem zglobalizował na tyle, że to nie miliony, lecz dziesiątki, a za niedługi czas setki milionów mieszkańców Azji i Afryki ruszą zapewne na Europę. My jesteśmy nieprzyzwoicie bogaci, oni żyją w nędzy. My się wyludniamy, oni mnożą w postępie geometrycznym. My tracimy własną religię i podważamy fundamenty swojej kultury, oni wierzą w moc Bożą i znaczenie swoich kulturowych obyczajów. Tego wszystkiego papież nie mówi wprost, lecz to wszystko zawiera się w jego diagnozie wielkiej migracji jako „faktu naszych czasów”.

Z historycznego doświadczenia Imperium Rzymskiego dobrze wiemy, że wobec takiego „faktu naszych czasów” można postępować na dwa sposoby. Tak jak niegdyś uczynił to zachodni Rzym, czyli wpuszczając na swe terytoria obcych kulturowo przybyszów i próbując ich inkulturować, a nawet uczynić ich obrońcami imperium. To się nawet dość długi czas nieźle udawało, zaś przełomem okazał się dopiero 378 r. i Adrianopol, czyli straszliwa kłótnia pomiędzy cesarstwem i udomowionymi już barbarzyńskimi przybyszami, zakończona śmiercią cesarza Walensa na polu bitwy oraz szybkim i całkowitym upadkiem państwa. Sposób drugi to strategia wschodniego Rzymu, czyli Bizancjum, polegająca na budowie coraz to bardziej

zacieśniających się murów, blokujących barbarzyńcom dostęp na teren imperium. Dzięki tej strategii Bizancjum upadło dopiero 1 tys. lat później. Jeśli z tej perspektywy słuchać marsylskiej mowy papieża, to przekonuje on nas, że mimo wszystko ówczesna strategia Zachodu była lepsza, bardziej moralna i odpowiadała zasadzie sprawiedliwości.

Wystąpienie Franciszka w Marsylii jasno pokazuje, że papiestwo nie wierzy w ocalenie Europy w jej obecnym, zdegenerowanym kształcie, a w migracji upatruje nadziei na jakiś jej nowy przyszły początek. Tę papieską mowę winien koniecznie poznać każdy wyznawca rzymskiego katolicyzmu. 

Z Alior Pay KONTO I KARTA



COFAJ PŁATNOŚCI
Z ALIOR PAY
W ALIOR MOBILE
NA 30 DNI ZA DARMO.
RRSO: 7,9%

za **0 zł**
przez rok!

www.aliorbank.pl

Rzeczywista Roczna Stopa Oprocentowania (RRSO) dla limitu kredytowego Alior Pay (dalej: limit) w promocji „Powroty za mniej” wynosi 7,9%, całkowita kwota limitu (bez kredytowanych kosztów): 2700 zł, całkowita kwota do zapłaty: 2821,31 zł, oprocentowanie stałe: 8,91%, całkowity koszt limitu: 121,31 zł (w tym odsetki: 121,31 zł, miesięczna prowizja za spłatę kwoty transakcji Alior Pay w ratach: 0 zł, tj. 0 zł rocznie, przy założeniu, że klient realizuje 1 transakcję Alior Pay w wysokości 2700 zł w dniu zawarcia umowy o przyznanie limitu i spłaci ją w 11 ratach miesięcznych, w tym 10 równych rat w wysokości 256,49 zł, ostatnia rata: 256,41 zł). Decyzja o przyznaniu limitu i jego wysokość zależą od zdolności kredytowej klienta. Kalkulacja dokonana na 1.10.2023 r. na reprezentatywnym przykładzie. Warunkiem skorzystania z ww. promocji jest zawarcie w okresie jej trwania umowy o limit. Aby zawrzeć umowę o limit, należy posiadać w Alior Banku konto osobiste w PLN oraz aplikację Alior Mobile. W promocji „Lepiej z Alior Pay” nie naliczymy miesięcznych opłat za prowadzenie konta osobistego i obsługę karty debetowej przez 12 miesięcy po zawarciu umowy o limit. Ww. promocje obowiązują od 1.10.2023 r. do 31.01.2024 r. Regulaminy powyższych promocji, informacje o limicie, regulaminy kont, kart debetowych i kanałów elektronicznych, Taryfa opłat i prowizji dla Klientów Indywidualnych oraz słownik usług reprezentatywnych dostępne są w placówkach Alior Banku SA i na www.aliorbank.pl.

Armia na granice!

Napływ nielegalnych imigrantów do Chorwacji, kraju położonego na granicy Unii Europejskiej, wzrósł w tym roku o 170 proc. Doszło też do pierwszych poważnych incydentów, a politycy domagają się wystania wojska na granicę



GORAN ANDRIJANOVIĆ

Przelom sierpnia i września to koniec najważniejszej części sezonu turystycznego w Chorwacji. W tym roku zamiast cieszyć się kolejnym całkiem udanym sezonem w turystyce Chorwaci się zamartwiali. Sen z powiek spędza im duży wzrost przepływu nielegalnych imigrantów z Bliskiego Wschodu i Afryki do ich kraju.

LUdzie ZACZĘLI SIĘ BAĆ

Obszary borykające się z problemem nielegalnej migracji to przede wszystkim część Chorwacji granicząca z Bośnią i Hercegowiną, a dokładniej z tamtejszym regionem wokół miasta Bihać, lecz także część na wschodzie granicząca z Serbią. Bałkańskie szlaki nielegalnej migracji przebiegają przez obie granice.

Obywatele Chorwacji zamieszkujący te tereny byli już przyzwyczajeni do tego, że przez ich miejscowości przechodzą grupy nielegalnych imigrantów, często włamujących się do ich domków letniskowych. Jednak w ciągu ostatnich kilku miesięcy bardzo wzrosła liczba takich incydentów, co zaniepokoiło Chorwatów.

Choć nie było konkretnych wypadków, w których ktoś by zginął lub został ranny, presja na granicy stała się tak wielka, że ludzie zaczęli się bać. Na tyle, że musiała nastąpić reakcja rządu Andreja Plenkovicia, szefa Chorwackiej



Wspólnoty Demokratycznej (HDZ) – partii, którą można określić jako wyznawcę „niemieckiej chadecji”.

Na konferencji prasowej wystąpił minister spraw wewnętrznych Davor Božinović. Ubrany w policyjny mundur próbował uspokoić opinię publiczną. Wybór miejsca konferencji nie był przypadkowy – odbyła się ona w Karlovacu, mieście będącym centrum żupanii (chorwacki odpowiednik województwa) graniczącej z Bośnią i Hercegowiną. Minister powiedział, że w tym roku w całej Europie i we wszystkich kierunkach, w tym w Chorwacji, wzrosła presja nielegalnej migracji. Stwierdził też dość szokujący fakt: liczba migrantów wzrosła aż o 170 proc., a liczba wniosków o azyl o 700 proc. „Chcemy służyć obywatelom i wzmacniać poczucie bezpieczeństwa. Chorwacja, jeśli mówimy o szlakach lądowych, znajduje się pod największą presją” – stwierdził Božinović.

Obok niego stała Martina Furdek Hajdin, żupan żupanii karlovačkej,

która również próbowała studzić emocje mieszkańców. „Możemy być pewni naszej policji. Ma dość sił, aby chronić nasz teren, a samoubrojenie i samoorganizacja są niepotrzebne” – oświadczyła, potwierdzając tym samym, że niektórzy obywatele poważnie rozważają wzięcie spraw w swoje ręce.

Jak bardzo pomogła uspokoić Chorwatów ta konferencja prasowa? Na niewiele się zdała, bowiem zaraz po niej doszło do kilku poważnych incydentów z udziałem migrantów. Ok. 100 nielegalnych przybyszów wtargnęło do pociągu. Zachowywali się bardzo agresywnie, zaczepiali pasażerów. Konieczna była interwencja kilku konduktorów.

Kolejnym incydentem była strzelanina na granicy. Podczas blokady przejścia imigrantów z Bośni i Hercegowiny do Chorwacji, którą przeprowadziła chorwacka policja, od strony BiH padły strzały. Na szczęście kule nikogo nie trafiły ani nie zraniły. Chorwacka policja potwierdziła to wydarzenie, ale nie podała szczegółów.

– Sytuacja się zaostrzyła. Wszyscy w Unii mówią o Lampedusie, lecz na granicy Chorwacji z Bośnią i Hercegowiną są dziesiątki tysięcy migrantów. To są w większości młodzi ludzie, między 20 a 30 lat. W mediach nie ma o tym żadnej wiadomości – mówi nam chorwacki publicysta i analityk Ivica Šola.

POLICJA TO ZA MAŁO

Šola napisał niedawno felieton, w którym wezwał chorwacki rząd do wysłania armii na granice. „Kraje zachodnie w obliczu katastrofalnych skutków imigracji mogą zacząć się zamykać mimo Schengen (Chorwacja weszła do strefy w tym roku). Chorwacja stanie się schronieniem dla wielu migrantów. Dlatego musimy się bronić, bo nikt inny tego za nas nie zrobi. Ministrze Božinoviću, armia na granicę!” – napisał wtedy.

Rzeczywistość potwierdziła jego słowa. Słowenia ogłosiła zamknięcie granicy z Chorwacją.

– Granica z Bośnią i Hercegowiną oraz Serbią jest bardzo długa. Dlatego policja nie da rady zrobić tego sama, potrzebne jest tam wojsko, a może i ogrodzenie – mówi nam publicysta. – Martwi mnie to, iż rząd chorwacki zaprzecza pilności sytuacji. Być może nie mamy wystarczająco dużej armii, lecz z psychologicznego punktu widzenia ważne jest, aby ci młodzi nielegalni imigranci widzieli na granicy żołnierzy i pojazdy opancerzone.

Idea publicysty znalazła w także swój polityczny wyraz. Kilka opozycyjnych, konserwatywnych partii parlamentarnych zaczęło lobbować na rzecz wysłania armii na granicę. Najgłośniejsza z nich to partia Most.

– Dziesiątki tysięcy migrantów przekraczają granicę między Bośnią i Hercegowiną a Chorwacją, a ponieważ Słowenia jest już zamknięta, ci migranci nie mogą opuszczać Chorwacji i udać się tam, gdzie zamierzali. Będziemy zmuszeni zatrzymać ich na swoim terytorium wbrew ich woli – mówi nam jeden z liderów Mostu Nikola Grmoja. – Chorwacja stanie się gorącym punktem i dlatego należy wzmocnić granicę siłami zbrojnymi w krytycznych miejscach, ponieważ po-

licja nie jest już w stanie tego robić sama. Ponadto wyjście armii na granice byłoby odstrasżającym sygnałem dla migrantów.

Nasi rozmówcy są zgodni: skutki obecnej polityki migracyjnej Unii Europejskiej kreowanej przez Niemcy są katastrofalne.

– Polityka UE wobec migrantów jest pełna hipokryzji i skrajnie nieodpowiedzialna wobec obywateli. Trzeba tylko jasno stwierdzić, że nielegalny wjazd na terytoria państw członkowskich jest niedopuszczalny. Wszystkie czołowe organy Unii muszą jednoznacznie uznać, że zewnętrzna granica UE będzie stanowczo bronią. Jednocześnie kwestia legalnej imigracji powinna leżeć wyłącznie w gestii rządów krajowych, które według potrzeb własnego rynku pracy, a także specyfiki kulturowej, będą podejmować w tej sprawie decyzje – mówi Grmoja.

Sytuacja się zaostrzyła. Wszyscy w Unii mówią o Lampedusie, lecz na granicy Chorwacji z Bośnią i Hercegowiną są dziesiątki tysięcy migrantów – mówi chorwacki publicysta Ivica Šola

Šola ostrzega przed nieadekwatnością istniejących przepisów prawnych dotyczących nielegalnej imigracji, co utrudnia walkę z nią i stawia policję w niewygodnej sytuacji. Nielegalni imigranci często są agresywni, na co policja nie jest w stanie odpowiednio zareagować.

– Problemem jest niejasność prawna, wiążąca ręce policji, często narażonej na ataki fizyczne. Rozmawiałem z naszymi funkcjonariuszami, którzy to przyznali. Niektórzy odeszli z pracy i przeszli do innej, ponieważ nie chcą ryzykować życia za tak małe pieniądze, bo mają prawnie związane ręce – opowiada Šola. Publicysta mówi także o negatywnej roli lewicowych organizacji pozarządowych: – Takie stowarzy-

szenia potajemnie nagrywają chorwackich funkcjonariuszy na granicy w sytuacjach koniecznej fizycznej interwencji, a następnie twierdzą, że te nagrania kompromitują policję. Należy pilnie zmienić ustawodawstwo na szczeblu UE, bo w imię praw człowieka chronieni są ci, którzy dopuszczają się czynów przestępczych i nielegalnie przedostają się do obcych krajów. To nie są prawa człowieka, ale zwykły kryminal.

PRZYKŁAD POLSKI

Nasi rozmówcy są zgodni co do jeszcze jednego: Polska jest przykładem kraju dobrze i skutecznie podchodzącego do problemu nielegalnej imigracji. To przykład do naśladowania.

– Migranci i ich zorganizowana wysyłka do Europy, od Morza Śródziemnego po Polskę, są częścią wojny hybrydowej mającej wywołać chaos na kontynencie. Niestety, w tej kwestii nie pomaga też papież Franciszek, który nie głosi już Chrystusa, lecz walczy o prawa migrantów i przeciwdziała zmianom klimatycznym. Pokazał to wyraźnie w Marsylii. Gdy chrześcijaństwo upada, priorytetem papieża są muzułmańscy imigranci – mówi Šola.

– Polska jest ważna dla świata zachodniego ze względu na swoje położenie geopolityczne – wyjaśnia Grmoja. – Niestety, dziś jest narażona na wojnę hybrydową Federacji Rosyjskiej i Białorusi, lecz również na naciski Brukseli, która pod wpływem Niemiec źle traktuje demokratycznie wybrany rząd w Warszawie.

Obecny gabinet uczynił z Polski gospodarczą i militarną potęgę. Państwo bardzo ważne dla zachowania wartości cywilizacji zachodniej. Dlatego byłoby dobrze, gdyby wybory wygrał PiS, bo jest jedyną gwarancją kontynuacji dalszego umacniania się Polski jako bariery dla rosyjskiego imperializmu, lecz również dla pelzającego europejskiego federalizmu.

Rząd w Zagrzebiu na razie odrzuca wnioski o wysłanie armii na granice i twierdzi, że monitoruje sytuację. Jeśli jednak napięcie na chorwackich granicach utrzyma się, będzie musiał zareagować. Nikt nie chce ignorować problemu bezpieczeństwa obywateli, przecież byłoby to polityczne samobójstwo.

Dylematy Zełenskiego

„Plan marzeń” prezydenta Ukrainy miał polegać na osiągnięciu w tym roku trzech sukcesów: uzyskania zaproszenia do NATO w Wilnie, przeprowadzenia zwycięskiej ofensywy, co w efekcie miało doprowadzić do dojścia ukraińskich sił do Morza Azowskiego i izolowania Krymu, oraz formalnego rozpoczęcia rozmów akcesyjnych z Unią Europejską. Tyle że dwóch pierwszych sukcesów brak, a i trzeci jest wątpliwy



MAREK BUDZISZ

Tom Cooper, jeden z popularnych na Zachodzie obserwatorów wojny na Ukrainie, napisał, że to, co robią siły zbrojne dowodzone przez gen. Żaluźnego, to „nie jest ładna, ani seksi, ani tym bardziej szybka operacja wojenna”,

ale najważniejsze jest, że ona działa. Jak zauważył, strona ukraińska metodycznie niszczy rosyjskie stanowiska dowodzenia, pozycje artylerii i obronę przeciwlotniczą. W ciągu ostatnich czterech miesięcy rosyjskie straty, jeśli chodzi o te systemy, są większe niż w ciągu pierwszych czterech miesięcy wojny, kiedy mogliśmy oglądać długie kolumny spalonych rosyjskich czołgów i transporterów.

BITWA O KRYM

Przykładem tego, jak metodycznie działają w ostatnim czasie Ukraińcy, są

operacje na Krymie. Najpierw zniszczyli rosyjskie systemy radarowe, potem wartą 1 mld dol. baterię S-400, a następnie uderzyli, zabijając kilkudziesięciu oficerów, w sztab rosyjskiej Floty Czarnomorskiej w Sewastopolu. Wcześniej w wyniku ataku dronów udało im się znacznie uszkodzić remontowany okręt desantowy i podwodny klasy Klio, jeden z sześciu, które rosyjska marynarka wojenna ma na wyposażeniu.

Glen Howard, były prezes Jamestown Foundation i autor książki poświęconej sytuacji strategicznej na Morzu Czarnym, porównał na łamach „Financial Times”



Kyryło Budanowa, szefa ukraińskiego wywiadu wojskowego, którego służby przygotowywały te operacje, do Francisza Drake'a, słynnego kapra – pomysłowość i strategia ciągłego nękania wroga pozwoliła rozbić hiszpańską Wielką Armadę zagrażającą Anglii. W jego opinii pomysłowość i innowacyjność ukraińskich sił zbrojnych – państwa, którego marynarka wojenna została zniszczona w pierwszych dniach wojny – już doprowadziła do znaczących zmian strategicznych na Morzu Czarnym. Rosjanie nie mają swobody operowania, musieli odsunąć się bardziej na południe i wschód w obawie przed ukraińskimi atakami, a to z kolei dało Kijowowi możliwość podjęcia próby przełamania rosyjskiej blokady morskiej. Już dwa statki ze zbożem wypłynęły z Odessy i nową trasą żeglugową wiodącą przez rumuńskie wody terytorialne dotarły do tureckich cieśnin, a potem popłynęły dalej do odbiorców w Afryce Północnej.

To, co robią na Krymie siły specjalne podległe Budanowowi, nie ogranicza się wyłącznie do prób rozerwania łańcucha rosyjskiej blokady. Intencją Kijowa jest to, aby „wojna przyszła” na anektowany półwysep. Powód jest oczywisty – bez odzyskania Krymu Ukraina nie może myśleć o trwałym odblokowaniu swych portów, a rosyjska obecność wojskowa w Sewastopolu i innych bazach będzie zawsze zagrożeniem. Innymi słowy z perspektywy Kijowa wojna nie będzie wygrana, jeśli nie uda się odzyskać półwyspu.

Trwająca od maja ofensywa Ukrainy, jak powiedział niedawno mediom dowodzący zgrupowaniem Tawria gen. Oleksandr Tarnawski, ma na celu przede wszystkim zdobycie Tokmaku, kluczowego węzła komunikacyjnego na Zaporozżu – tędy przebiega m.in. droga łącząca Krym z Rostowem nad Donem. Jej przecięcie skazywałoby Rosjan na dowożenie zaopatrzenia dla półwyspu jedynie przez most Kerczeński i z wykorzystaniem połączeń promowych. Plany dowództwa zakładają, że do końca roku uda się pokonać 16–18 km dzielących w linii prostej front od tego ośrodka i opanować miasto, które jest dobrze umocnione, więc walki o nie mogą przypominać starcia o Bachmut.

Z kolei Mychajło Żyrochow, analityk i historyk wojskowości, powiedział BBC,

że siły ukraińskie najprawdopodobniej nie planują szturm miasta, a raczej będą chciały je izolować i odcinając drogi zaopatrzenia, zmusić Rosjan do kolejnego „gestu dobrej woli”, czyli wycofania się.

Obecnie strona ukraińska stara się poszerzyć i umocnić wyłom dokonany w rosyjskich liniach obrony na północ od Tokmaku, w okolicach wsi Robotyne i Werbowe. W najszerszym miejscu ma on 10, zaś w najwęższym jedynie 4 km, co oznacza, iż nadal istnieje zagrożenie, że Rosjanie, uderzając na flanki, będą się starali okrążyć siły ukraińskie. Już raz tego próbowali. Pod koniec sierpnia rzucili do walki swe najlepsze jednostki rezerwowe w postaci czterech dywizji wojsk powietrzno-desantowych. Plan się nie powiódł. Ukraińcy odparli atak, a rosyjskie straty były bardzo duże. Jak się uważa, niemal całkowicie zniszczona została 810. Brygada Piechoty Morskiej oraz trzy pułki wojsk powietrzno-desantowych. Zdaniem niektórych ukraińskich komentatorów ta porażka, oznaczająca znacznie osłabienie rosyjskich sił rezerwowych, na dłuższy czas odebrała Moskalom możliwość przeprowadzania operacji zaczepnych. Nie zmienia to jednak faktu, że strona ukraińska również dokonała rewizji swojej taktyki. Walczy ostrożniej, nie tylko prac naprzód, lecz także umacnia swoje pozycje na skrzydłach, starając się w ten sposób asekurować na wypadek rosyjskich kontruderzeń. To właśnie z powodu metodycznego czyszczenia pola tempo ukraińskiej ofensywy spadło na tyle, iż co bardziej niecierpliwi komentatorzy formułują tezę, że stanęła ona w miejscu.

PLAN ZELENSKIEGO

Z pewnością otoczenie prezydenta Zełenskiego, a może i on sam, nie są zadowoleni z takiego obrotu spraw. Komentatorzy w ukraińskich mediach pisali już kilka tygodni temu, że to świat polityki wywierał presję na wojskowych, aby szybko i na dużą skalę ruszyć do natarcia. Zełenskiemu miało zależeć na spektakularnym sukcesie przed szczytem NATO w Wilnie, bo w świetle tych kalkulacji mogło to pomóc w uzyskaniu zaproszenia Ukrainy do Sojuszu Północnoatlantyckiego. Załóżny miał być ponoć

przeciwnikiem rozpoczęcia nieprzygotowanego wówczas uderzenia. Zresztą frontalny atak na Zaporozżu skończył się dla Ukraińców bolesną porażką, niektórzy zachodni komentatorzy mówili nawet o stratach wynoszących 10 proc. dostarczonego przez sojuszników sprzętu.

Zełenski miał naciskać na szybką ofensywę, bo jej sukces wpisywał się w wielki plan polityczny ukraińskiego prezydenta. Chodzi oczywiście o wybory, które powinny odbyć się wczesną wiosną przyszłego roku. Formalnie można je przesunąć, również dlatego, że ogłoszony wraz z rosyjską agresją stan wojenny wprost zabrania przeprowadzania głosowania. Jednak jak informują dziennikarze portalu NV, w administracji Zełenskiego rozważa się czasowe zawieszenie jego rygorów, aby móc przeprowadzić wybory. Na ich zorganizowanie nalegają też niektórzy zachodni sojusznicy Ukrainy, bo kadencja Rady Najwyższej upływa w październiku tego, a prezydenta w przyszłym roku. Jeśli wybory nie zostaną przeprowadzone, to rosyjska propaganda będzie na cały świat trąbiła o tym, że Ukrainą rządzi ludzie bez demokratycznego mandatu. Z punktu widzenia politycznych kalkulacji Zełenskiego ważne jest wszakże to, co powinno stać się zanim dojdzie do głosowania.

„Plan marzeń” obecnej głowy państwa, jak się uważa na Ukrainie, polegał na osiągnięciu w tym roku trzech sukcesów: uzyskania zaproszenia do NATO w Wilnie, przeprowadzenia zwycięskiej ofensywy i przełamania rosyjskich linii, co w efekcie miało doprowadzić do dościsła ukraińskich sił do Morza Azowskiego i izolowania Krymu, a trzecim celem nadal jest formalne rozpoczęcie rozmów akcesyjnych z Unią Europejską. Ten potrójny sukces na tyle wzmocniłby wewnętrzną pozycję Zełenskiego, że bez ryzyka mógłby podjąć decyzję o wyborach. Tyle że dwóch pierwszych sukcesów brak, a i trzeci jest wątpliwy.

Powodem jest nieskuteczność walki prezydenckiej ekipy z korupcją. Rada Najwyższa, w której Sługa Narodu ma większość, już trzykrotnie nie dopuszczała do procedowania ustawy przywracającej jawność oświadczeń majątkowych posłów i osób publicznych, co mocno krytykują zarówno ukraińscy

komentatorzy, jak i zachodni eksperci. Afery korupcyjne w Ministerstwie Obrony doprowadziły nie tylko do dymisji ministra Reznikowa, ale również odwołania całego kierownictwa resortu, o którym wiadomo, że było układane przez Andrija Jermaka, szefa prezydenckiej administracji. W świetle ostatnich badań opinii publicznej niemal 80 proc. Ukraińców uważa, że za korupcję osobiście odpowiada Zelenski i jego otoczenie. Co gorsza, niecierpliwą się również sojusznicy, w tym Amerykanie. Ci mianowali ostatnio specjalnego rewizora Roberta Storch, który ma sprawdzić, czy pomoc wojskowa, jaką otrzymała Ukraina, ale również wsparcie finansowe, zostały prawidłowo wykorzystane.

Na jaw mogą wyjść nieciekawe sprawy, w efekcie osłabiające pozycję Zelenskigo. Tym bardziej że armia, a pamiętajmy, że na Ukrainie w mundurach jest ponad 900 tys. ludzi, już zaczyna szemrać, że elity w Kijowie „dobrze się bawią”, a żołnierze na froncie nie otrzymują wszystkiego, czego powinni. Zresztą już od co najmniej roku mówi się na Ukrainie, że między Zelenskim a Żołnierzem „nie ma miłości” i to dowódca naczelny Sił Zbrojnych Ukrainy, zrzucający mundur, może rzucić obecnemu prezydentowi wyborcze wyzwania. Z perspektywy Zelenskigo wynik tego starcia jest niepewny, tym bardziej że trzeci z sukcesów, które chciał w tym roku osiągnąć prezydent w postaci formalnego rozpoczęcia negocjacji z UE też wisi na włosku. Społeczna komisja, złożona z aktywistów i ekspertów, utworzona przez Brukselę, zapewne wyda pozytywną ocenę zaawansowania ukraińskich reform. Tyle że decyzję w sprawie rozpoczęcia rozmów akcesyjnych będą podejmować nie aktywiści i eksperci, też nie Ursula von der Leyen, lecz państwa członkowskie. A tu może nie być łatwo, bo przeciwników szybkiej akcesji Ukrainy do UE jest we Wspólnocie wielu, szczególnie w zachodniej części kontynentu. Może się zatem okazać, że trzeci z sukcesów, które Zelenski chciał w tym roku osiągnąć, również znajduje się poza zasięgiem jego możliwości. Notabene sztywne stanowisko

Kijowa w kwestii zboża można nawet interpretować jako przygotowanie sobie zawczasu alibi i szukanie tych, którzy mieliby zablokować szybkie rozmowy Ukrainy w sprawie akcesji.

OCZEKIWANIA SOJUSZNIKÓW

Jeśli mowa o wewnętrznej sytuacji na Ukrainie, trzeba też zwrócić uwagę na jeszcze dwa trendy, z pewnością nie działające na korzyść Zelenskigo. Amerykanie oficjalnie zażądali, aby władze zaczęły głębokie reformy. Biały Dom opublikował list, w którym uzależnia kontynuowanie pomocy ekonomicznej od rozpoczęcia i wdrożenia drakońskich zmian. W ciągu 12 miesięcy mają np. zostać na Ukrainie uwolnione ceny energii

Ukraiński prezydent znalazł się w trudnej sytuacji. Szanse na sukces maleją, a wyzwania i krytyka jego dotychczasowej polityki rosną. Tym można tłumaczyć jego narastające rozdrażnienie i serię dyplomatycznych potknięć

elektrycznej i gazu. W efekcie takiego posunięcia ceny wzrosną, a popularność rządzących zapewne spadnie. Co gorsze, przedłużająca się wojna oznacza pogłębiające się trudności ekonomiczne. Aby kontynuować walkę, Ukraina musi w przyszłym roku dostać od sojuszników w postaci kredytów i darowizn 42,8 mld dol. Przede wszystkim dlatego, że wszystko, co udaje jej się zebrać z podatków, przeznaczają na finansowanie wojny. Bez zachodniej pomocy państwo przestanie funkcjonować. Jeśli pomoc nie dotrze, a np. UE założyła, że wojna skończy się w czerwcu i planuje przekazać Kijowowi w przyszłym roku połowę tego, co Ukraina potrzebuje, to trzeba będzie albo ograniczyć finansowanie

armii, albo zacząć drakońskie oszczędności w innych sektorach.

Roksolana Pidlasa, deputowana Sługi Narodu kierująca komisją budżetu i finansów publicznych w Radzie Najwyższej, powiedziała, że trzeba będzie zapewne zacząć zwalniać urzędników, ograniczyć środki na renty, emerytury, ochronę zdrowia i pomoc społeczną. W grę wchodzi także dodruk pieniędzy, czego w tym roku nie zrobiono, ale w ubiegłym rząd zmuszony był uciekać się do takiego środka. W efekcie inflacja skoczyła wówczas do ponad 20 proc. W scenariuszu niekorzystnym dla Ukrainy możemy mieć w przyszłym roku do czynienia zarówno z powrotem dwucyfrowej inflacji, jak i wzrostem cen w związku z oczekiwaniami amerykańskich sojuszników.

Trudno zakładać, aby w takich realiach popularność Zelenskigo rosła. To wyjaśnia, dlaczego można mówić, iż ukraiński prezydent znalazł się w trudnej sytuacji. Szanse na sukces maleją, a wyzwania i krytyka jego dotychczasowej polityki rosną. Tym można tłumaczyć jego narastające rozdrażnienie i serię dyplomatycznych potknięć.

Trzeba pamiętać jeszcze o jednym. Otóż 18 października przestaje obowiązywać rezolucja ONZ nr 2231, która zabrania Iranowi zawierania porozumień w sprawie sprzedaży produkowanych przez nich rakiet balistycznych, w tym mających zasięg 300 km systemów Fateh-110 i Zolfoghar. Rosja, o czym wiadomo już od kilku miesięcy, jest

zainteresowana ich pozyskaniem i zapewne dlatego Szojgu wybrał się w połowie września do Teheranu. Media spekulują, iż istnieje związek między podróżą rosyjskiego ministra obrony a niedawną wizytą i rozmowami, które Putin przeprowadził we Władywostoku z północnokoreańskim dyktatorem. Wspólnym tematem mają być dostawy broni, zarówno amunicji, jak i rakiet zarówno od Iranu, jak i Korei Płn. Moskwa, jak się uważa, przygotowuje się już, gromadząc zapasy broni i amunicji, do zimowo-wiosennej ofensywy, kiedy jej siły miałyby przejąć inicjatywę i skruszyć ukraińskie linie. Z tym też musi się liczyć przywództwo Ukrainy, przygotowując się do przyszłego, trzeciego, roku wojny.



Duch Hegla krąży nad Watykanem

Synod ds. synodalności jest nazywany procesem, ruchem, wspólnym podążaniem, przygodą, doświadczeniem, podróżą, a nawet podróżą w podróży, jednak nikt nie mówi, w którym kierunku to wszystko zmierza



GRZEGORZ GÓRNY

4 października w Rzymie zaczyna się watykański etap synodu o synodalności. W świecie katolickim wydarzenie wywołuje mieszane uczucia. Oprócz głosów entuzjastów nie brak też krytycznych opinii, np. kard. Gerhard Müller nazwał synod próbą „wrogiego przejęcia Kościoła Jezusa Chrystusa”, kard. Raymond Burke „puszką Pandory”, zaś kard. George Pell

(w swym ostatnim tekście opublikowanym przed śmiercią) „toksycznym koszmarem”. To bardzo mocne określenia, zwłaszcza że wyszły z ust najwyższych dostojników kościelnych.

GROŹBA MENTALNEJ SEKULARYZACJI

Wiele niepokojów wyrażonych przez wspomnianych purpuratów wydają się podzielać również polscy delegaci na rzymski synod. Mówił o tym m.in. przewodniczący Episkopatu Polski abp Stanisław Gądecki w niedawnym wywiadzie dla KAI. Jego zdaniem podczas dotychczasowych prac synodalnych ujawniło się niebezpieczeństwo zbyt dużego dopasowania się do istniejących struktur demokratycznych, inaczej mó-

wiąc: groźba mentalnej sekularyzacji, która sprawia, że Kościół, zamiast realizować swą prawdziwą misję, skupia się na celach doczesnych i upodabnianiu się do świata świeckiego.

Jeszcze niedawno hierarcha sądził, że głównym motorem rozsądzania Kościoła od środka jest niemiecka droga synodalna, teraz jednak dostrzegł, że jest to proces znaczenie szerszy. Także w innych krajach podczas obrad synodalnych pojawiły się postulaty sprzeczne z całym nauczaniem i tradycją Kościoła, np. moralna akceptacja dla czynów homoseksualnych, możliwość wyświęcania kobiet na kapłanki czy zmiana ustroju hierarchicznego Kościoła poprzez zerwanie więzi między święceniami kapłańskimi a sprawowaną władzą.

Abp Gądecki przestrzegł też przed używaniem wieloznacznych sformułowań, które mogą być rozmaicie interpretowane, jak np. inkluzja: „Choć słowo to pojawia się w dokumentach przygotowanych do synodu, jak i w ustach samego papieża Franciszka, to nikt go dokładnie nie zdefiniował. W pozytywnym znaczeniu pod pojęciem »inkluzja« można rozumieć postawę włączenia i przyciągnięcia do wspólnoty Kościoła osób znajdujących się na marginesie, co jest wyrazem miłosierdzia. Taka była postawa Jezusa. Lecz inkluzja może też znaczyć komunie dla osób rozwiedzionych, żyjących w nowych związkach czy też osób LGBT+, w duchu nowych, modnych ideologii lewicowo-liberalnych. Mówi się też np. o tym, że wykluczone czują się osoby żyjące w związkach poligamicznych. Tutaj nie padają jakieś jasne propozycje, zaznacza się, iż należałoby wszystkich włączać do Kościoła, żeby nikt nie czuł się wykluczony. Trzeba jednak rozróżnić pomiędzy przyciąganiem człowieka a akceptowaniem grzechu. Wierność nauczaniu Kościoła w niczym nie przekreśla szanowania godności osób homoseksualnych, w taki sposób, jaki należy się każdemu człowiekowi. Natomiast »przyciąganie« grzechu nie może być tym, czym Kościół jest zainteresowany. A tym bardziej nie można dopuścić błogosławienia związków homoseksualnych, czego domagają się środowiska LGBT+. Potrzebne jest nawrócenie i łaska, a nie afirmacja grzechu. Zamiast uspokajających sumienie słów o tak rozumianej »inkluzji«, lepiej byłoby studiować Słowo Boże, Objawienie i naukę Kościoła, a także skorzystać z sakramentu pokuty”.

Obawy abp. Gądeckiego są całkowicie uzasadnione, ponieważ wielu dostojników z Zachodu (m.in. przewodniczący Episkopatu Niemiec bp Georg Bätzing czy bp Joseph Maria Bonheim ze Szwajcarii) już zapowiada, że podczas najbliższego synodu będzie prowadzić kampanię na rzecz zmiany katolickiej etyki seksualnej, zwłaszcza w odniesieniu do homoseksualizmu. Hierarchowie z Belgii przyjadą natomiast do Rzymu z gotowym obrzędem liturgicznym błogosławienia par jedнопłciowych w świątyniach, który opracowali niemal rok temu.

WSZYSCY WSZYSTKO O WSZYSTKIM

Niepokój wielu katolików budzi do tychczasowy przebieg synodu na szczeblach krajowych i kontynentalnych. Do udziału w wydarzeniu zostali zaproszeni – jak się wyraził sam Franciszek – „wszyscy, wszyscy, wszyscy”. Nie miało być żadnych tematów tabu. W efekcie na wszystkich kontynentach w pracach synodalnych wzięli udział przedstawiciele wszystkich możliwych opcji i środowisk, łącznie z grupami LGBT+, otwarcie sprzeciwiającymi się nauce Kościoła. Jak się można było spodziewać, przedstawiono wszystkie możliwe, realne i nierealne, postulaty dotyczące niemal każdej dziedziny życia Kościoła, niezależnie od tego, czy są one sprzeczne z Magisterium, czy też nie. Jednym zdaniem: wszyscy mówili wszystko o wszystkim.

Jak zauważył abp Gądecki: „Przy tak szerokim »responsie«, jaki został zebrany, są tam propozycje sensowne, jak i szkodliwe. Pytanie jest zatem takie, jak rozróżnić jedno od drugiego i jak dokonać rozeznania, że coś jest dobre dla Kościoła, a coś nie jest”.

Na kształt końcowych dokumentów synodalnych na szczeblach lokalnych wpływ miało jednak specjalne vademecum, wydane przez sekretariat generalny synodu. Czytamy w nim m.in.: „Ważne jest, byśmy dołożyli wszelkich starań, by wysłuchać głosów wszystkich, zwłaszcza tych, którzy są marginalizowani. [...] W podsumowaniu należy zwrócić szczególną uwagę na głosy tych, których często nie słyszały i uwzględnić w nim to, co moglibyśmy nazwać »raportem mniejszości«. [...] Podsumowanie diecezjalne powinno odzwierciedlać różnorodność wyrażanych poglądów i opinii, a także zwracać szczególną uwagę na przeżycia uczestników, zarówno pozytywne, jak i negatywne. Nie należy pomijać sprzecznych ze sobą punktów widzenia, lecz należy je uznać i uwzględnić. Niektórych poglądów nie należy wykluczać tylko dlatego, że zostały wyrażone przez niewielką mniejszość uczestników”.

Rodzi się pytanie: czym są te marginalizowane mniejszości, których głos należy koniecznie uwzględnić? Precyzuje

to dokument roboczy kontynentalnej fazy synodu: „Wśród tych, którzy proszą o bardziej zdecydowany dialog i bardziej przyjazną przestrzeń, znajdujemy także tych, którzy z różnych powodów czują napięcie między przynależnością do Kościoła a relacjami emocjonalnymi, jak osoby rozwiedzione, które zawarły ponowny związek małżeński, osoby samotnie wychowujące dzieci, osoby żyjące w związkach poligamicznych, osoby LGBT+ itp.”.

SYNODALNOŚĆ A HEGLIZM

Niejasności potęguje też samo pojęcie „synodalność”. W dokumentach Soboru Watykańskiego II słowo „synod” widniało tylko raz, i to jako synonim słowa „sobór”, skupiającego wyłącznie papieża i biskupów. Z kolei wyraz „synodalność” pojawiał się w pismach Jana Pawła II zaledwie sześć razy, zaś u Benedykta XVI tylko dwa razy – i to zawsze w odniesieniu do Kościołów wschodnich. Dopiero Franciszek zaczął odmieniać ten rzeczownik przez wszystkie przypadki, wyjaśniając, iż tradycja synodalności została zagubiona w Kościele zachodnim, natomiast przetrwała w Kościele wschodnim – i to właśnie z tego doświadczenia powinniśmy się dziś uczyć.

Z papieżem nie zgodził się grecko-katolicki biskup Manuel Nin, od 2016 r. będący egzarchą apostolskim Grecji. W specjalnie wydanym oświadczeniu wyjaśnił: „Jeśli w istocie Zachód rozumie synodalność jako miejsce lub moment, w którym wszyscy, świeccy i duchowni, wspólnie działają, aby dojść do jakiejś decyzji kościelnej, doktrynalnej, kanonicznej, dyscyplinarnej, jakkolwiek by ona była, to jest jasne, że taka synodalność nie istnieje na Wschodzie”. Co do tego mają pewność wszyscy znawcy tradycji bizantyjskiej.

Jest natomiast oczywiste, że Franciszek nadał synodowi zupełnie nową formę, nieznaną dotychczas w Kościele. W tym kontekście interesująca wydaje się odpowiedź na pytanie, jak on sam definiuje synod. W jego wypowiedziach, a także w dokumencie roboczym poprzedzającym watykańskie wydarzenie, pojawiają się takie słowa, jak „proces”, „ruch”, „wspólne podążanie”, „przygoda”,

„doświadczenie”, „podróż”, a nawet „podróż w podróż”, podczas których ważne jest „słuchanie”, „pokora”, „spotkanie”, „dialog”, „towarzyszenie” i „włączanie”. Jaki jest jednak cel tego procesu? Na to pytanie Franciszek odpowiada, że trzeba dać się prowadzić Duchowi Świętemu i być otwartym na jego działanie. Tak naprawdę nikt więc nie wie, jakie niespodzianki szykuje nam Bóg.

Włoski filozof Stefano Fontana, komentując tak rozumianą synodalność, zauważa, że w gruncie rzeczy jest ona wcieleniem filozofii Hegla w życie Kościoła. Zasada heglowska mówi bowiem, że to w historii, a więc poprzez bieżące wydarzenia, objawia się Duch: „Rozpoczynający się wkrótce synod o synodalności jest rozumiany jako proces, historia, która aktualizuje się w bieżących wydarzeniach. Wydaje się on postulować »nawrócenie« na aktualność. Prawdziwość synodu zostanie potwierdzona poprzez jego przebieg, jego urzeczywistnienie i skuteczność. To, co wydarzy się podczas niego, będzie także wyrazem prawdy synodu, urzeczywistniając ją bez reszty. [...] Podobnie jak Hegel w każdym momencie procesu widział ucieleśnioną obecność ostatecznego znaczenia całości procesu (Ducha), tak najbliższy synod twierdzi, że zna głos Ducha Świętego dzisiaj, obecnie, w doświadczeniu, które przeżywamy”.

TEZA – ANTYTEZA – SYNTEZA

Można uważać opinię Fontany za przesadzoną, jednak odwołując się do Hegla, można wytłumaczyć, dlaczego Franciszek dopuścił na synodzie do współistnienia na równych prawach rozmaitych, często sprzecznych ze sobą, głosów i dlatego zaprosił na obrady do Rzymu reprezentantów całkowicie odmiennych poglądów. Znajdą się więc tacy, którzy uznają akty homoseksualne za czyny grzeszne, i tacy, którzy uważają je za moralne. Tacy, którzy domagają się kapłaństwa kobiet, i tacy, którzy się temu sprzeciwiają. Tacy, którzy nie chcą dopuszczać osób żyjących w związkach niesakramen-

talnych do Eucharystii, i tacy, którzy to robią. A przy tym zdanie każdego ma być uznane i uwzględnione. Praktyka pokazuje, że tam, gdzie były zbyt wielkie różnice między stronami, używano wieloznacznych sformułowań, możliwych do zaakceptowania przez wszystkich, ponieważ przez każdego mogły być inaczej interpretowane, jak wspomniana już przez abp. Gądeckiego „inkluza”.

Przypomina to dialektykę Hegla, będącą sercem jego historiozofii. Otóż historia ludzkości – według niemieckiego

Dziś duża część katolików (a w krajach zachodnich zapewne większość) uległa mentalnej kolonizacji przez kulturę sekularną. Nic więc dziwnego, że dokumenty końcowe wielu synodów lokalnych odzwierciedlają laicką świadomość wiernych. Wiele wskazuje na to, że znajdzie ona miejsce w ostatecznym dokumencie podsumowującym watykański etap synodu

filozofa – rozwija się poprzez zderzenie tezy z antytezą, z którego powstaje synteza, czyli nowa jakość, przewyższająca dotychczasowe przeciwności, zachowująca ich elementy wspólne oraz zacierająca różnice. Oczywiście jest to proces nieustanny, ponieważ każda synteza staje się następnie tezą, tej z kolei sprzeciwia się kolejna antyteza. W ten sposób wszystko jest płynne i stale musi podlegać aktualizacji.

Jeżeli przyłożymy tę miarę do Kościoła, okaże się, że nie ma żadnych stałych, niezmiennych zasad i norm religijnych. Wszystko podlega dialek-

tycznemu procesowi rozwoju, w którym nawet herezje mają swoją niezaprzeczalną rolę. Tak pojmowany Kościół synodalny tożsamy jest z Heglowską „wierzącą samoświadomością”, a więc musi stale zmieniać się w nowych okolicznościach historycznych.

WATYKAN ZA ZAMKNIĘTYMI DRZWIAMI

Dziś duża część katolików (a w krajach zachodnich zapewne większość) uległa mentalnej kolonizacji przez kulturę sekularną. Nic więc dziwnego, że dokumenty końcowe wielu synodów lokalnych odzwierciedlają laicką świadomość wiernych. Wiele wskazuje na to, że znajdzie ona miejsce w ostatecznym dokumencie podsumowującym watykański etap synodu. W przypadku takich zgromadzeń kluczowe jest bowiem to, kto redaguje treść owych pism. W Rzymie będzie to sekretariat generalny, na którego czele stoja dwaj kardynałowie: Jean-Claude Hollerich z Luksemburga i Mario Grech z Malty, uchodzący za zwolenników radykalnej rewolucji teologicznej w Kościele. Obaj otwarcie domagają się np. zmiany nauczania w sprawie homoseksualizmu.

Na synodzie na pewno znajdzie się duża grupa biskupów, księży i świeckich wiernych odwiecznej nauce Kościoła. Ich trzon będą stanowić zwłaszcza delegaci z Afryki, Azji i Europy Środkowo-Wschodniej. Katolicy na świecie nie dowiedzą się jednak, jak będą przebiegać polemiki między uczestnikami watykańskiego wydarzenia. Dlaczego? Franciszek zarządził bowiem, że obrady synodalne nie tylko będą się odbywać za zamkniętymi drzwiami, bez obecności osób postronnych, a zwłaszcza dziennikarzy, lecz także ich przebieg objęty zostanie tajemnicą papieską, tzn. nikt z delegatów nie będzie mógł ujawnić publicznie, jak wyglądała dyskusja. Jedynym upoważnionym do kontaktu z mediami będzie prefekt Dykasterii ds. Komunikacji kard. Paolo Ruffini. Do opinii publicznej dotrzeć ma tylko efekt końcowy.

Republika zawiedzionych nadziei

Koniec apartheidu w Republice Południowej Afryki przyniósł przyptyw nadziei na lepszą przyszłość. Ale partia Nelsona Mandeli, która wyzwoliła czarną większość z ucisku, zawiodła kraj na skraj przepaści



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Palce Solomona Owy pracują szybko, sprawnie przesuwają się po tkaninie. Maszyna do szycia głośnie szumi. Mężczyzna prowadzi warsztat krawiecki w swoim garażu w Johannesburgu. Spieszy mu się, bo w każdej chwili mogą wyłączyć prąd. Z powodu częstych awarii są dni, gdy brakuje go nawet przez 10 godzin. Podobnie jak ciepłej wody. A przecież trzeba jakoś zarobić na życie, wziąć prysznic, coś uprać czy ugotować. Szkoły, szpitale, restauracje i firmy polegają na generatorach zapasowych, aby móc działać. Owy'ego na taki generator nie stać.

MONUMENTALNA ZAPAŚĆ

Johannesburg stał się – jak pisze agencja Bloomberg – najbogatszym miastem Afryki dzięki gorączce złota, która rozpoczęła się pod koniec XIX w. i trwała przez całą erę apartheidu. Później, w połowie lat 90. XX w., gdy apartheid upadł i Nelson Mandela oraz jego Afrykański Kongres Narodowy (ANC) doszli do władzy, Johannesburg nadal był miastem nadziei. Na dobrobyt i rozwój. Ta nadzieja nie została spełniona ani tu, ani w reszcie kraju.

Dziś, 30 lat później, Republikę Południowej Afryki charakteryzują chaos, przestępczość i korupcja. Od niedziałającej sieci kolejowej po złe warunki sanitarne, które wywołały w maju br. epidemię cholery w Hammanskraal na północ od stolicy Pretorii po przestarzałą sieć energetyczną, na której modernizację brakuje środków – obecnie najbogatszy niegdyś kraj w Afryce przypomina bardziej upadłe państwo. Połowa mieszkańców Johannesburga nie ma pracy, na poziomie krajowym stopa bezrobocia wynosi 32,9 proc., 18 mln ludzi polega na pomocy społecznej. Według Banku Światowego ponad połowa z 60 mln mieszkańców RPA żyje w biedzie. Nierówności społeczne są jednym z największych na świecie – w skali od 0 do 100, gdzie 0 oznacza całkowitą równość, RPA osiąga 63. Równie wysoki jest wskaźnik morderstw: ok. 25 tys. ofiar rocznie. Przestępczość kwitnie. Gangi, które w takich miastach jak Cape Town liczą ponad 100 tys. członków, kradną kable, tory kolejowe, transformatory, latarnie uliczne – wszystko, co jest z metalu, szczególnie z miedzi, i co można sprzedać na czarnym rynku. W latach 2021–2022 państwowa kolej straciła ponad 1,5 tys. km okablowania, wiele stacji kolejowych doszczętnie splądrowano. Wobec braku prądu ludzie kradną generatory i panele słoneczne. Z powodu częstych awarii bezdomni nierzadko kierują w miastach ruchem w zamian za kilkaset randów czy ciepły posiłek.

Zniesienie apartheidu miało przynieść demokrację i stworzyć „tęczowy

lud” (rainbow nation), czyli ludzi o różnych kolorach skóry żyjących wspólnie na równych warunkach. Dziś po tym marzeniu zostały tylko gruzy. „RPA



odnotowuje zapaść na monumentalną skalę” – powiedziała w rozmowie z niemieckim tygodnikiem „Der Spiegel” Siviwe Gwarube, poseł opozycyjnego centroprawicowego Aliansu Demokratycznego (DA). Według niej Republika Południowej Afryki, najbardziej rozwinięta gospodarka na kontynencie – naród, który w XX w. nie musiał się bać porównań z Europą – obecnie, po dziesięcioleciach błędnej polityki gospodarczej, korupcji i niekompetencji politycznej, znajduje się na skraju przepaści. Winnym tego stanu rzeczy są, jej zdaniem, politycy ANC – partii, która rządzi krajem nieprzerwanie od 1994 r. i która, według Gwarube, bezwstydnie go plądruje z pieniędzy i zasobów. Infrastruktura jest w tragicznym stanie, szczególnie energetyczna. Z powodu przerw w dostawach prądu kraj traci 2 proc. PKB rocznie. W czerwcu zubożały Mozambik zaczął dostarczać RPA prąd.

KLEPTOKRACJA

Południowoafrykańskie przedsiębiorstwo energetyczne, państwowy monopolista Eskom, ma 26 mld dol. długu, przestarzałą infrastrukturę i elektrownie oraz walczy z powszechną kradzieżą węgla. André de Ruyter, do niedawna dyrektor naczelny firmy, publicznie obwinił kradzież i korupcję za ciągłe przerwy w dostawach prądu. ANC zaś otwarcie nazwał kleptokracją. W konsekwencji najpierw został zdymisjonowany i oskarżony o „zdradę”, a następnie usiłowano go otruć. Jak pisze „Washington Post”, powinno być „dokładnie odwrotnie”. To ci, którzy rozkradli Eskom, powinni obawiać się o swoje stanowiska. Ale tak nie jest, bowiem politycy ANC chronią się nawzajem, a kultura korupcji głęboko zakorzeniła się w kraju. Policjanci rutynowo przyjmują łapówki, podobnie

jak politycy różnego szczebla, choćby od firm, które chcą uzyskać państwowe kontrakty. Szeroko zakrojony audyt w 2020 r. wykazał brak korupcji tylko w 27 na 257 gmin.

Państwowe linie lotnicze SAA, nadawca publiczny SABC, producent broni Denel oraz poczta zbankrutowały wskutek plądrowania ich kas przez przestępcze kartele powiązane z politykami ANC. W niezliczonych miastach i gminach infrastruktura, administracja, system edukacji, system opieki zdrowotnej, wywóz ścieków i śmieci są na niskim poziomie lub nie ma ich w ogóle. W niektórych regionach nie jeżdżą pociągi i nie ma bieżącej wody. Jak pisze „Der Spiegel”, w RPA krąży taki dowcip: „Jaka jest różnica między RPA a Titanikiem? Gdy Titanic tonął, to przy zapalonych światłach”. W lutym Grupa Specjalna ds. Przeciwdziałania Praniu Pieniędzy (FATF), najważniejsza instytucja międzynarodowa zajmująca się zwalczaniem nielegalnych przepływów pieniędzy, umieściła RPA na swojej „szarej liście”, w towarzystwie upadłych państw, takich jak Sudan Południowy i Haiti. Według pisma trudno uwierzyć, w co zamienił się kraj, który miał być przykładem zwycięstwa sprawiedliwości i równości nad zinstytucjonalizowanym rasizmem. „Der Spiegel” cytuje słowa równie zdumionego byłego lewicowego aktywisty o niemieckich korzeniach Horsta Kleinschmidta, który w obronie Nelsona i Winnie Mandeli przesiedział w latach 70. jakiś czas w więzieniu: „Sprawy potoczyły się bardzo źle. Teraz codziennie widzimy, jak elita rządząca kłamie, kradnie i oszukuje”. Dążenie do egalitarnego społeczeństwa zostało zastąpione przez chciwość, podszytą zemstą. Teraz rządzą my, a po mękach apartheidu coś nam się należy”. Nadużycia zaczęły się, według Kleinschmidta, jeszcze za czasów samego Mandeli. „Nie mieli skrupułów. Potraktowali to jako nagrodę za walkę o wolność” – podkreślił. Pod przywództwem prezydenta Jacoba Zuma w latach 2009–2018 nastąpiło całkowite „zawłaszczenie państwa” przez ANC. Stanowiska w administracji, także lokalnej, są rozdawane według klucza partyjnego, a nie kompetencji.



Foto: Gulshan Khan/AP/East News

RZĄDY DE FACTO JEDNOPARTYJNE

Zdaje się to potwierdzać, jak pisze „Der Spiegel”, test kompetencji przeprowadzony w br. w prowincji KwaZulu-Natal. Aż 298 z 1944 radnych miejskich i gminnych w regionie to analfabeci, czyli aż 15 proc. Wygląda na to, że klątwa, która spadła na wiele krajów postkolonialnych w Afryce, dopadła także RPA – niekompetentni politycy przejęli kontrolę nad państwem po uzyskaniu niepodległości, mimo całkowitego braku wiedzy specjalistycznej lub planów rozwoju.

Podobnie jak w Zimbabwe redystrybucją dóbr i zasobów, w tym ziemi, od bogatych, białych elit do zubożałych czarnych miała przynieść powszechny dobrobyt i szczęście. Zrujnowała Zimbabwe. W RPA redystrybucja ziemi, jeden z głównych celów deklarowanych przez ANC po upadku apartheidu, także nie przyniosła oczekiwanych rezultatów. To państwo dziś posiada sporą część gruntów rolnych odebranych białym (ok. 2,5 mln ha). Kolejne miliony ha zostały wydzierżawione wybranym czarnym, często powiązanim z ANC i niemającym zamiaru ich uprawiać. Według Rady ds. Badań nad Rolnictwem powołanej przez rząd w Pretorii ponad połowa dzierżawionych farm w 2022 r. nie zgłosiła żadnej produkcji. Niektóre są zajmowane całkowicie nielegalnie, jak w KwaZulu-Natal. ANC boi się cokolwiek z tym zrobić, bo może dojść do zamieszek.

Biała klasa średnia, stanowiąca mniej niż 10 proc. ludności i zamknięta w swoich miejskich lub przybrzeżnych bańkach, za wysokimi murami i drutem kolczastym, w dużej mierze się poddała – ci, którzy mogą, wyjeżdżają. Prawie jedna piąta białych mieszkańców RPA wyemigrowała od czasu przemian politycznych w 1994 r., odsetek białych w populacji jest obecnie prawie o połowę mniejszy niż wtedy. Wraz z nimi odeszła znaczna część obecnych i przyszłych fachowców. Ten eksodus jest porównywalny z tempem migracji z Irlandii w połowie XIX w. czy Włoch na początku XX w. i Syrii podczas wojny domowej.

Gdy w 2018 r. prezydentem został Cyril Ramaphosa, wszyscy, także zagraniczni obserwatorzy, mieli nadzieje, że zreformuje on partię i kraj po katastrofalnych latach rządów Zuma. Ale okazał się do tego niezdolny. RPA jest krajem *de facto* jednopartyjnym. Bowiem pozwala na demokratyczne wybory co najwyżej formalnie. System jest tak skonstruowany, że żadna inna partia lub koalicja partii nie ma w zasadzie szans na zwycięstwo.

Sledząc wypowiedzi polityków ANC w mediach, można odnieść wrażenie, że zdają sobie sprawę z kierunku, w którym pchają kraj, ale nie chcą lub nie potrafią tego zmienić. W maju sekre-

RPA, niegdyś najbogatszy kraj w Afryce, obecnie przypomina upadłe państwo. Stopa bezrobocia wynosi 32,9 proc., 18 mln ludzi polega na pomocy społecznej, ponad połowa z 60 mln mieszkańców RPA żyje w biedzie

tarz generalny partii Fikile Mbalula powiedział w rozmowie z BBC, że „jeśli pewne kwestie nie zostaną rozwiązane, staniemy się państwem upadłym”. Jak zapewniał, ANC do tego nie dąży. Może i nie dąży, ale RPA dryfuje w tym kierunku. Powoli, ale konsekwentnie. Redystrybucja dóbr dominuje nad generowaniem wzrostu, a brak zainteresowania zachodnich inwestorów (szkody poniesione przez firmy w wyniku utrudnień w transporcie, w tym kolejowym, wyniosły w 2022 r. równowartość 23 mld euro) władze w Pretorii wyrównują sobie inwestorami z Chin czy Rosji. W miejsce wyjeżdżających białych przybyło, pisze portal UnHerd, ok. 3 mln migrantów i uchodźców ekonomicznych z reszty Afryki, m.in. z Zimbabwe. W konsekwencji tylko 12,3 proc. mieszkańców kraju płaci dziś

podatek dochodowy, a tendencja jest malejąca. Egalitarna rewolucja 1994 r. skończyła się koszmarem.

WYZWANIE PRZY URNACH

„Der Spiegel” cytuje 60-letniego mieszkańca Pretorii, który tęskni za czasami apartheidu. „Gdy biali rządzili, mieliśmy pracę. Życie było lepsze” – mówi. Republika Południowej Afryki wpisuje się w przygnębiający schemat. Od czasu uzyskania niepodległości prawie wszystkie kraje Afryki Subsaharyjskiej są nękane konfliktami, często plemiennymi, oraz korupcją. Jedynym prawdziwym wyjątkiem jest Botswana. Jednak jako region Afryka Subsaharyjska znajduje się na samym dole Indeksu Percepcji Korupcji Transparency International, poniżej nawet Ameryki Łacińskiej.

W 2024 r. w RPA odbędą się wybory parlamentarne. ANC ma obecnie w sondażach mniej niż 50 proc. poparcia, co nie miało miejsca od czasu, gdy partia objęła władzę w wyniku pierwszych demokratycznych wyborów w 1994 r. W wyborach lokalnych, które odbyły się w listopadzie 2021 r., partii Ramaphosy nie udało się uzyskać zdecydowanej większości we wszystkich gminach metropolitalnych kraju. Niektórzy wieszczą więc koniec obecnego układu politycznego. Szczególnie dlatego, że wielu młodych, nazywanych urodzonymi w wolności (born free), ma dość powszechnej korupcji i braku perspektyw. Zakładają ruchy społeczne, organizują protesty. Według nich struktury apartheidu pozostały w miejscu, dalej służąc elitom, tyle że czarnym zamiast białym. Siedem partii opozycyjnych planuje po wyborach stworzyć rząd koalicyjny, jeśli uda im się pokonać ANC. Jeśli, bowiem dla wielu czarnych wyborców wciąż nie ma alternatywy dla ruchu stworzonego przez Mandelę. A czas nagli. Jeżeli RPA nie uda się wrócić na ścieżkę wzrostu, może dołączyć do tych państw Afryki, w których najpierw zabrakło infrastruktury i usług publicznych, potem prądu, a na koniec wszystko się rozpadło.

Platforma jest posłusznym sługą niemieckiej supremacji

Polski rząd ma wiarygodność, a ataki lewicy tylko to potwierdzają. W ostatnich latach poczynił duże postępy, ma najlepszy projekt na przyszłość, bo oparty na wolności jednostek i suwerenności narodu. Widać też, jak za jego sprawą Polska kwitnie ekonomicznie

Tak z ciekawości, gdzie pan trzyma Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi? Nawet jeśli pan go ukrył, to komisarze Unii Europejskiej już dawno zorientowali się, że konsekwentnie staje pan w obronie Polski. Czy warto dla nas ryzykować?

Hermann Tertsch: Noszę go z wielką dumą albo trzymam wraz z innymi odznaczeniami, które zostały mi przyznane za mój dziennikarski dorobek. W mojej pracy polityka czy dziennikarza nigdy jednak nie czyniłem niczego dla nagród. Raczej życie upłynęło mi na robieniu sobie wrogów, bo zawsze broniłem tego, co uważałem za słuszne. Nie boję się ani Komisji Europejskiej, ani coraz bardziej autorytarnego i demagogicznego aparatu biurokratycznego UE, który stał się wrogiem wszelkich autentycznych wartości europejskich i samych narodów. Wielu eurokratów zachowuje się już jak panowie feudalni lub komisarze ludowi na usługach totalitarnej ideologii. Jestem w europarlamencie, aby rozliczać współników kubańskiej dyktatury, takich jak Josep Borrell i jego poplecznicy, lub potępiać kolejną rezolucję, wymyśloną przez nich, by zaatakować polski rząd i naród. Jedyne, co mi pozostaje, to walczyć o uczciwość i przejrzystość, których już nie ma w UE.



Z Hermannem Tertschem, hiszpańskim dziennikarzem i pisarzem, od 2019 r. eurodeputowanym i wiceprzewodniczącym Europejskich Konserwatystów i Reformatorów z ramienia partii Vox, rozmawia Małgorzata Wołczyk

Jakkolwiek to zabrzmie – to mój święty obowiązek wobec przodków i potomków.

Spacerując z panem po Warszawie, znów przekonałam się, że wie pan o Polsce i naszej historii więcej niż przeciętny Polak. Skąd tyle pasji do naszego kraju?

Zawsze pasjonowała mnie historia tej części Europy, której Polska jest centralnym punktem. Koleje życia sprawiły, że w wieku 27 lat zostałem korespondentem najbardziej wpływowego w świecie hiszpańskojęzycznego dziennika „El País” w Bonn i Warszawie. To dało mi szansę wyjazdu do stolicy Polski w 1985 r. i od tego momentu aż do pierwszych demokratycznych wyborów spędzałem czas, dzieląc się z czytelnikami polskim cudem zapoczątkowanym przez Jana Pawła II w 1979 r. W tych latach podróżowałem po demoludach i napisałem tysiące artykułów na temat rozkładu imperium. Znalazłem też czas, aby zwiedzić Polskę i poznać wiele ważnych wówczas osób i postaci.

Trudno nie zapytać o pana byłego przyjaciela Adama Michnika, który w najlepszych czasach „Gazety Wyborczej” zaprosił pana na swoje łamy. Dziś stoicie po dwóch przeciwnych stronach barykady.

Na długich ścieżkach życia, takich jak Adama Michnika czy moja, jest logiczne, że ludzie się zmieniają. Poznałem go, gdy obaj byliśmy antykomunistami, a ja pracowałem w liberalnym, centrolewicowym „El País”, który dziś jest raczej biuletynem skrajnej lewicy. W ciągu ostatnich 30 lat doświadczenie poprowadziło mnie w kierunku konserwatyzmu. Zdałem sobie sprawę z ogromnych szkód, jakie socjalizm i jego kosmetyczna wersja, czyli socjaldemokracja, wyrządza wolności jednostek, narodów i samej demokracji. Właściwie w swoich ostatecznych celach niczym nie różni się od komunizmu, przeciw któremu kiedyś obaj walczyliśmy.

Michnik jako człowiek lewicy zbiera nagrody, przywi-leje, wygłasza przemówienia o wolności, nawet przed królem Hiszpanii. I tak się jakoś składa, że w imię tej wolności chce eliminować z debaty ludzi takich jak pan (nazywając ich populistami, faszystami). Dlaczego dwóch byłych przyjaciół tak odmiennie definiuje dziś wolność?

Socjaldemokratyczny globalizm zdołał uwieść wielu, którzy uważali się za obrońców demokracji. Wyrzekając się narodu, czyli demosu, tym samym wyrzekają się demokracji. Uważam, że wszystkie siły antynarodowe ciążą ku ideologii totalitarnej. Kiedy widzę mojego rodaka Josepa Borrellę, tak sympatyzującego z krwawymi dyktatorami Wenezueli czy Kuby, albo jak w Davos Ursula von der Leyen wymienia uprzejmości z Klaussem Schwabem, Georgem Sorosem i prezydentem Xi Jipingiem, to wiem, że ich wszystkich łączy wrogie nastawienie do wolności i że w gruncie rzeczy, mimo pozorów, są do siebie bardzo podobni. W Hiszpanii, ale też w Europie i na świecie, jest wiele osób, z którymi łączyły mnie więzy przyjaźni, które zostały przecięte przez konflikt na tle ideowym. Gdy sumienie i honor kazały mi po wielu latach opuścić „El País”, ci, którzy długo ze mną pracowali, przechodzili na drugą stronę ulicy, aby uniknąć podania mi ręki. Za to dziś w siłach konserwatywnych znajduję wiele osobowości, które kiedyś też uciekały od frankizmu w stronę lewicy, a teraz walczą razem ze mną na rzecz prawdy i wolności.

Widzi pan podobieństwa między Polską a Hiszpanią? Gdy ja o nich piszę wielu, mi nie wierzy.

Historia Polski jest wyjątkowa, ale ma też wiele wspólnego z historią Hiszpanii. Pamiętam, że wcześniej byłem w Wiedniu i cały 1983 r. spędziłem na obchodach 300. rocznicy odsieczy wiedeńskiej pod wodzą króla Jana III. Katalog tej wystawy to perełka, którą wciąż przechowuję. Prawdą jest, że duch oporu i niezłomna siła woli istnienia to cechy, które czynią historię Polski tak fascynującą. „Być znaczy bronić się” – powiedział Ramiro de Maeztu, nasz wielki intelektualista, zamordowany przez komunistów w zbrodni będącej preludium do Katyńia – w Paracuellos de Jarama pod Madrytem w 1936 r. Ok. 8 tys. ludzi, w tym dzieci, zginęło tylko dlatego, że byli katolikami, konserwatystami lub żołnierzami. I nikt na świecie lepiej niż Polska nie pokazał, jak prawdziwa

jest ta maksyma de Maeztu. Polska nie przetrwałaby bez tej siły moralnej, niezłomnej woli i ducha walki. Trzeba brać z was przykład, abyśmy mogli bronić się przed siłami, które chcą „rozpuścić” narody.

Polska pękła podobnie jak Hiszpania. To nie jest prosty podział na prawicę i lewicę, bo chodzi też o konflikt na tle stosunku do korzeni. Sto lat temu Ortega y Gasset powiedział: „Hiszpania jest problemem, a Europa rozwiązaniem”. Dziś mnóstwo Polaków uważa dokładnie tak samo. Wielu eurodeputowanych Koalicji Obywatelskiej chce, aby Polskę zarządzano z Brukseli czy Berlina.

Zawsze uważałem, że Ortega y Gasset był filozofem tak lubianym w Niemczech ze względu na błędy, które popełniał. A w polityce mylił się we wszystkim. Pomógł i okłaskiwał nadejście republiki, będącej rezultatem zamachu stanu opartym jedynie na wyniku wyborów samorządowych i skutek ucieczki króla. Za późno zdał sobie sprawę, że została ona porwana przez siły Frontu Ludowego, na którego czele stali najgorsi zbrodniarze hiszpańskiej polityki oraz... Józef Stalin. Także teraz rozwiązanie problemów Polski, Hiszpanii lub Włoch nie może przyjść z zagranicy, z Brukseli, ale musi wyjść od ich sił narodowych, które bronią własnych interesów przed totalitarnym walcem skolonizowanej przez lewicę Unii. Polska, Hiszpania, USA są słusznie spolaryzowane, bo znaleźliśmy się w decydującym momencie historycznym.

A co do waszej opozycji, to PO jest siłą lewicową, która tylko mami ludzi przynależnością do centroprawicowej grupy, jaką jest Europejska Partia Ludowa. Patrząc w przyszłość, EPL będzie musiała szybko zdecydować, czy pójdzie z lewicą w procesie odczłowieczania i przejmowania całkowitej kontroli nad społeczeństwami Europy, czy w końcu stanie się sojusznikiem coraz silniejszych sił konserwatywnych. Do EKR, w którym jest PiS i Vox, już dołączają kolejni.

W Polsce podjęto wysiłek wybielania komunizmu i przeprowadzono atak na św. Jana Pawła II. W Hiszpanii zaś wybiela się ETA, która siała terror przez dekady i zamordowała blisko 900 osób. Co się stało z wrażliwością moralną i sumieniem naszych, katolickich przecieży, narodów?

ETA to komuniści, więc dzieje się dokładnie to samo, co w Polsce. Siły antynarodowe łączą się ze wszystkimi, z którymi mogą się połączyć, aby pokonać i unicestwić konserwatywną prawicę, przygotowując grunt dla socjalistycznego, centralistycznego, globalistycznego reżimu w Europie. To oczywiste, że Tusk i KO są narzędziami lewicy w Brukseli. W Hiszpanii zaś Pedro Sánchez, który zdobył w wyborach mniej mandatów niż prawica, zamierza ponownie zająć fotel premiera, zawierając sojusze nie tylko z komunistami i separatystami, ale także kryminalistami, którzy uciekli z Hiszpanii w związku z zamachem stanu i malwersacjami środków publicznych. Sanchez chce im podarować amnestię w zamian za ich głosy, choć ściga ich

hiszpański wymiar sprawiedliwości. Pewnie i w Polsce PO zawiera sojusze z kimkolwiek, byle tylko stworzyć szeroki front do walki z PiS.

Często mówi pan o globalizmie, ale to Paryż i Berlin ustanowiły między sobą podział ról. Paryż odpowiadał za bezpieczeństwo basenu Morza Śródziemnego i Afryki Zachodniej, a Niemcy dzięki stosunkom z Rosją miały zadbać o bezpieczeństwo Europy Wschodniej. Tymczasem Hiszpania oraz Włochy są nieustannie atakowane od południa, a Polska z Białorusi i Rosji.

Z jednej strony jest Rosja, która nie jest w stanie stworzyć konkurencyjnego, nowoczesnego państwa i wolnego społeczeństwa, więc pod zbrodniczym reżimem próbuje sobie rekompensować imperialne marzenia inwazją na Ukrainę. Z drugiej strony mamy w Brukseli władzę coraz bardziej autorytarną, o zerowej przejrzystości, powołaną do brutalnego narzucania ideologii socjalistycznej i interwencyjnej. Jej celem jest likwidacja narodów europejskich i pozbawienie ich wszelkiej suwerenności w celu scentralizowania władzy.

Dla tych z nas, którzy chcą Europy suwerennych narodów i wolnych jednostek, są to dwa śmiertelne zagrożenia. Gdyby oś Paryż–Berlin utrzymała siłę, choć uważam, że ją traci, a plany obecnej KE, aby tylnymi drzwiami zmieniać traktaty, zostałyby zrealizowane, wtedy koniec z wolnością i demokracją. W tym sensie Bruksela coraz bardziej upodabnia się do Kremla. Projekt tego superpaństwa wspiera EPL, w której Hiszpanie i Polacy zawsze byli posłusznymi sługami projektu niemieckiej supremacji. Stanowiły elementy polityki CDU. Ale myślę, że to już koniec. Muszę powiedzieć, że jestem optymistą. To klimatyczne delirium ideologiczne, które wyłoniło się z Niemiec, ogarnęło całą Europę. Jest nową wersją złudzeń germańskiego zbawiciela, które nie ustają od epoki romantyzmu, z tym niemieckim idealizmem tak dobrze eksponowanym w „Das deutsche Wesen soll die Welt genesen” („Niemiecka esencja uzdrowi świat”). Paryż i Berlin nie będą już dzielić ról, bo skończyła się ich niekwestionowana hegemonia.

Chyba mamy nieco odmienne zdanie na temat możliwości Berlina, a recesja nie przeszkodzi w podporządkowywaniu przynajmniej naszej części Europy interesom Niemiec.

Jestem większym optymistą. Nadeszła reakcja sił narodowych, a w przyszłym roku moglibyśmy mieć w Parlamencie Europejskim prawdziwą konserwatywną rewolucję, jeśli EKR i ID (Tożsamość i Demokracja) urosną w siłę,

a wszystko na to wskazuje. Do tego potrzeba oczywiście zwycięstwa PiS w Polsce, które jest kapitalnym elementem odrodzenia się Europy narodów i suwerenności. Nowa świadomość kształtująca się w obliczu zagrożenia ze strony Rosji, ale też ze strony postępowej lewicy, rozeszła się po wielu krajach, które wcześniej porwał nurt socjaldemokratycznego kłamstwa.

Jestem uważnym obserwatorem debaty w Hiszpanii, a jednak temat reformy traktatów i przekształcenia Unii w superpaństwo pod batutą Berlina nigdy nie pojawia się w głównych mediach. Tylko Vox alarmuje, ale w ostatnich wyborach stracił, niestety, aż 19 deputowanych.

W Hiszpanii nikt nie opierał się kłamstwu, dopóki nie pojawił się Vox, a dyrektywy, które płynęły z Unii, były traktowane niemal jak objawione słowo Boże. Tylko Vox broni prawdy o socjalistycznym projekcie UE, który w ostatecz-

nym rozrachunku jest totalitarny. I dlatego jest obiektem ataków ze strony wszystkich, którzy funkcjonują dla tego europejskiego projektu lub żyją z niego, co jest coraz powszechniejsze. Vox stracił 19 z 52 mandatów z powodu specyficznego hiszpańskiego prawa wyborczego, ale w rzeczywistości utracił jedynie 17 proc. głosów po tym, jak stał się obiektem brutalnych prześladowań i ciągłych ataków z każdej strony, począwszy od UE po media, a przede wszystkim Partię Ludową, mimo że Vox był ich jedynym możliwym sojusznikiem. Ludowcy oszukani własną propagandą uwierzyli, że mają w zasięgu absolutną większość

i przystąpili do niszczenia Vox. Kampania nienawiści z ich strony odebrała prawicy głosy i dlatego trwamy w impasie, który próbuje wykorzystać Sanchez. Z żądy ponownego objęcia władzy jest gotowy do paktów z terrorystami – ułaskawionymi separatystycznymi autorami zamachu stanu z 2017 r. i komunistami. Potrzebuje też głosów zbiegłego przestępcy Puigdemonta, który schronił się w Brukseli. I w tym celu zamierza udzielić amnestii, która zniszczyłaby legitymację naszego reżimu demokratycznego.

Jakiś komentarz do zbliżających się wyborów w Polsce?

Polski rząd ma wiarygodność, a ataki lewicy tylko to potwierdzają. W ostatnich latach poczynił duże postępy, ma najlepszy projekt na przyszłość, bo oparty na wolności jednostek i suwerenności narodu. Widać też, jak za jego sprawą Polska kwitnie ekonomicznie. Musi szukać jednak poparcia wśród młodych ludzi, uświadamiając im, że to konserwatyzm, patriotyzm są dziś buntem antysystemowym i jedyną opcją gwarantującą wolność.

Jak upada CNN

Siostrzana dla TVN 24 telewizja CNN – właścicielem obu jest Warner Bros. Discovery (WBD) – była niegdyś wzorem dziennikarstwa telewizyjnego. Dziś jest symbolem nie tylko upadku biznesowego, lecz także profesjonalnego i moralnego. Stację ma ratować nowy szef Mark Thompson. Tymczasem uosabia on część jej problemów. Dotyczą one zarówno zarządzania, jak i spraw fundamentalnych – moralnej degeneracji pracowników, braku profesjonalizmu i wiarygodności, kłamstw i oszustw



DARIUSZ MATUSZAK

Za powstaniem CNN w 1980 r. stał wizjonerski pomysł założycieli – Teda Turnera i Reese’a Schonfelda, by 24 godz. na dobę nadawać programy informacyjne. Długo zdobywała serca i umysły widzów, aż I wojna w Zatoce Perskiej i praktycznie przeprowadzona z niej transmisja na żywo udowodniły, jak wspaniałym medium może być taka stacja. Przeniosła świat do domów. Dziś z chwały nie pozostało nic. Dystrybuowana w pakietach telewizji kablowych i satelitarnych CNN jest obecna w 70 mln gospodarstw, ale w poszczególnych pasmach z ledwością przyciąga 500 tys. widzów. Jej produkcje plasują się w okolicach 20. miejsca takich samych programów innych stacji informacyjnych. Kilkanaście pierwszych miejsc należy do Fox News, czasami przedzielanych przez MSNBC. Odkąd jednak po przegranej Donalda Trumpa Fox dryfuje ku lewicy i jego republikańskich przeciwników, stacja utraciła ogromną część widowni i jej przewaga nad CNN zmalała z ok. 6:1 do 3:1. To nie znaczy, że CNN zyskało widzów. Ma ich mniej niż kablowe programy o pielęgnowaniu ogródków czy z kreskówkami sprzed 60 lat z misiem Yogi. Sytuacja jest tak roz-

paczliwa, że szefostwo WBD wpadło na pomysł, by emisję filmów i seriali w telewizji Max przerywać wstawkami z CNN.

AUTODESTRUKCYJNE MECHANIZMY

To ilustracja poważnych problemów, z jakimi mierzy się CNN, a także świat mediów i rozrywki na Zachodzie. W badaniach sondażowni Rasmussen Report aż 59 proc. Amerykanów odpowiedziało twierdząc na pytanie: „Czy zgadzasz się z twierdzeniem, że media są prawdziwym wrogiem narodu/ludzi?”. Jeden powód to przekonanie, iż główne media kłamią. Drugi – że władająca nimi i instytucjami kształtującymi świadomość lewica wprowadziła politykę do każdej dziedziny życia. Nic nie może się bez niej obejść, więc, widzu, nawet jeśli chcesz odetchnąć od jazgotu świata i obejrzeć klasyczny western z niepoprawnym Johnem Wayne, to i tak ci wcisną Bidena, Trumpa itd.

Coraz bardziej prawdziwe staje się powiedzenie: „Go woke, get broke”, dotyczące nie tylko mediów, ale ogólnie biznesu. Trudno je zgrabnie przetłumaczyć, ale chodzi o to, że jeśli zaczniesz prowadzić biznes zgodnie z narzucaną przez lewicę poprawnością polityczną, ideologicznym pobudzeniem (woke) – coś jak za komuny czujność czy świadomość rewolucyjna – to pójdziesz z torbami. Na to szczególnie podatne są tradycyjne

media, które też tracą na rzecz społecznościowych, ale CNN ma jeszcze własne autodestrukcyjne mechanizmy.

Jednym z nich jest specyficzna kultura korporacyjna stacji – zepsucie, wyrzucie z norm kulturowych, moralnych. Nieczyści gromadziły się przez lata, a szambo wybiło po zwycięskich dla CNN wyborach – umarł Trump, niech żyje Biden, któremu telewizja ta kibicowała. Wtedy pozbyła się swego gwiazdora Chrisa Cuomo – jego brat Andrew z Partii Demokratycznej został zmuszony do rezygnacji z funkcji gubernatora stanu Nowy Jork. Kilkanaście kobiet oskarżyło polityka



o ataki seksualne, zaś Chris pomagał mu tuszować sprawę, a nawet niszczyć życie ofiar. To on miał stać za wykreowaniem gubernatora na czempiona walki z COVID-19. Za konferencje z frontu gubernator dostał nawet nagrodę Emmy – telewizyjny odpowiednik Oscarów. Po rezygnacji mu ją odebrano. Wskaźniki umieralności były, oprócz New Jersey, najgorsze w całej Ameryce, statystyki fałszowane, ale za to jakie show o walce z pandemią organizowali bracia.

Wkrótce po Cuomo pracę w CNN stracił jeden z najważniejszych producentów – John Griffin. Ten udawał edukatora seksualnego, kontaktował się z rodzicami i namawiał, by poddali swe dzieci jego „nauczaniu”. Zwałił m.in. matkę z jej dwiema córkami, 9- i 13-letnią, które „trenował” seksualnie. Zboczeniec został skazany na 19 lat więzienia. CNN powetował sobie stratę, bo na ekran wrócił Jeffrey Toobin, komentator od prawa, procesów sądowych, a to ulubione sporty Ameryki. Dziennikarz musiał zniknąć na rok po tym, jak – nawet nie wiadomo, jak to opisywać – w czasie zdalnego spotkania redakcji magazynu „New Yorker” i radia WNYC, w którym udział brało kilkanaście osób, w tym kobiety, zdjął spodnie, wyciągnął co miał i dawaj, zaczął wyznawać sobie miłość. Później się tłumaczył, że była przerwa w narażeniu, nie wiedział, że to co tam ma i robi, znalazło się w obiektywie kamery komputera i taki tam bełkot obronny.

W telewizji atrakcji nie może zabraknąć i tych dostarczył Don Lemon, kolejny gwiazdor, czempion politpoprawności, bo nie dość, że Murzyn, to jeszcze homoseksualista. Pozbyto się go po tym, jak w barze napadł innego homoseksualistę, i nawet nie chodziło o użycie siły, tylko o to, że było to obrzydliwe (opis incydentu państwu daruję). CNN napuściło prawników na ofiarę i świadków, byle tylko zatuszować sprawę. W międzyczasie okazało się, że Lemon pomagał aktorowi i reżyserowi Jussie Smollettowi, który dla sławy i kontraktów sfingował napad na siebie, stawiając na równe nogi

policię oraz opinię publiczną Ameryki. Ze łzami w oczach opowiadał, jak to jego – też czarnoskórego homoseksualistę – skatowali i chcieli zlinczować zwoleńnicy Trumpa. Okazało się, że to lipa, kłamstwo wielkie – reżyser wynajął braci kulturystów z Nigerii, którzy nocą dla kamer miejskiego monitoringu odgrywali przedstawienie z nim. Dziennikarz CNN pomagał Smollettowi zatuszować oszustwo, ale aktor wyładował za nie w więzieniu, a Don Lemon na bruku.

BAGNO

Teraz do stacji przychodzi nowy szef – Mark Thompson, oskarżany o to, że pod jego nosem, gdy był dyrektorem generalnym BBC, kwitł wielki skandal pedofilski.

Teraz do stacji przychodzi nowy szef – Mark Thompson, oskarżany o to, że pod jego nosem, gdy był dyrektorem generalnym BBC, kwitł wielki skandal pedofilski

Jimmy Savil, didżej i gospodarz programów BBC, korzystając ze swego statusu gwiazdy, przez lata wykorzystał seksualnie setki dzieci. Zarzuty pojawiły się już w 1963 r., ale pedofil działał bezkarnie w BBC do śmierci w 2011 r. Rok później, po ośmiu latach szefowania stacji, odszedł z niej Thompson. Niektórzy zarzucają mu, że wiedział o sprawie, lekceważył, czy nawet zamknął wewnętrzne śledztwo. Schemat jak w polskiej historii muzyka pedofila robiącego programy w TVP, którą w filmie „Bagno” pokazał Mariusz Zielke. Wszyscy wiedzieli, ale nikt nie wiedział.

Po co opowiadamy te porno tandetne historie, a można przytoczyć ich jeszcze wiele? A ile, drodzy czytelnicy, znaczą takich firm, korporacji, gdzie pracują podobni ludzie? Jakież to dobór i kształcenie kadr trzeba mieć, by się takich dorobić.

Ile jest takich miejsc na świecie, a to jest przecież specjalne, bo CNN ludzkości świat przedstawia i tłumaczy. Rzecz nie dotyczy tylko obyczajówki, lecz również mechanizmów manipulacji, ordynarnych kłamstw, jak w tych show braci Cuomo czy Smolletta. Trzeba zadumać się nad trafem sprawiającym, że takie historie pojawiają się wokół CNN, ciągną się za nią jak odór peerelowskich aparatczyków, służb i donosicieli za TVN. Porównanie nie jest przypadkowe, bo stacje należą teraz do jednej rodziny. A są i podobieństwa innej natury, zwłaszcza do TVN24, które jest niby polskim odpowiednikiem CNN.

PRZESTROGA

Losy amerykańskiego nadawcy, zamykającego kolejne biznesy, zwalniającego masowo ludzi, mogłyby być przestrożą dla TVN24, ale nie będą. Stacje informacyjne działają trochę w cyklu wyborów – w USA co dwa lata cząstkowych do Kongresu i tych wielkich co cztery lata, obejmujących prezydenckie. Wtedy są wielkie zniwa. Czasami się one przedłużają, jak w przypadku CNN, która dorobiła się wyjątkowej publiczności, karmiącej się wieściami z frontu walki z Trumpem. W czasie kampanii i prezydentury z ekranów przez 24 godz. na dobę wiało grozą. Ameryka CNN pogrążyła się otchłań. Jak narkotyk – dawki przerażających wiadomości. Jak dla sekty – codziennie mowa o końcu świata. I o sprawcy każdego nieszczęścia – Trumpie. Kiedy odszedł, przyszła katastrofa. Trump znikł, a wraz z nim publiczność uzależniona od codziennych porcji nienawiści i grozy. Nie ma czym karmić widzów, nie ma jak utrzymywać ich przed ekranem w ciągłym emocjonalnym napięciu.

Jeśli Platforma Obywatelska jakimś cudem wygra wybory i będzie rządzić, to największym przegranym stanie się TVN24. Nie będzie mogła karmić swych w części sfanatyzowanych odbiorców. Nie będzie czym. Zniknie gorączka. Lecz może jednak nie. Może TVN 24 liczy na inne widowiska nienawiści. Zapowiedziane przez PO pokazowe procesy, które będzie transmitować. W wolnej Polsce Platformy pół kraju ma bowiem siedzieć w więzieniach. ➤

Szkockim śladem gen. Sosabowskiego

Głośnym echem odbił się w Szkocji wrześnieowy „Weekend z gen. Stanisławem Sosabowskim”, przywracający pamięć o legendarnym dowódcy 1. Samodzielnej Brygady Spadochronowej. Była to jedna z pierwszych na świecie jednostek szturmowo-desantowych. Powstała we wrześniu 1941 r. na klifach przy Kincraig Point w hrabstwie Fife



ADAM CIESIELSKI

Impreza, zorganizowana z inicjatywy Konsulatu Generalnego RP w Edynburgu, obejmowała wiele wydarzeń przypominających dzieje słynnej jednostki, pierwotnie przeznaczonej do wsparcia wysiłku zbrojnego w kraju, a faktycznie użytej w 1944 r. w wielkiej alianckiej operacji desantowej Market Garden w Niderlandach.

Tło historyczne i współczesne poglądy na doniosłą rolę polskiego dowódcy oraz jego spadochroniarzy w tym przedsięwzięciu, zaprzeczające wysuwanym niegdyś przez Brytyjczyków niesprawiedliwym opiniom, w emocjonalnym wykładzie na polsko-szkockim spotkaniu przedstawił prawnik generała, prof. Hal Sosabowski.

– 1. Samodzielna Brygada Spadochronowa nigdy nie dotarła na polski front. Zamiast tego jej żołnierze nieustrudzenie walczyli w Holandii wraz z innymi dywizjami spadochronowymi z Wielkiej Brytanii i USA – powiedział Łukasz Lutostański, konsul generalny RP w Edynburgu.

– Jesteśmy dumni z naszych historycznych powiązań z gen. Sosabowskim i Polskimi Siłami Zbrojnymi, które uczestniczyły w obronie naszego kraju podczas II wojny światowej – oświadczył Jim Leishman, burmistrz Fife. – Zaowocowało to trwałymi związkami pomiędzy naszym hrabstwem a Polską. Po wojnie na tych terenach osiedliło się wielu Polaków i nadal istnieje tu silna społeczność polska.

W uroczystościach w Fife, podczas których zapalono znicze m.in. na cmentarzu spadochroniarzy w Largo i pod pomnikiem w Leven, uczestniczyli ich mieszkańcy z liczną grupą harcerzy. Żywe zainteresowanie wzbudził pokaz sprawności żołnierzy 6. Brygady Powietrznodesantowej im. gen. Sosabowskiego z Krakowa, przybyłych ze swym dowódcą gen. Michałem

Strzeleckim. Akcentem sportowo-historycznym był finałowy Bieg Sosabowskiego śladami generała i jego podwładnych.

Atmosferę podniósł wieczór w Klubie Polskim w Kircaldy i nabożeństwo w Kaplicy Królewskiej Pałacu Falklandzkiego z udziałem oficjeli polskich i brytyjskich (w tym m.in. przedstawiciela króla Karola III w Fife, lorda porucznika Roberta Balfoura i gen. Adriana Freera z Brytyjskiego Pułku Spadochronowego 16. Brygady Powietrznodesantowej).

Sam gen. Sosabowski (1892–1967) w swych wspomnieniach „Droga wiodła ugięciem” wyznał, że nie Londyn, gdzie mieszkał po wojnie, ale Szkocja, gdzie kilka wojennych lat stacjonował ze swą jednostką, stała się dlań niemal drugą ojczyzną. „Kocham Szkocję, lubię i szanuję Szkotów. Są tak twardzi jak natura ich kraju. Darzą bezinteresowną przyjaźnią te osoby, które według ich oceny na tę przyjaźń zasługują” – napisał. Ze wzruszeniem wspominał, jak w 1964 r. podczas uroczystego obiadu w Leven z okazji odsłonięcia pomnika przyjaźni polsko-szkockiej w 20. rocznicę bitwy pod Arnhem miejscowe kobiety z Fife porwały go do swego koła, by mu zaśpiewać „This is a jolly fellow” – wyraz największego zbiorowego uznania na terenie Zjednoczonego Królestwa.

„Weekend z gen. Stanisławem Sosabowskim” odbył się w Fife już po raz drugi. Patronujący mu Konsulat Generalny RP w Edynburgu w 2022 r. przygotował także m.in. kampanię promującą historię polskiego okrętu podwodnego Orzeł i innych jednostek Marynarki Wojennej II RP w ramach wspólnej walki z Royal Navy podczas II wojny światowej. Z wielkim zainteresowaniem historyków i publiczności spotkał się 12-min. dokument filmowy „Still on patrol” o legendarnym okręcie ORP Orzeł, który po brawurowej ucieczce z internowania w Estonii dokował w szkockim porcie Rosyth, skąd wyruszał na kolejne akcje.

Z kolei inny krótki dokument filmowy przygotowany przez Konsulat Generalny RP przybliżył dzieje istniejącego od 1948 r. w Edynburgu Domu Kombatanta, placówki niezwykle zasłużonej dla polskiej diaspory i dla przyjaźni polsko-szkockiej.

Weekend z gen. Stanisławem Sosabowskim, 2–3 września 2023 r., Kincraig Point, Falkland, Kircaldy, Largo, Leven i inne miejscowości w hrabstwie Fife

Raport wschodni to nie lada wyzwanie

Przez tereny wschodnie przetoczyła się nie jedna okupacja, jak w Polsce zachodniej i centralnej, ale cztery. Mieliśmy do czynienia z pierwszą okupacją sowiecką w latach 1939–1941.

W międzyczasie Wilno i Wileńszczyzna zostały na kilka miesięcy zajęte przez państwo litewskie. Następnie miała miejsce okupacja niemiecka, która przybierała różne formy. Od 1944 r. mamy do czynienia z drugą okupacją sowiecką

Z dr. Damianem Markowskim, historykiem i kierownikiem Sekcji Badania Dziejów Dawnych Ziemi Wschodnich Instytutu Strat Wojennych, rozmawia Andrzej Rafał Potocki

Jaki zakres i jaki czas miałby objąć raport wschodni o stratach wojennych zadanych Polsce przez Związek Sowiecki podczas II wojny światowej? Czy będzie dotyczył wyłącznie strat, które Rzeczpospolita poniosła przez Sowietów, czy również przez Niemców?

Damian Markowski: Raport wschodni będzie przede wszystkim unikatowym w sferze historii tych terenów opracowaniem źródłowym, które pozwoli nam na oszacowanie strat, jakie poniosło państwo polskie i jego obywatele na terenach dawnych ziem wschodnich. Mówimy o tych województwach, które po 17 września 1939 r. znalazły się na wschód od drugiej, strasznej kurtyny, która podzieliła nasz kraj w wyniku drugiego paktu Ribbentrop–Mołotow. Raport obejmie następujące województwa, podając z północy na południe: wileńskie, nowogródzkie, poleskie, wołyńskie, tarnopolskie, stanisławowskie, a także wschodnie części województw białostockiego i lwowskiego. Liczymy na to, iż raport pozwoli nam na oszacowanie wartości tego wszystkiego, co wchodziło w skład państwa polskiego na tamtych ziemiach. Opracowanie będzie obejmować okres od 1939 do 1946 r. Punktem wyjścia dla naszych obliczeń będzie stan posiadania państwa polskiego na 31 sierpnia 1939 r., czyli tuż przed wybuchem II wojny światowej.



Dlaczego aż do 1946 r.?

Ponieważ to, co się tam działo, przestało być uznawane na arenie międzynarodowej jako okupacja, a niekorzystne dla nas nowe granice zostały już zaakceptowane przez wolny świat. Do 1946 r. możemy zatem w pełni poprawnie twierdzić o trwaniu drugiej okupacji sowieckiej naszych przedwojennych województw wschodnich.

Jakich przeszkód spodziewacie się przy sporządzaniu tego raportu?

W odróżnieniu od prac przy raporcie niemieckim, do którego mieliśmy materiały zarówno w Polsce, jak i w dużej części również w Niemczech, tutaj musimy się mierzyć z faktem, iż materiały do raportu wschodniego znajdują się w znacznym stopniu na terenie państw wschodnich, które z nami sąsiadują. Natomiast szczęśliwie udało nam się już rozwiązać ten problem, przynajmniej częściowo, w taki sposób, iż do wybuchu pełnoskalowej wojny Federacji Moskiewskiej z Ukrainą, ściągnęliśmy i z Białorusi, i z Rosji, i z innych wschodnich obszarów mnóstwo materiałów.

Czego dotyczyły?

To były m.in. dokumenty z urzędów wojewódzkich z tamtych terenów, czyli z organów polskiej władzy, ale i materiały różnych komisji sowieckich szacujących straty wojenne. Oczywiście nie jest to źródło doskonałe, ale oddaje poniekąd rzeczywistość strat wojennych tamtego regionu. Przez tereny wschodnie przetoczyła się nie jedna okupacja, jak w Polsce zachodniej i centralnej, ale cztery. Mieliśmy do czynienia z pierwszą okupacją sowiecką w latach 1939–1941. W międzyczasie Wilno i Wileńszczyzna zostały na kilka miesięcy zajęte przez państwo litewskie. Następnie miała miejsce okupacja niemiecka, która przybierała różne formy. Ponieważ tereny Galicji Wschodniej zostały włączone do Generalnego Gubernatorstwa jako Dystrykt Galicja, obszar

Wołynia znalazł się w Komisariacie Rzeszy Ukraina, natomiast tereny ziem północno-wschodnich częściowo włączono do Rzeszy Niemieckiej i częściowo w skład Komisariatu Rzeszy Ostland. Później, od 1944 r. już do końca tego okresu, który będziemy badać, mamy do czynienia z drugą okupacją sowiecką.

Będziemy się starali dokonać takiego opracowania, które raz na zawsze zamknie różne pytania z zakresu spraw demograficznych. Jeśli chodzi o straty na terenie zachodniej i centralnej Polski, to zostały one wyliczone w miarę kompletnie. Tu będziemy musieli się poruszać w obszarze pełnym białych plam. Mnóstwo ludzi po prostu stamtąd zniknęło

Czy w takim razie raport wschodni będzie obejmował również czas okupacji niemieckiej na tamtych terenach, czy straty te doliczono już do raportu o stratach poniesionych przez Polskę w wyniku agresji i okupacji niemieckiej w czasie II wojny światowej wysłanego do Berlina?

Będą policzone wszystkie straty wyrażone państwu polskiemu i jego obywatelom na tamtych terenach, które będziemy mogli ująć źródłowo.

Czyli do tej pory nie wystawiliśmy Niemcom rachunku za szkody wyrządzone przez nich na terenach wschodnich?

Ten rachunek musi zostać uzupełniony pod względem strat poniesionych na ziemiach wschodnich. Dobrym przykładem jest eksploatacja przez najeźdźców lasów Karpat

Wschodnich. Sowieci zwiększyli ją sześciokrotnie, a Niemcy jeszcze z wielokrotnością rabunkową gospodarkę leśną. Jednak w tej chwili mówimy o badaniach naukowych. Wyceną tego wszystkiego zajmiemy się później. Nie ukrywam, że pod tym kątem raport wschodni stanowi nie lada wyzwanie. Teraz skupiamy się na dotarciu do materiałów źródłowych, które pozwolą nam na stworzenie tego opracowania.

Czym różniły się od siebie te okupacje?

Sowieci dążyli do tego, żeby zuniifikować te tereny, chcąc wcielić je do swojego państwa. Mówiąc brutalnie – chcieli poddać dyktatowi totalitarnego państwa całe życie społeczne i ekonomiczne. Człowiek miał się stać niewolnikiem. Natomiast Niemcy nie ukrywali, że zdaniem Hitlera miał powstać tam „rajski ogród”, ale wyłącznie dla Niemców. Przedtem mieli zostać wyniszczeni Żydzi i Słowianie. Miał to być raj dla kolonistów z Rzeszy po zwycięskiej wojnie ze Związkiem Sowieckim.

Jakie obszary życia będzie obejmował raport wschodni?

Będziemy się starali dokonać takiego opracowania, które raz na zawsze zamknie różne pytania z zakresu spraw demograficznych. Jeśli chodzi o straty na terenie zachodniej i centralnej Polski, to zostały one wyliczone w miarę kompletnie. Tu będziemy musieli się poruszać w obszarze pełnym białych plam. Mnóstwo ludzi po prostu stamtąd zniknęło. Być może przeżyli wojnę, ale na zawsze zostali w Sowietach. I to będzie zadanie pierwsze. Zadanie drugie to oszacowanie pełnego stanu posiadania Polski i jej obywateli na tamym terenie, na ile pozwolą nam źródła. Ale będziemy się zajmować nie tylko stratami demograficznymi, lecz również rolnymi, przemysłu, transportu, handlu, rzemiosła, komunikacji i wszystkimi innymi ze sfery życia społeczno-ekonomicznego. Dotąd pozostały niezbadane np. straty zadane przez sowieckie lotnictwo w czasie bombardowań węzłów kolejowych

w Wilnie i we Lwowie, gdzie 75 proc. śmiertelnych ładunków spadło na infrastrukturę cywilną, zabijając setki mieszkańców.

Gdzie znajdują się jeszcze białe plamy, z którymi muszą sobie poradzić autorzy raportu wschodniego?

Raport wschodni będzie zawierał również straty poniesione przez Polaków podczas przejścia frontu w 1944 r., kiedy walki niemiecko-sowieckie były niezwykle zacięte. Miasta takie jak Kowel czy Tarnopol zostały zamienione w twierdze i były zaciekle broniące, z ogromnymi ofiarami przede wszystkim ze strony ludności cywilnej. Podczas trzytygodniowego oblężenia sowieckiego Tarnopol przestał istnieć jako miasto. Była to przed wojną stolica województwa licząca ok. 40 tys. mieszkańców. Kiedy Sowieci zajęli je po raz drugi, musieli przenieść stolicę obwodu do Czortkowa, ponieważ z Tarnopola nie pozostał kamień na kamieniu. O tym się u nas do tej pory nie mówiło, a to wszystko były straty państwa polskiego pod okupacją.

Jak poważne były zniszczenia infrastruktury przemysłowej na Kresach?

Sowieci inaczej postępowali na Kresach niż na tzw. Ziemiach Odzyskanych, gdzie wywozili wszystko. Zakładali, że te tereny włączą na trwałe do swojego państwa. Demontowali i rabowali niektóre zakłady dysponujące nowoczesną technologią. Tak było z wileńskim Elektrytem, produkującym odbiorniki radiowe światowej jakości. Fabryka została cała wywieziona na Wschód. Brali również surowce zmagazynowane na stacjach kolejowych w wagonach. Ale część tych rzeczy pozostawili, nie wierząc, że będą musieli się z tych terenów jeszcze wycofać.

Jak była różnica powierzchniowa w tej „zamianie” wschodu na zachód? Ile na tym straciliśmy i czy to też zostanie ujęte w raporcie?

Straciliśmy ponad 75 tys. km², czyli obszar zbliżony do dzisiejszej Bawarii. To wielkość bolesna. Nie jestem zwolennikiem teorii, że Ziemia Zachodnie w pełni rekompensują nam utratę Kresów. Pewnych rzeczy nie da się zrównoważyć. Niczym nie można zrekompensować utraty Lwowa i Wilna – ośrodków naszej kultury, jakim dzisiaj jest np. Kraków.

Sowieci inaczej postępowali na Kresach niż na tzw. Ziemiach Odzyskanych, gdzie wywozili wszystko. Zakładali, że te tereny włączą sobie na trwałe do swojego państwa i pozostaną one u nich. Demontowali i rabowali niektóre zakłady dysponujące nowoczesną technologią

Właśnie, straty w kulturze...

Trudne do objęcia. Straty powstałe w wyniku zniszczenia tamtejszej inteligencji. Ta Polska na Wschodzie, istniejąca przecież od czasów średniowiecza i pozwalająca nam kształtować losy tamtej części naszego kontynentu, niemal przestała istnieć.

Jak wyglądały straty ludnościowe w tych dwóch okupacjach?

Pod pierwszą i drugą okupacją sowiecką ponieśliśmy straszliwe straty. Największe jednak były pod okupacją niemiecką. Praktycznie unicestwiono prawie całą ludność żydowską, która była obywatelami państwa polskiego. Ogromne straty, które dotknęły ludność pochodzenia polskiego, miały miejsce podczas pierwszej okupacji sowieckiej. Dziesiątki tysięcy osób wywieziono na Wschód, na Sybir, tysiące osób roz-

strzelano po bestialskich śledztwach NKWD. Aresztowania polskich obywateli miały miejsce również podczas drugiej okupacji w 1944 r. Ta fala aresztowań przetoczyła się przez Lwów i Wilno w celu złamania ducha oporu przeciw sowieckiej dominacji. Ludzie byli zmuszani do niewolniczej pracy na Syberii i w kopalniach Donbasu. Również tzw. repatriacja, czyli przetransportowanie prawie 1,5 mln obywateli na Ziemię Zachodnią, była *de facto* wypędzeniem.

Przed waszym zespołem stało poważne wyzwanie. Czy macie odpowiednie narzędzia, żeby mu sprostać i jaką metodą badawczą chcecie przyjąć?

Sprawa pierwsza – metodologia badania. Będziemy korzystać z rzeczoznawców. Chcemy zaprosić do współpracy najwybitniejszych historyków polskich, ukraińskich czy litewskich, żeby wspólnie ująć do tego dzieła, jakim będzie powstanie raportu wschodniego.

Jakie straty na Wschodzie są już nie do odrobienia?

Przed wszystkim ludnościowe. Straciliśmy ogromną część kadry uniwersyteckiej, ogromną część nauczycielskiej czy oficerskiej w Katyniu. Kwestie materialne można w jakiś sposób odrobić. Możemy odbudować zniszczony dworzec kolejowy, elektrownię, kanalizację. Z trudem, ale jednak. Możemy wyprodukować nowe autobusy, pociągi, samochody itd. Ale człowieka, który został zabity i przestał wykonywać swoją społeczną rolę, nie da się odtworzyć. Każdy jest istotą niepowtarzalną i bezcenną.

Kiedy planujecie zakończenie prac nad raportem?

Na dobrą sprawę dopiero teraz zaczynamy. Nie chciałbym podawać konkretnej daty, ale myślę, że prace zajmą ok. trzy lata, to jest absolutne minimum. Ale może to potrwać nieco dłużej.

Spór o model rozwojowy Polski

Spór o praworządność, rzekomo wygenerowany przez ugrupowania rządzące Polską po zwycięskich wyborach jesienią 2015 r., jest w istocie sporem fundamentalnym, aksjologicznym i zarazem ontologicznym, sporem o to, jak ma z jednej strony wyglądać Polska w Unii Europejskiej, a z drugiej Unia Europejska w Europie



JAROSŁAW SZYMANEK

Unijne instytucje i państwa, które od dłuższego czasu nie kryją, że odgrywają rolę liderów w UE (głównie chodzi o Niemcy), przyzwyczały się do tego, że Polska nie miała właściwie autorskiego planu na to, jak ma wyglądać jej obecność w Unii. W naszym kraju obowiązywała euforia wywołana akcesją do struktur europejskich i swoistym powrotem do Europy, zaś cała polska polityka była ogarnięta nieskrywanym euroentuzjazmem. W sumie nikt nawet nie zastanawiał się nad tym, jak wyglądają polskie ambicje w UE i jak zamierzamy zabiegać o nasze interesy. Naiwnie wierzone, że Wspólnota jest dobrem wspólnym, że coś takiego jak partykularny interes państw członkowskich najzwyczajniej zniknął.

* * *

Po jakimś czasie zaczęliśmy widzieć, że interesy narodowe wcale nie zniknęły, co najlepiej potwierdza polityka Berlina i Paryża. Zaczęliśmy też dostrzegać, że Unia powoli, lecz sukcesywnie, zmienia

się, że szybko próbuje się przekształcić w stronę tworu bardziej scentralizowanego, większego, potężniejszego, obejmującego coraz to nowe obszary swojego działania. Dyskusje wokół tzw. konstytucji dla Europy później, po referendalnym fiasku, przemianowanej na traktat lizboński, są tego najlepszym dowodem. To wtedy w Polsce po raz pierwszy przyszła refleksja nad Unią, a rozterki śp. prezydenta Lecha Kaczyńskiego, czy ratyfikować traktat z Lizbony, tylko to potwierdzają. Zmiana ekipy rządzącej wyhamowała refleksyjne podejście. Nie bacząc na polską rację stanu, powtarzano do znudzenia, że UE jest the best i jedyne co nam potrzeba, to więcej integracji, więcej Europy, nie zastanawiając się nawet na tym, jak to „więcej” ma wyglądać.

* * *

Niektórzy polscy politycy otwarcie zrezygnowali z lansowania własnej, ambitnej wizji Polski w Europie, wprost oczekując od Niemiec, żeby były aktywne i kreśliły śmiało wizję przyszłości kontynentu za wszystkich. W tym też czasie uznano, że nasz kraj nie ma właściwie samodzielnej polityki zagranicznej, że jest i powinna ona być jedynie funkcją polityki unijnej, albo – jeszcze lepiej – jednego lub dwóch największych państw unijnych. Stąd wzięło się zupełnie bezrefleksyjne patrzeć na Ro-

sję, wbrew elementarnym interesom Warszawy i zdrowemu rozsądkowi, o historii nawet nie wspominając. Ten okres to dramatyczne zdewastowanie kapitału Polski w UE. Uznanie, że coś takiego jak polski interes nie istnieje, że interes naszego kraju jest funkcją interesu niemieckiego czy – w mniejszym stopniu – francuskiego. Naiwnie wierzone, że jeśli Polska będzie w UE państwem drugiej kategorii, bez ambicji, bez oczekiwań, które – przywołując słowa prezydenta Jacques’a Chiraca – będzie siedzieć cicho, to zyska święty spokój, a w nagrodę być może nawet jakieś frukty (np. stanowisko przewodniczącego Rady Europejskiej).

Towarzyszyła temu pedagogika wstydu skojarzona z oikofobią, pokazująca Polaków jako zacofanych Europejczyków, których nie stać na to, by byli poważnymi graczami w eurolidze, skazanej na prymat Francuzów, Niemców, Holendrów czy Włochów. Uważano, że możliwości Polski wyczerpały się w momencie akcesji do Unii, a w interesie kraju jest przyklejenie się do silniejszych i bogatszych, bo dzięki temu będziemy poklepywani po plecach i pokazywani jako prymusi integracji.

* * *

Ta nieambitna, wręcz wasalistyczna postawa Polski w Unii była na rękę przede wszystkim Berlinowi. W polityce kra-

jowej obrazowała ją absolutna inercja działania w myśl hasła: po co nam porty, skoro są w Hamburgu, Bremerhaven czy Rostocku, po co nam LOT, skoro jest Lufthansa, po co nam nowe lotnisko, skoro jest lotnisko w Berlinie. Według tego modelu rozwoju Polska miała być państwem wtórnym, bez pomysłów, bez liczącej się gospodarki, bez znaczenia. Zapleczem dla wielkich oraz, co najwyżej, miejscem zbytu dla towarów i firm zachodnich. Państwem kojarzonym nie z prosperity i np. tym, że polskie porty mogą być coraz prężniejsze (w 2023 r. port w Gdańsku stał się ósmym europejskim portem pod względem ilości przeładowywanego towaru), tylko co najwyżej z dyskontem Lidl'a. Wmawiano przy tym Polakom, że poważne ambicje nie są dla nich, że ich celem powinna być tylko „ciepła woda w kranie”. W zakresie kwestii najważniejszej, czyli bezpieczeństwa, przyjęto z kolei na wskroś niemieckie założenie obronne, że w razie ewentualnego konfliktu z Rosją to linia Wisły będzie linią defensywy tzw. świata zachodniego. To *de facto* oznaczało, że wschodnia część Polski w razie konfliktu zostanie skazana albo na oddanie Rosji, albo – w najlepszym razie – na permanentny konflikt, co potwierdzało sukcesywne wycofywanie wojsk z tych terenów oraz dramatycznie niski poziom inwestycji, które nie bez przyczyny były skoncentrowane w zachodniej części naszego kraju, pogłębiając rozdźwięk między tzw. Polską A i B.

* * *

Zmiana władzy w 2015 r. była szokiem dla tych polskich polityków, dla których rozwojem był brak rozwoju, ambicją brak ambicji. Stanowiła też szok dla Berlina – roszczenia Polski do bycia liczącym się graczem zaskoczyły i jednocześnie zirykowały tamtejszych decydentów. Stąd wziął się przede wszystkim rzekomy spór o praworządność, stąd kryteria oceny rule of law i raport o stanie praworządności w Unii, na szybko przygotowany po raz pierwszy w czasie niemieckiej prezydencji w UE, a nie np. wtedy, gdy posłowie wybierali na zapas sędziów Trybunału Konstytucyjnego, co prze-

cież było dalekie nie tylko od standardu państwa prawnego, lecz także od zwykłej przyzwoitości. Stąd też wzięły się zupełnie nowe instrumenty działania jak KPO, pozwalające na nowo oceniać

Sednem polskiego sporu z UE jest to, że niektórzy chcieliby w nas widzieć nic nieznaczące państwo, państwo bez marzeń i planów, państwo świecące jedynie światłem odbitym od latarni Berlina czy Paryża

państwa członkowskie, analogicznie jak wówczas, gdy oceniano ich stan przygotowań do akcesji. Tym razem jednak ma się je oceniać pod kątem skrupulatności wdrażania unijnych polityk, które, tak się dziwnie składa, są najczęściej politykami niemieckimi, a przynajmniej najlepiej odpowiadającymi niemieckim interesom. Wystarczy podać przykład polityki energetycznej, w tym OZE – np. w polskim KPO przewiduje ona olbrzymie kwoty na zakup niemieckich technologii. W efekcie owszem, dostaniemy pieniądze z KPO – pod warunkiem, że zaraz wydamy je na niemieckie wiatraki i turbiny, napędzając tym samym gospodarkę zachodniego sąsiada. W efekcie w ramach troski o klimat zakazujemy spalinowych samochodów, lecz z wyłączeniem niemieckich koncernów mo-

toryzacyjnych, dla których szybkie i radykalne przejście na elektryki byłoby katastrofą ekonomiczną.

* * *

Prawda jest taka, że rzekomy spór o praworządność jest sporem o model rozwojowy Polski. Część klasy politycznej, przyzwyczajona do polskiej zaściankowości, domaga się tylko: „Weźmy wielkie pieniądze z Unii”. Pozostała część polityków wie jednak, że pieniędzy nikt nie rozdaje za darmo. Że w istocie fundusze z KPO to jeszcze większe uzależnienie Polski, jej zwasalizowanie, pogłębianie syndromu państwa en-tej kategorii. Do świadomości Polaków musi wreszcie trafić, że dziś barierą w dostępie do tych środków nie są wcale reformy sądownictwa i stan wymiaru sprawiedliwości, tylko polskie ambicje, które są nie w smak przede wszystkim Berlinowi. Pieniądze z KPO szybko dostaniemy, jeśli zrezygnujemy z pogłębiania i udrożniania Odry, jeśli zrezygnujemy z rozwoju portu w Swinoujściu, jeśli porzucimy wizję CPK, jeśli zamiast inwestowania w atom (Niemcy się go pozbywają) zainwestujemy w OZE, niemiecki hit ekspertowy sprzedawany wszystkim pod zręcznym hasłem zielonego ładu. Problemem polskiego sporu z UE jest to, że niektórzy chcieliby w nas widzieć nic nieznaczące państwo, bez marzeń i planów, świecące jedynie światłem odbitym od latarni Berlina czy Paryża, a przede wszystkim to, że dla dużej części polskiej klasy politycznej taka wizja naszego kraju jest jak najbardziej do przyjęcia.

Autor jest dyrektorem Centrum Badań Polityki Europejskiej

Biedny platformers ogląda „Zieloną granicę”

Tu rację ma tylko jedna strona: imigranci i próbujący im pomóc aktywiści. Ale takiego moralizatorstwa nie wytrzyma nawet wyborca Platformy. On przecież chętnie krzyknie rządowi „wyp...ć”, lecz uchodźców boi się tak samo jak większość społeczeństwa. Oglądając „Zieloną granicę”, zamiast współczucia odczuwa irytację



MACIEJ WALASZCZYK

P przed seansem w kinie sieci należącej do Agory serie długich reklam. Nieliczni widzowie oglądają przedwyborcze klipy profrekwencyjne z sugestywnym przekazem politycznym zachęcającym do głosowania przeciw PiS. Feministki, aborcjonistki, dyskretny lans LGTB+ zapowiadają dopiero, co czeka widza w czasie trwającego 2,5 godz. seansu. To pierwszy, podstawowy błąd – „Zielona granica” Agnieszki Holland to film zbyt długi. Raczej niecierpliwi, niż wciąga, po-

zostawiając poczucie obciążonej bieżącą polityką artystycznej plajty. Tym bardziej jeśli ma być moralitetem wywołującym poczucie winy, nienawiść do samego siebie i wszystkiego dookoła. Nienawiść do Polski.

Widza, któremu Holland podsuwa własną interpretację wojny hybrydowej na granicy z Białorusią, nie przekona budowana przez nią atmosfera grozy, bo ta, wbrew jej intencjom, co i rusz wali się jak domek z kart. Jej pełnym komizmu apogeum zdaje się być znana już internautom scena, w której Julia (Maja Ostaszewska) prowadzi sesję terapeutyczną online z Bogdanem (Maciej Stuhr). Złośliwi od razu zauważyli, że aktor gra w niej prawdopodobnie samego siebie. Bohater przechodzi załamanie nerwowe wywołane świadomością rządów prawicy. Przez

„faszystów” z Marszu Niepodległości spadło mu libido, i do tego jest uzależniony od leków psychotropowych. Dramat przeradza się w farsę. Terapia nie przynosi efektów i dopiero zaangażowanie go do pomocy migrantom, poświęcenie sprawie, prowadzi do odzyskania psychicznej równowagi. To nie wszystko, bo przyjęci do jego domu czarni chłopcy, świetnie mówią po francusku, mają europejskie maniery, są kulturalni i powściągliwi, a podczas wspólnej kolacji grzecznie odmawiają jedzenia wieprzowiny. Oczywiście dla kontrastu przedstawiono filmową wizję imprezy integracyjnej funkcjonariuszy Straży Granicznej, czyli hałaśliwej libacji z bimbrem i prymitywnymi żartami.

Reżyserka nie rozumie, że widz, choć z kręgów opozycyjnych niechętnych rządowi prawicy, nawet mniej skłonny

do patriotycznych uniesień, do którego wrażliwości chciała się odwołać, pozostanie na jej wizję obojętny. On woli mocniejsze wrażenia, niemal pornograficzną dosłowność – przyzwyczaili go do niej Pasikowski, Vega czy Smarzewski. Maja Ostaszewska w roli empatycznej „psycholożki” Julii, gotowej do walki z reakcyjnym reżimem, nie wstrząśnie jego sumieniem i nie przekona do siebie tak jak choćby odgrywana przez nią wyzywająca Olka z Vegowskiego „Pitbulla”. Ten widz nie da się masowo wciągnąć w psychodramę, w której jest obsadzony w roli wielokrotnej ofiary policyjnego reżimu nad Wisłą. Sceny z przesłuchaniem, upokorzenie poddanej rewizji osobistej bohaterki, nie wzbudzą jego współczucia, a raczej irytację i zniecierpliwienie. Bo widz, do jakiego apeluje Holland, to ktoś o temperamencie i mentalności Basi (Agata Kulesza). Tota, co w historycznym spazmie krzyczy, że głośnie na Platformę i przypomina, że gdy było trzeba, stała pod sądami ze świeczką, lecz nie będzie ryzykowała udziału w przemyśle ludzi, łamaniu prawa i komplikowania sobie życia. Szczególnie w imię sprawy, której tak na prawdę nie popiera.

Bo pamiętajmy – owi wyborcy Platformy wcale nie są zwolennikami imigracji. Ten „drobnomieszczański burzuj”, dyskretnie piętnowany przez Holland, chętnie zakrzyknie „wyp...ć” na strajku kobiet, lecz nikt nie rozbudzi w nim miłości do nielegalnych uchodźców z Afryki i krajów muzułmańskich, bo obawia się ich bardziej niż mieszkańcy Podlasia. W przeciwieństwie do filmowej Julii nie przytuli do piersi muzułmańskiego uchodźcy.

CZARNE PRZEROBIONE W BIAŁE

„Zielona granica” jest zbudowana z prostych opowieści o kilku grupach bohaterów, rysowanych zresztą bardzo grubą krechą, za pośrednictwem których Agnieszka Holland próbuje meblować wyobraźnię widza. Chce więc odwrócić, zafalszować, kompletnie odmienić, to, co każdy normalny człowiek wie dziś na temat wojny hybrydowej na granicy z Białorusią. Wszystko odwrotnie niż w rzeczywistości. Nie chcę używać podtekstów rasowych, lecz tu naprawdę czarne ma być białe, a białe czarne.

Po pierwsze: imigranci, nielegalni uchodźcy czy, jak chce Julia, „osoby uchodźcze”. To jedyna, złożona wyłącznie z pozytywnych bohaterów grupa postaci bez skazy. To wyłącznie ofiary nieszczęść, szukające lepszego i spokojnego życia w Europie. Znają języki, chcą się uczyć, są inteligentni, empatyczni, rodзинni, opiekuńczy, troszczą się wzajemnie o siebie. Tych cnót nie pokonuje żaden wąski egoizm, nawet w obliczu tak beznadziejnej sytuacji, w jakiej się znaleźli. Fakt, że na teren Unii chcą się dostać nielegalnie za pośrednictwem handlarzy ludźmi, białoruskiej dyktatury, mafii czy łapówek nie ma znaczenia. Nie atakują kamieniami i kijami, nie grożą pięściami, nikt z nich nie przypomina ludzi z agresywnego tłumu, jaki widzieliśmy w relacjach z granicy. Gdzie są więc te hordy szturmujące zasieki w oczekiwaniu na życie z socjału, gdzie muzułmanie pomiatający kobietami i różnice kulturowe?

Widz Agnieszki Holland ma dojść do przekonania, że tacy nie istnieją lub są nieważni, a jeśli już mamy ich szukać, to oczywiście wokół siebie, w Polsce. Reżyser próbuje zawstydić widza: to są ludzie bardziej cywilizowani od ciebie wychowani w dobrobycie, egoisto, nikczemnika szukaj w sobie samym.

Po drugie: polskie służby, Straż Graniczna i policja. Podczas odprawy z dowódcą prawda o celu hybrydowej agresji z użyciem sprowadzanych na Białoruś imigrantów staje się swoją karykaturą. Funkcjonariusze nie są obrońcami granic, nie ryzykują życiem, lecz odpowiadają za śmierć bezbronnych ludzi. Wśród nich znajduje się jeden sprawiedliwy, który w końcu przechodzi swoje katharsis, a winy odkupuje, nie wykonując rozkazu, by kilka miesięcy później, gdzieś pod Przemyślem, pomagać Ukraińcom uciekającym przed wojną.

Nie ma jednak przesady w opinii, że na ekranie mundurowi przemienili się w rodzaj brutalnego gestapo albo obozowych strażników z psami. Holland jednak krzycząc: popatrzcie, jakie to skur..., wywarza otwarte drzwi. To wizja dla najtwardszych, bo wychowanych na „Psach” i „Pitbullu”. Widz zna już taką policję, i to w wersji jeszcze bardziej dosłownej, jeszcze wulgarniejszej i do-

sadnej. Co go tak bardzo nie oburza, więc oskarżycielski ton Holland pali na panewce. Ma ona dla polskiej straży jedną okoliczność łagodzącą, bo o ile nasi pogranicznicy w jej wizji to prząśni podlascy „gestapowcy”, o tyle białoruskie służby zdają się być prawdziwym, współczesnym NKWD. A to już, wbrew intencjom autorki, może dać każdemu widzowi wiele do myślenia.

Po trzecie, aktywiści: to oni są tymi najsprawiedliwymi i najodważniejszymi. Widz, do którego Holland kieruje swój przekaz, zauważa jednak, że nie prowadzą życia normalnego człowieka. Nie wiadomo, kiedy pracują i z czego żyją, skąd mają środki na pomoc, ubrania, leki, sprzęt, samochody i czas. Szczególnie gdy pośród nich odnajdujemy anarchistów z facetem podającym się za kobietę. Ale i aktywiści nie są tak idealni, bo i wśród nich rysuje się pęknięcie. Chcący działać w granicach prawa przegrywają z radykałami. Przewrotu dokonuje Julia, na nowo organizując ludzi z Grupy Granica. Nie chodzi przecież tylko o udzielanie pomocy medycznej, lecz złamanie przemysłu blokady, walkę z państwem, przemykanie ludzi dalej. A takie stawianie spraw przeciętnego widza mocno dystansuje.

PROPAGANDOWA MORALISTYKA

Holland odwołuje się do wzorów klasycznego kina propagandowego. W hollywoodzkich filmach nie brak tego rodzaju produkcji, nachalnie epatujących tanią moralistyką, kontrastami dobro–zło. Nam, oglądającym ten czarno-biały obraz, przychodzi na myśl raczej kino totalitarne, które musi się opierać na jakimś micie uniwersalnej niesprawiedliwości. Mająca poruszać widza niesprawiedliwość jest u Holland powszechna, wszechobecna i banalna. Tu rację ma tylko jedna strona: imigranci i próbujący im pomóc aktywiści. W opozycji do nich stoją zło-wrogie instytucje państwa polskiego, funkcjonariusze, najważniejsi politycy. Takiego moralizatorstwa nie wytrzymają nawet wyborcy Platformy. Tym bardziej że nad wszystkim czuwa, dyskretnie ukryty przez Agnieszkę Holland, Władimir Putin.

Niezlomni w sutannach

„Gdyby nie abp Baraniał i jego nieugięta postawa, nie byłoby powrotu prymasa Wyszyńskiego do Warszawy po okresie uwięzienia, bez prymasa Wyszyńskiego nie byłoby kard. Wojtyły, a potem Jana Pawła II”. To opinia abp. Marka Jędraszewskiego na temat abp. Antoniego Baraniała, który w 1953 r. został aresztowany przez komunistów wraz z prymasem Stefanem Wyszyńskim (na zdj.)



LIDIA DUDKIEWICZ

W latach 50. ub.w. władze komunistyczne w ramach rozprawienia się z Kościołem w Polsce rozważały aresztowanie prymasa Stefana Wyszyńskiego. Potrzebna była tylko zgoda Moskwy, odwołująca się z powodu śmierci Józefa Stalina (5 marca 1953 r.), której konsekwencją były polityczne rozgrywki na Kremlu.

„NON POSSUMUS”

Po wyborach władz w Moskwie, w wyniku których I sekretarzem KPZR został Nikita Chruszczow, przystąpiono do ostatecznego rozwiązania sprawy Kościoła Polsce. Zaostrzono represje,

czyli usuwanie religii ze szkół, zamykanie prasy katolickiej i wydawnictw oraz placówek charytatywnych prowadzonych przez Kościół, a także szkół katolickich, obciążanie niesprawiedliwymi podatkami.

Aresztowano wielu kapłanów. Komuniści organizowali pokazowe procesy, m.in. ks. Władysława Gurgacza, ks. Zygmunta Kaczyńskiego, księży i świeckich pracowników kurii krakowskiej. Bp Czesław Kaczmarek z Kielc został oskarżony o „szpiegostwo na rzecz Stanów Zjednoczonych oraz Watykanu” i po bestialskim, pokazowym śledztwie skazany na 12 lat więzienia jako „wróg Polski Ludowej”. Od prymasa oczekiwano publicznego

potępienia działalności bp. Kaczmarka, ale ten stanowczo odmówił.

W prześladowaniu i kontrolowaniu Kościoła komuniści posunęli się tak daleko, że na mocy specjalnego dekretu chcieli decydować o obsadzie stanowisk osób duchownych. Od zgody władz państwowych próbowano uzależnić nominacje biskupie i kapłańskie. Duchowni mieli też składać przysięgę na wierność państwu. W odpowiedzi na te zuchwałe działania biskupi polscy wystosowali do władz PRL memoriał „Non possumus”, datowany na 8 maja 1953 r., w którym wyrazili protest wobec ingerencji w wewnętrzne sprawy Kościoła. Kard. Wyszyński potwierdził ten protest publicznie 4 czerwca 1953 r.,

podczas procesji Bożego Ciała w Warszawie. Mówił wtedy do 200-tys. rzeszy wiernych, że „Kościół będzie bronić wolności kapłaństwa nawet za cenę krwi”. To mogło być bezpośrednią przyczyną aresztowania prymasa Polski.

Rządzący w PRL, podobnie jak ich mocodawcy w Moskwie, zdawali sobie sprawę z tego, że bez odsunięcia prymasa Wyszyńskiego nie zniszczą Kościoła w Polsce. A był on główną przeszkodą w bolszewickich planach sowietyzacji Polski. Zapadła więc decyzja o internowaniu prymasa.

ARESztOWANIE

W tym roku mija 70 lat od uwięzienia dwóch niezłomnych hierarchów Kościoła katolickiego. W nocy z 25 na 26 września 1953 r. przedstawiciele władzy komunistycznej wtargnęli do Domu Arcybiskupów Warszawskich przy ul. Miodowej i aresztowali kard. Stefana Wyszyńskiego oraz bp. Antoniego Baraniaka, kierownika Sekretariatu Prymasa Polski. Bezprawnego aresztowania dokonali milicjanci wraz z funkcjonariuszami Służby Bezpieczeństwa pod przewodnictwem płk. Karola Więckowskiego (znanego też jako Zenon Stachula), sowieckiego oficera, agenta NKWD, kierownika Departamentu XI w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego PRL (zajmującego się walką z Kościołem katolickim). W akcji uczestniczyło ok. 50 funkcjonariuszy, którzy, dobijając się do bramy przy Miodowej, straszili użyciem broni.

Na mocy uchwały prezydium rządu PRL, wydanej poprzedniego dnia, prymas miał być natychmiast usunięty ze stolicy i zaprzestąć „wykonywania funkcji wynikających z piastowanych dotąd stanowisk kościelnych”. Dokument zatwierdzili: Bolesław Bierut, Józef Cyrankiewicz, Jakub Berman, Edward Ochab, Hilary Minc i Stanisław Radkiewicz. Mimo żądania jednego z funkcjonariuszy prymas nie zgodził się podpisać, że „przyjął tę decyzję do wiadomości”, zaznaczając, że jest ona pozbawiona podstaw prawnych. Napisał tylko, że tekst przeczytał. W obecno-

ści osobistego sekretarza bp. Antoniego Baraniaka złożył protest, w którym zaistniałą sytuację uznał za bezprawny gwałt. Oświadczył jednocześnie, że dobrowolnie domu nie opuści. Księdzu prymasowi kazano się szybko spakować. Tego polecenia też nie wykonał. Udał się – pod okiem funkcjonariuszy – do swojego gabinetu przyjąć, gdzie przejrzał i podpisał bieżące dokumenty. Wziął z biurka różaniec i brewiarz, a na koniec nawiedził kaplicę. Siostra zakonna opiekująca się domem spakowała do walizki najpotrzebniejsze rzeczy, podała kapelusz i zarzuciła prymasowi na ramiona płaszcz, wiszący przy wyjściu. Było już po północy, gdy Wyszyńskiego wyprowadzono.

Prymas Tysiąclecia kard. Stefan Wyszyński i abp Antoni Baraniak to nieugięci więźniowie systemu komunistycznego. Dzięki ich niezłomnej postawie Kościół w Polsce zachował suwerenność, możliwy był solidarnościowy zryw narodu i zrzucenie jarzma komunizmu

Ciemną nocą samochodem z zaciemnionymi szybami i pod eskortą sześciu innych aut prymas został przewieziony do pierwszego miejsca internowania. Wtedy dopiero zorientował się, że ma na sobie płaszcz, który wcześniej należał do zamordowanego przez Niemców w Dachau bp. męczennika Michała Kozala. To on na początku II wojny światowej uchronił ks. Wyszyńskiego przed aresztowaniem, a być może przed egzekucją. W porę bowiem nakazał mu opuścić seminarium duchowne we Włocławku, gdzie mieszkał i pracował jako profesor. To go uratowało, gdyż 7 listopada 1939 r. Niemcy wtargnęli do

seminarium, aresztowali wykładowców i alumnów, a następnie wywieźli ich do więzień i obozów.

Podczas trzyletniego internowania kard. Wyszyński przebywał w czterech miejscach izolacji: w Rywałdzie na Kujawach, Stoczku Klasztornym na Warmii, Prudniku Śląskim na Opolszczyźnie oraz w Komańczy w Bieszczadach. Został uwolniony w 1956 r. na fali politycznej odwilży. Komuniści chcieli tym gestem uspokoić społeczne nastroje. Z polecenia I sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki do Komańczy przybyli przedstawiciele władz państwowych: Zenon Kliszko i Władysław Bienkowski, którzy powiadomili Wyszyńskiego o zakończeniu izolacji i poprosili o szybki powrót do Warszawy. Prymas postawił jednak pewne warunki, domagając się naprawienia szkód wyrządzonych Kościołowi: wypuszczenia na wolność innych biskupów i ich powrotu do swoich diecezji, anulowania dekretu z 9 lutego 1953 r. o obsadzaniu stanowisk kościelnych oraz wznowieniu prac Komisji Mieszanej. Wyrażono na to zgodę i 28 października 1956 r. prymas Polski powrócił do stolicy.

Swoją pobyt w odosobnieniu potraktował jako czas błogosławiony. Napisał wtedy Jasnogórskie Śluby Narodu oraz przygotował dziewięcioletni program Wielkiej Nowenny przed obchodami Milenium Chrztu Polski w 1966 r. W czasie uwięzienia prymasa powstał też projekt trwającej do dziś peregrynacji kopii jasnogórskiego obrazu po Polsce.

OBROŃCA KOŚCIOŁA

Internowany kard. Wyszyński przez długi czas, aż do 1955 r., nie wiedział, że tej samej wrześniowej nocy 1953 r. w prymasowskim domu aresztowano również bp. Baraniaka. Myślał, że nadal wykonuje on swoje obowiązki w Warszawie przy Miodowej i pilnuje wszystkiego pod nieobecność prymasa.

Tymczasem nad ranem 26 września młody bp Baraniak został zabrany przez Urząd Bezpieczeństwa i uwięziony. Przez 27 miesięcy, bez aktu oskarżenia, był osadzony w warszawskiej katowni

na Rakowieckiej. Przeszedł tam okrutne śledztwo, podczas którego był torturowany fizycznie i psychicznie. Ubecy chcieli wymóc na nim zeznania obciążające aresztowanego prymasa, co umożliwiłoby władzom wszczęcie pokazowego procesu przeciwko głowie Kościoła katolickiego w Polsce. Nad złamaniem biskupa pracowało 31 funkcjonariuszy UB. Przesłuchiwano go ponad 145 razy, a przesłuchania trwały nawet po kilkanaście godzin. Był poniżany, bity, przypalany papierosami, głodzony, przetrzymywany nago w karcerze z fekaliami nawet w wielostopniowym mrozie. W czasie tortur mówił do siebie tylko jedno: „Baraniak, ty się nie możesz ześwinić”. I nie dał się złamać, nie podpisał lojalki, pozostał wierny prymasowi.

Coraz bardziej podupadał jednak na zdrowiu. Prawdopodobnie aby uniknąć skandalu, który mogła wywołać ewentualna śmierć biskupa w komunistycznym więzieniu, w grudniu 1955 r. przewieziono go do miejsca odosobnienia w Marszałkach pod Ostrzeszowem, a następnie do Krynicy Górskiej.

W październiku 1956 r. bp Baraniak wyszedł na wolność, zmaltretowany i wyniszczony fizycznie. Wrócił do Domu Arcybiskupów Warszawskich i kontynuował swoją pracę w Sekretariacie Prymasa Polski. W maju 1957 r. towarzyszył kard. Wyszyńskiemu w jego pierwszej po internowaniu wizycie *ad limina apostolorum* w Rzymie.

Na jednym z watykańskich spotkań papież Pius XII przedstawił go swojemu otoczeniu, mówiąc: „Ecco il vero martire” (To jest prawdziwy męczennik). Właśnie wtedy bp Baraniak otrzymał nominację na arcybiskupa metropolity poznańskiego. Rządy diecezją objął 2 lipca 1957 r. W latach 1962–1965 brał udział w obradach Soboru Watykańskiego II. Do końca życia unikał rozmów na temat swojego męczeństwa w komunistycznej katowni. Ten niezłomny biskup, obrońca Kościoła, zmarł w 1977 r.

Dr Jolanta Hajdasz, autorka dwóch filmów o arcybiskupie Baraniaku: „Zapomniane męczeństwo” i „Żołnierz Niezłomny Kościoła”, wyjaśnia, że wszystko, co spotkało biskupa, było wynikiem tego, że chciano z niego zrobić fałszywego świadka w procesie poka-



Arcybiskup Antoni Baraniak

zowym przeciwko prymasowi Polski. Komuniści chcieli go zorganizować, aby skompromitować Kościół. Do procesu jednak nie doszło, m.in. ze względu na niezłomną postawę bp. Baraniaka, który wytrzymał brutalne śledztwo na Rakowieckiej.

PAMIĘĆ I WDZIĘCZNOŚĆ

Na pogrzebie abp. Baraniaka prymas Wyszyński powiedział, że był on dla niego niejako osłoną. Wyznał: „Na niego spadły główne oskarżenia i zarzuty, podczas gdy mnie w moim odosobnieniu przez trzy lata oszczędzano. Nie oszczędzano natomiast bp. Antoniego. Wrócił na Miodową w 1956 r. tak wyniszczony, że już nigdy nie odbudował swej egzystencji psychofizycznej. [...] O tym, co wycierpiał, można się było dowiedzieć tylko od współwięźniów. [...] Domyślałem się, że mój względny spokój w więzieniu zawdzięczał mu, bo on wziął na siebie jak gdyby ciężar całej odpowiedzialności prymasa Polski”.

„Nie ugiął się. Nie złożył ani jednego zeznania, które obciążałoby księdza prymasa, czym uratował mu życie, ale również uratował Kościół katolicki w Polsce” – uważa dr Jacek Pawłowicz,

wicedyrektor Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL, które mieści się w dawnym więzieniu śledczym przy Rakowieckiej.

W muzeum upamiętniono męczennską drogę Polaków represjonowanych przez komunistów. Dostępna jest m.in. cela, w której więziono cichego, ale nieugiętego abp. Baraniaka. Co miesiąc w tym miejscu okrutnych politycznych zbrodni sprawowana jest msza za osoby zamordowane, więzione i walczące o niepodległą Polskę, a także w intencji beatyfikacji abp. Baraniaka, którego proces beatyfikacyjny rozpoczął się w 2017 r.

Należy jeszcze wspomnieć, że Sejm RP ogłosił rok 2024 Rokiem Arcybiskupa Antoniego Baraniaka w związku z przypadającą wtedy 120. rocznicą jego urodzin. Z pewnością z tej okazji wiele usłyszymy o tym przez lata zapomnianym męczeństwie polskiego kapłana.

Prymas Tysiąclecia kard. Stefan Wyszyński i abp. Antoni Baraniak to nieugięci więźniowie systemu komunistycznego. Dzięki ich niezłomnej postawie Kościół w Polsce zachował suwerenność, możliwy był solidarnościowy zryw narodu i zrzućenie jarzma komunizmu.

K

ULTURY

*Nagrodzone
w Gdyni „Święto
ognia” Kingi
Dębskiej to
opowiadający
o trudnych
sprawach słoneczny
koncert na cztery
aktorki, reżyserkę
i aktora. Pierwsze
skrzypce gra
w tym zestawie
debiutantka
Paulina Pytlak*

Anastazja wśród nas

Fot. Jacek Kurlikowski/KPFA



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Kinga Dębska, która po raz kolejny pokazała w konkursie głównym gdyńskiego festiwalu swój film, pozostaje konsekwentna. Jak w głośnych „Moich córkach krowach” z 2015 r. czy „Zupie nic” z 2021 r. – przedstawiając relacje rodzinne – opowiada historie słodko-gorzkie i jednocześnie niosące nadzieję. Pokazuje sytuacje obiektywnie trudne do udźwignięcia, rozbrajając je jednak ciepłym humorem.

PORUSZAJĄCA RODZINA

Jak we wcześniejszych produkcjach (także w „Zabawie, zabawie” czy „Planie B”), także teraz stawia przed kamerą ekranowe indywidualności. Pozwala rozkwitnąć aktorom (i zaproszonej do współpracy tancerce).

W Almodovarowskiej, wielobarwnej odsłonie pokazuje się w „Święcie ognia” Kinga Preis. Nagrodzono ją za rolę drugoplanową (sąsiadki, która dołącza do ekranowej rodziny). Karolina Gruszka, choć ma do zagrania najmniej, wykorzystuje na ekranie każdą minutę. Aktorski popis daje Tomasz Sapryk jako czuły, oddany, empatyczny i kochający mąż oraz ojciec dwóch córek. Koloryt, wdzięk i prawdę – wielkiej sceny oraz jej kulisy, ale przede wszystkim szczerości siostrzanej relacji – wnosi do „Święta ognia” tancerka Baletu Narodowego Joanna Drabik.

Nie byłoby jednak tej historii, gdyby nie przekonująco zagrana główna postać – Anastazja, dziewczyna z porażeniem mózgowym, w którą wcieliła się tegoroczna absolwentka warszawskiej Akademii Teatralnej Paulina Pytlak (nagroda za najlepszy aktorski debiut).

ZWYCZAJNIE BYĆ

Pytana przez dziennikarza Interii, co było największym wyzwaniem w roli dziewczyny z dziecięcym porażeniem mózgowym, Paulina Pytlak odpowiada, że najmocniej stresowała się tym, iż nie będzie potrafiła znaleźć w swoim ciele fizycznych ograniczeń bohaterki, a bardzo chciała uniknąć przerysowań, karykatury. Zależało jej, by „zwykajnie »być« tą osobą, a nie ją grać”.

Do roli Anastazji aktorka przygotowywała się przez trzy miesiące, pracując zarówno z choreografką Izabelą Chlewińską, jak i dziewczyną z porażeniem mózgowym – Kasią Podstawką. Odwiedzała też szkoły specjalne. W jednej z nich poznała Zuzię, którą możemy oglądać w scenie urodzin filmowej bohaterki.

Zuzia, jak zapewnia aktorka, miała w oczach „inspirujące światło i radość”, ułatwiające stworzenie filmowej postaci. Bohaterki, którą ogranicza ciało, nie blokując jednak umysłu i uczuć. Najtrudniejsze, podkreśla Pytlak, było pokazanie Anastazji tak, by widz uwierzył, że naprawdę jest szczęśliwa, iż „to, że jest, ma głębszy sens”, może nas zainspirować, pomóc dostrzec, co tak naprawdę jest ważne w życiu.

OCZY, KTÓRE PATRZĄ

Ciekawe, że trzy lata temu, gdy „Święto ognia” być może dopiero tliło się w głowie reżyserki, Paulina Pytlak, studiująca na AT aktorstwo i wokalistykę, zaprezentowała się mediach społecznościowych w singlu „Oczy”. Napisała do utworu muzykę i słowa, brzmiały m.in. tak: „Chciałabym spojrzeć na świat / Inaczej niż patrzę od lat / Co mi blokuje serce? / Czemu wciąż chcę więcej? [...] Potrzeba nam oczu stworzonych z mi-

łości / Które widzą / Duszę nie ciało / Które patrzają / Lecz nie oceniają [...]”.

W dyplomowym recitalu pt. „Jackie” (nienawiającym do żony prezydenta Kennedy’ego) Pytlak również pochyliła się nad nietatwą historią tytułowej bohaterki. W spektaklu nazywanym muzodramem (można go zobaczyć w warszawskim Teatrze Collegium Nobilium) wykonuje zarówno piosenki z repertuaru Jeffa Buckleya, Czerwono-Czarnych, Mikromusic, jak i swoje autorskie utwory oraz monologi.

CZEKAJĄC NA WIDZA

„Święto ognia” wchodzi właśnie do kin. Tuż po zakończeniu 48. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych na duże ekrany trafił obsypany nagrodami „Doppelgänger. Sobowtór” Jana Holoubka (statuetki za najlepszą reżyserię, drugoplanową rolę męską – Tomasz Schuchardt, zdjęcia – Bartłomiej Kaczmarek, scenografię – Marek Warzewski i kostiumy – Weronika Orlńska).

Na premierę czekają: zdobywca Złotych Lwów „Kos” Pawła Maślony (nagrodzony też za drugoplanową rolę męską Robert Więckiewicz, charakterystycę – Aneta Brzozowska i montaż – Piotr Kmiecik); czarny koń festiwalu, czyli film „Tyle co nic” Grzegorza Dębowskiego (najlepszy debiut reżyserski oraz scenariusz autorstwa Dębowskiego, a także pierwszoplanowa rola męska Artura Paczesnego i drugoplanowa rola kobieca – Agnieszka Kwiecińska) oraz laureat Srebrnych Lwów (i statuetki za główną rolę żeńską dla Leny Góry), film „Imago” w reżyserii Olgi Chajdas.

Nagrodę Specjalną Jury (a także Nagrodę Publiczności) otrzymali „Chłopi” w reż. Doroty Kobieli-Welchman i Hugh Welchmana. Film został polskim kandydatem do oscarowych nominacji.

GRUPA ORLEN WZMACNIA BEZPIECZEŃSTWO ENERGETYCZNE POLSKI

W trosce o bezpieczeństwo i niezależność energetyczną Polaków zwiększyliśmy dostawy LNG, które obecnie są jednym z głównych źródeł zaopatrzenia Polski w gaz ziemny. W 2022 roku w terminalach im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego w Świnoujściu oraz litewskiej Kłajpedzie odebraliśmy rekordową liczbę ładunków skroplonego gazu. Rozwijamy również własną flotę gazowców, która zagwarantuje stabilność dostaw oraz wzmocni naszą pozycję na globalnym rynku LNG. Dwie jednostki w barwach naszej Grupy dostarczają już gaz do Polski.





Jaskółka za wiedźmina

O jaskółczej symbolice i jaskółkach zwiastujących kolejne książkowe spotkanie z Gerałtem z Rivii. O konfrontacji słów z wyobrażeniami, ale też o kulinariach z **Andrzejem Sapkowskim**, laureatem dorocznej Nagrody Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego 2023 w kategorii literatura, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Trzyma pan w ręce statuetkę jaskółki. Czym jest dla pana tak przedstawiona doroczna Nagroda Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego?

Andrzej Sapkowski: Pisałem o tym w paru książkach. Jaskółka to symbol heraldyczny, bardzo zresztą częsty na tarczach herbowych. Fachowo nazywa się to merlot, nie jaskółka, i oznacza nadzieję, odradzanie się, wierność... Stara legenda mówiła, że jaskółki nie odlatują na zimę,

tylko łączą się pazurkami w kule i zatapiają w górskich jeziorach. Wiosną się rozdzielają i wylatują z wody.

Wydaje się, że ta nagroda znakomicie wpisuje się w pana twórczość. To cieszy?

Każda nagroda cieszy. Dużo bardziej lubię, gdy mnie nagradzają, niż krytykują, używając niecenzuralnych słów.

Wobec pana? Twórcy wiedźmina?

Często spotykam się z przeświadczeniem odbiorców, że to gry, filmy, serie, czy komiksy były pierwsze. Że z nich pochodzi pierwowzór bohatera. Obraz stał się dziś ważniejszy od litery. Natłok adaptacji na wszelakie media sprawił, że wielu ludzi uważa, iż to, co napisałem, było później. Nic się na to nie poradzi.

Śledzi pan to, co dzieje się z Geraltem?

Chciałbym, ale nie jestem w stanie dotrzeć do wszystkich informacji. Szczególnie że żadne ze mnie zwierzę internetowe. Przestałem też jeździć na konwenty i zjazdy fantastyki, ale staram się cały czas być na bieżąco.

Czy któraś z historii wiedźmina przeniesiona do innego medium przypadła panu szczególnie do gustu?

Jestem jak najdalszy od umniejszania wartości adaptacji, ale w większości nie ma punktów styecznych między nimi a literackim oryginałem. Adaptacje rządzą się swoimi prawami, chociaż... przed niektórymi chapeau bas, kłaniam się nisko, są piękne.

O których mowa?

Jest ich wiele, za dużo, żeby wszystkie wymienić.

Skoro nie daje się pan namówić na wyróżnienie adaptacji, to może którąś z wizualizacji bohatera był pan w stanie najpełniej zaakceptować?

Z tą wizualizacją zawsze był u mnie problem. Dlatego, że wbrew powszechnie przyjętej opinii nie piszę obrazków. Kompletnie ich nie widzę. Jeśli pani zapyta mnie, co to jest czarne, to powiem pani: „c-z-a-r-n-e”. Przede wszystkim widzę litery. W związku z tym każda wizualizacja w pierwszym momencie powodowała u mnie odruch: „Taaaaak? To-ooo? Niemożliwe...”. I trwa to do dzisiaj.

Przy żadnej nie pomyślał pan: „Tak mogłoby być”?

Henry Cavill, który, niestety, odszedł już z netfliksowego „Wiedźmina”, był chyba – nie powiem, że najbliższy mojemu wyobrażeniu, bo takiego nie mam – najbliższej postaci.

A Michał Żebrowski?

Nie mam nic przeciwko jego roli. Wpadł w niej bardzo dobrze, ale to, co zrobił Cavill, podobało mi się bardziej.

Czy akceptuje pan swojego bohatera w wirtualnej rzeczywistości?

A cóż to takiego jest? Nie znam się na tym. Dla mnie rzeczywistość to rzeczywistość, a wirtualna rzeczywistość jest jak piwo bezalkoholowe albo wywiad wojсковy.

Wiedźmin jednak odnalazł się i w takich realiach.

Tylko co ja do tego mam? Stałem na pozycji krzywej sosny nad urwiskiem, którą malarz, wziawszy farby olejne, namalował. Malarza proszę pytać, jak to zrobił i dlaczego to zrobił.

Ale pana mogę zapytać o kolejną książkę o wiedźminie, która ponoć już się pisze?

Powiedzmy. Zemści się na mnie ten wywiad z Ukraińcami. Już się na mnie mści, ale co zrobić, słowo się rzekło... *Verba volant, scripta manent* (słowa ulatują, pismo pozostaje), ale nic więcej nie powiem.

Podobno zgodził się pan też napisać wstęp do niecodziennej książki kulinarnej?

Już napisałem.

Co ma wspólnego wiedźmin z jedzeniem?

Bardzo wiele. W moich książkach jest przynajmniej dziesięć opisów, bardzo obrazowych, uczt. A mówiąc zupełnie poważnie, na pomysł wpadli chłopcy od gier. To zresztą dosyć powszechne działanie: powstały już książki kucharskie związane m.in. z „Grą o tron” czy z „Wikingami”... Imię ich jest

legion. Ludzie z CD Projekt też postanowili coś takiego stworzyć. Autorkami są Anita Sarna i Karolina Krupecka. Mnie poproszono o napisanie przedmowy, co uczyniłem z przyjemnością.

Czyli już pan tę książkę przeczytał?

A nawet wypróbowałem parę przepisów.

I pana faworyt to...?

Kaszanka z jajkiem sadzonym. W życiu czegoś takiego nie jadłem. Wyszło znakomicie.

Kiedy ukaże się „Wiedźmin. Oficjalna księga kucharska”?

W listopadzie.

A nowa powieść o Geraltie?

Będzie, ale nie jutro, a nawet nie pojutrze.

Jest już może zarys fabuły, pierwsza scena...?

Bez komentarza. Tak to jest, jak się nie bacz na słowa w wywiadach.

Henry Cavill, który, niestety, odszedł już z netfliksowego „Wiedźmina”, był chyba – nie powiem, że najbliższy mojemu wyobrażeniu, bo takiego nie mam – najbliższej postaci



Spiski i apokalipsy

Na 78. sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, które Polakom kojarzy się z antypolskim wystąpieniem prezydenta Zelenskiego, miały miejsce inne, ważniejsze wydarzenia. Jednym z celów szczytu była ocena postępu we wdrażaniu założonych celów uchwalonego we wrześniu 2015 r. dokumentu „Przekształcania naszego świata: Agenda na Rzecz Zrównoważonego Rozwoju – 2030”. Na sesji zaplanowano wydanie 500 mln dol. na realizację Agendy 2030, by przyspieszyć wdrażanie Genderowej Edukacji Transformatywnej (GTE) najmłodszych, powszechnego dostępu do „zdrowia seksualnego i reprodukcyjnego”, w ramach którego biznesmeni Planned Parenthood chcą umożliwiać aborcję w każdym zakątku świata, a także cenzury i cyfrowej inwigilacji pod pozorem walki z dezinformacją i „mową nienawiści”.

Organizacja Narodów Zjednoczonych ma zostać wyposażona w instrumenty głębszego globalnego zarządzania. Istotą nowego mechanizmu, nazwanego Platformą Zagrożenia, jest oddanie Sekretarzowi Generalnemu prawa ogłaszania „globalnego zagrożenia”. Kolejny krok na drodze do utopii. Przeprowadzany przez pokolenia plan. Nowy światowy porządek. Ilu ludzi śmiało się z nawiedzonych, głoszących swoje spiskowe teorie. I okazało się, że to oni mieli rację.

Utopijna wizja świata z jednym przywódcą powstała w środowisku okultystycznym w XIX w. Warto uświadomić sobie konsekwencję, z jaką przez pokolenia realizowane są kolejne etapy planu.

Projekt przemiany kultury i cywilizacji zachodniej finalizują się. Zakwestionowano obiektywizm prawdy, wyrugowano chrześcijaństwo z życia większości zachodnich społeczeństw, zaburzono wzorce identyfikacji płcio-

wej. Ktoś powie: to naturalne, nieodwracalne procesy kulturowe. Bzdura. Wykażę to, pokazując prehistorię Nowej Ery, czyli New Age, prądu antyreligijnego, który razem z Nową Lewicą, rewolucją obyczajową, rewolucją gender i wieloma innymi rewolucyjnymi prądami doprowadził do dzisiejszego stanu świat Zachodu.

Korzeni nowożytnego myślenia ezoterycznego można szukać już u żyjącego na przełomie XV i XVI w. lekarza i przyrodnika Filipa Hohenheima, zwanego Paracelsusem. Zawiązek idei New Age można znaleźć w XVIII-w. myśli Emmanuela Swedenborga. Po pierwsze, pisał on o wyższości bezpośredniego kontaktu ze światem umarłych, duchowym, nad informacjami płynącymi z biblijnego objawienia. Po drugie, głosił ideę uzupełnienia nauk przyrodniczych i tradycyjnych religii poznaniem nadmysłowym. Po trzecie, głosił nadejście „czasu przełomu” w rozwoju ludzkości i kosmosu. Swedenborg prowadził długie rozmowy z aniołami i „duchami”, czyli demonami. Jego idee rozpowszechniły się błyskawicznie. Spadkobiercami Swedenborga są m.in. Johann Wolfgang Goethe, Helena Bławatska, Eliphas Levi i Carl Gustav Jung.

Kolejnym ważnym etapem prehistorii New Age jest ruch spirytystyczny, który po 1848 r. rozprzestrzenił się po zachodnim świecie z niebywałą siłą. Światu prezentowano nowe objawienie, będące efektem kontaktu z „duszami zmarłych”. Z tego środowiska wywodzi się Franz Mesmer, prekursor bioenergoterapii – do korzystania z „zaświatowych przekazów” dodał on korzystanie z „uzdrawiającej” siły płynącej z tego źródła. W środowisku spirytystycznym powstała również idea „myślenia pozytywnego” i naukowe zainteresowanie hipnozą – zjawiskiem duchowym, a nie jedynie przyrodniczym.



ROBERT TEKIELI

Również w XIX w. powstał najważniejszy dla New Age nurt okultystyczny: teozofia. Współzałożycielka Towarzystwa Teozoficznego Helena Bławatska była medium spirytystycznym. Głosiła idee zniszczenia chrześcijaństwa, zastąpienia idei osobowego Boga ideą bezosobowej Kosmicznej Zasady oraz ideę planu: świat ma być zjednoczony, na jego czele będzie stał jeden powszechny nauczyciel – Maitreya.

By nie można było przeoczyć lucyferycznych inspiracji tego procesu, następczyni Madame Bławatskiej Alice Ann Baileys nazwała założone przez siebie w 1922 r. wydawnictwo teozoficzne Lucifer Trust. Opublikowało ono m.in. książkę Fritjofa Capry pt. „Punkt zwrotny”.

W taki sposób powstały wszystkie istotne idee New Age. W latach 60. pozostało jedynie je rozpropagować.

Stan zachodniej kultury i społeczeństw Zachodu, atak na instytucję rodziny, Kościół katolicki, wszelkie istotne rozróżnienia, które są dziełem Objawienia, są wynikiem wielowiekowej pracy. Oczywiście nie tylko środowisk okultystycznych. Tradycje ezoteryczne splatają się z nurtem rewolucji politycznej, ekologicznej, feministycznej, transhumanistycznej i tej głoszonej przez mniejszości seksualne. Wszystkie te środowiska, głosząc idee czasem ze sobą sprzeczne, zgadzają się co do jednego: w globalnym projekcie nie ma miejsca dla chrześcijan. 

Warte „Zmowa”, kryminał Janusza Petelskiego z 1988 r., opisuje jedną z głośniejszych zbrodni z okresu PRL, tzw. sprawę połaniecką. W wigilijną noc 1976 r. autobus wjeżdża w młode małżeństwo i nastolatka, na oczach kilkudziesięciu osób sprawcy dobijają rannych. Jeden z morderców, bogaty gospodarz zwany Królem Zrębina, posiadacz ciągnika i jedynego we wsi telefonu, zmusza świadków do milczenia. Jest przysięga na kolanach, pieczętowana krwią, zastraszanie, przekupstwo. Ma wyglądać na to, że pijany kierowca ukradł sprzed kościoła autobus i potrafił śmiertelnie trzy osoby. Milicja i prokuratura kupują tę historię. Wypadki drogowe się zdarzają. Wszystko dzieje się w znakomicie oddanej w filmie atmosferze polskiej prowincji: fiaty, polonezy, autobusy „ogórki”, wódka, hipokryzja, układy.

Gdy pojawiają się pierwsze wątpliwości, nawet w obliczu zagrożenia kilkuletnim więzieniem za krzywoprzysięstwo, świadkowie idą w zaparte. Mija wiele miesięcy, zanim nastąpi pierwsze aresztowanie.

Sprawa miała być zamieciona pod dywan. Dopiero interwencja w Warszawie zmienia bieg rzeczy. Co znamienne, do sędzi Sądu Najwyższego dociera kobieta, matka chłopca przerywającego milczenie. Jej męża w bezradności stać było już tylko na ucieczkę w alkohol.

Genialna jest scena, w której wojewoda, za milczącą zgodą wysokiej rangi partyjnego aparatchyka, przyzwala prokuratorowi na rozstrzygnięcie zgodne z prawdą. Istotne jest tylko to, by szybko zakończyć głośną już w całej Polsce aferę. Tak wyglądałby sąd ostateczny, gdyby św. Paweł był oportunistą: wahanie, sprytnie rozmycie odpowiedzialności przez decydentów i lekkie skinienie głową, które w efekcie doprowadziło do egzekucji dwóch głównych sprawców.

Kino PRL miało jedną niewątpliwą zaletę. W filmach grali wtedy aktorzy. W kilkanaście sekund obecności na ekranie Markowi Walczewskiemu udało się milczeniem i jednym gestem zbudować postać będącą genialną personifikacją peerelowskiej władzy, zmęczonej coraz bardziej upominającą się o swoje prawa rzeczywistością.



Jerzy Łapiński, znany głównie z drugoplanowych ról charakterystycznych, a zagrał w ponad 50 filmach, również stworzył przekonującą postać. Swojskiego potwora, mającego za nic ludzkie życie, a jednocześnie człowieka całkowicie pospolitego, jednego z tych, których racja musi być zawsze na wierzchu, niemających żadnych skrupułów i przekonanych, że wszystko da się załatwić.

Drugim głównym bohaterem filmu jest wiejska zbiorowość. O banalności zła najmocniej bowiem mówi to, że dobijanie ciężarnej 18-latki kluczem francuskim odbywało się na oczach 30 osób, mężczyzn i kobiet, matek i ojców. Ci ludzie przed końcem pasterki wrócili do kościoła w Połańcu i śpiewali kolędy... Ale jest też druga strona: zmowa milczenia została przerwana. Jeden ze świadków nie potrafił uporać się z wyrzutami sumienia.

Film nie jest doskonały. To zresztą produkcja telewizyjna, nie filmowa. Ale ciężar tematu, znakomite aktorstwo i wiarygodność przedstawienia realiów PRL sprawiają, że obraz pracuje w umyśle i sercu widza. Oprócz Jerzego Łapińskiego Ewa Szykulska, Adam Ferency, Stanisława Celińska i młodziutki Artur Pontek sprawiają, że nie tylko wierzymy w opowiadaną historię, ale się w nią angażujemy.

Zbrodnia i kara, naiwność i okrucieństwo, perfidia bezwzględного mordercy i bezwolność mieszkańców wsi, milczący tłumek z satysfakcją patrzący na płonące obejście sąsiada,

który przerwał zмовę milczenia, wykorzystywanie symboli religijnych do prób ukrycia zbrodni – również dziś, w innych realiach, dokładnie tak samo próbowane są sumienia. Wojna duchowa trwa. Karę śmierci na mordercach z Połańca wykonano 23 listopada 1982 r. w Krakowie.

Robert Tekieli
Polskie Radio





Złowrogi cień



Kino

Jan Holoubek pokazał, że dobrze rozumie prawa gatunkowego kina. „25 lat niewinności” i seriale „Rojst” oraz „Wielka woda” to bardzo solidne dramaty sensacyjne z dobrze rozłożonymi akcentami. W „Doppelgänger. Sobowtór” reżyser ekspluatuje kolejne filmowe formy, jest to rasowe kino szpiegowskie osadzone w realiach PRL. Film został nagrodzony na festiwalu filmowym w Gdyni m.in. za reżyserię.

Według germańskich wierzeń doppelgänger to mityczny, mroczny duch bliźniak żyjącej osoby. Ujrzenie swojego własnego doppelgängera jest zapowiedzią rychłej śmierci. Brzmi tajemniczo? Sam film Holoubka aż tak tajemniczy nie jest, ale tytuł dobrze oddaje jego akcję, która rozgrywa się po dwóch stronach żelaznej kurtyny na przełomie lat 70. i 80. Po jednej żyje Hans Steiner (Jakub Gierszał), który jest dobrze zakamuflowanym agentem komunistycznego wywiadu z Polski, zaś po drugiej (w Gdańsku) obserwujemy życie pracującego w stoczni Jana Bitnera (Tomasz Schuchardt). Po 30 latach Hans odnajduje w Strasburgu swoją biologiczną matkę, która szybko po ich spotkaniu umiera. Przygarnięty przez krewnych chłopak odkrywa uroki kapitalistycznego życia, które coraz mocniej odsuwają go od pracy dla wywiadu PRL. W tym czasie Jan dowiadyuje się, że jego biologiczna matka została wysiedlona do Niemiec tuż po wojnie. Czy Jan i Hans to bracia? A może właśnie jeden jest tym „sobowtorem”? Który?

„Doppelgänger. Sobowtór” nie jest historycznym filmem o działaniu peerelowskich służb specjalnych, jak choćby „Żeby nie było śladów” Jana P. Matuszyńskiego czy „Figurant” Roberta Glińskiego, opowiadający o inwigilowaniu Karola Wojtyły przez SB. Nie jest to też westernowa wariacja jak „Jack Strong” Władysława Pasikowskiego, który, swoją drogą, naznaczył przecież całe polskie kino obrazem esbeka o twarzy Franza Maurera. Holoubek idzie gdzieś pomiędzy, zerkając raczej w stronę takich szpiegowskich klasyków lat 70. jak „Trzy dni Kondora” niż opowieści o Bondzie czy Bourne. To nie pościgi samochodowe, strzelaniny i efektowne mordobicie są tutaj najważniejsze, ale uniwersalna opowieść o utracie duszy i zaprzędaniu się złu.

W imię uwikłania w pracę dla wywiadu totalitarnego państwa Hans musi wyrzec się osobistych

pragnień i miłości. Kolaborując, ma wszystko o czym Jan, którego historia jest prowadzona w sposób równoległy, może tylko pomarzyć w szarzyźnie kraju przetrąconego przez zamach stanu Jaruzelskiego. Ceną za to jest jednak dusza. Schuchardt słusznie dostał za rolę nagrodę na ostatnim festiwalu w Gdyni. Jest to znakomity, charakterystyczny aktor, który w Hollywood byłby pewnie co chwilę nominowany w kategorii aktor drugoplanowy. Jednak również Gierszał tworzy złożoną rolę. Nie czujemy sympatii wobec esbeka, widząc cenę, jaką musi zapłacić za uwikłanie. Ba, Hans nie szuka wcale odkupienia. To zimny lajdak, który chce pogodzić wygodę życia w materialnym dostatku z pracą dla totalitarnego państwa. Robi to nawet kosztem szczerej miłości. Hans jest jak zaprzędany faszyzmowi Marcello z „Konformisty” Bernardo Bertolucciego. Widać, że Holoubek wysoko stawia ten film na swojej półce.

Holoubek słusznie otrzymał za ten film reżyserskiego Lwa w Gdyni. Podobnie jak w jego serialach „Rojst” i „Wielka woda”, także tu pieczołowicie zostały odwzorowane realia epoki. Zarówno w Strasburgu, jak i Gdańsku. Nie dziwią więc nagrody w Gdyni za zdjęcia (Bartłomiej Kaczmarek), kostiumy (Weronika Orlińska) i scenografię (Marek Warszawski). Szkoda, że trochę mocniej nie została rozbudowana postać zagubionego i zgniecionego przez system Jana, która powinna lepiej równoważyć obraz zimnego żołnierza służb tego systemu. Nadałoby to temu zimnowojennemu szpiegowskiemu kinu klimat thrillera i podniosłoby go gatunkowo na wyższy poziom. Holoubek jest zapatrzony w amerykańskie kino lat 70. w stylu wybitnej „Rozmowy” Francisca Forda Coppoli i za wszelką cenę chce uniknąć popadnięcia w hollywoodzką sztampę. Tyle że ona i tak się trochę tutaj wkrada, choćby w postaci demonicznego ojca (Andrzej Seweryn) czy wyjętej z kina noir agentki prowadzącej (Katarzyna Herman).

Jednak Holoubek nakręcił bardzo solidne kino szpiegowskie, które choć jest zanurzone w historię PRL, to unika jej tylko politycznego wymiaru. „Doppelgänger. Sobowtór” jest uniwersalnym filmem, który może zostać doceniony przez widza nieznającego realiów komunistycznej Polski.

„DOPPELGÄNGER. SOBOWTÓR” FILM W KINACH

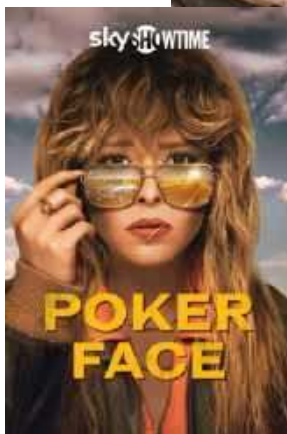


Columbo w spódnicy



Ze wszystkich telewizyjnych detektywów mojego dzieciństwa najbardziej lubiłem Columbo. Nie tylko dzięki uroczo niechlujnemu i zadziwiającemu magnetycznemu Peterowi Falkowi, ale również przez konstrukcję scenariusza. W „Columbo” porucznik LAPD rozwiązywał kryminalną zagadkę, której sprawców widzowie poznawali już na początku odcinka. Ważne było nie, kto zabił, lecz jak Columbo go odkrył. Taki sam schemat ma serial „Poker face”, który został stworzony przez jednego z najciekawszych filmowców pracujących obecnie w Hollywood.

Chodzi o Riana Johnsona, który ma na koncie jedną z części „Star Wars” i „Looper”, ale także detektywistyczne hity „Na noże” i „Glass Onion”. Tam detektywem był ekscentryczny i pochodzący z wyższych sfer Benoit Blanc o twarzy Daniela Craiga, w „Poker face” jest nim natomiast ktoś znacznie bliższy Columbo. Ktoś, kto jak porucznik w zniszczonym prochowcu pochodzi z ludu pracującego, a nie arystokratycznej elity. Charlie (świetna Natasha Lyonne) ma wyjątkowy dar. W kilka chwil potrafi rozpoznać u rozmówcy kłamstwo. Dziewczyna pracuje w hotelowym kasynie w Las Vegas jako kelnerka, gdzie zwraca na nią uwagę jej szemrany szef i synalek bogatego tatusia (Adrien Brody), który chce ją wykorzystać do szulerki. Pech chce, że ostatecznie nic z tego nie wychodzi i dziewczyna musi uciekać przed jego żądnym zemsty ojcem (Ron Perlman).



Telewizja

Jadąc przez Amerykę, Charlie rozwiązuje kolejne kryminalne zagadki, których niechęć staje się częścią.

Johnson bawi się klimatem amerykańskiej telewizji lat 70. i 80. Zarówno w warstwie narracyjnej, jak i wizualnej oraz stylistycznej.

W każdym odcinku, przedstawiającym oddzielną zbrodnię (stałym motywem przewodnim jest tylko ucieczka Charlie przed łajdakami z Vegas), pojawia się jakaś gwiazda. Raz jest to Brody, innym razem Nick Nolte, Joseph Gordon-Levitt czy Hong Chau. Dziś w serialach, które są obsadzone czołowymi gwiazdami Hollywood, pojęcie „guest star” znaczy coraz mniej, ale 30, 40 lat

temu wielka gwiazda w serialu była wydarzeniem. W „Poker face” udaje się przywrócić ten klimat. Ba, nawet otwierające film żółte napisy początkowe przywołują skojarzenia z kinem tego okresu. Brakuje tylko kamery Panavision, jak w kinowych retro hołdach Tarantino.

Johnson stworzył inteligentną i ciekawą opowieść ze sporą dawką lekkiego humoru opartego na zaskakującej charakterze Lyonne. Nie każdy odcinek ma równy poziom, ale z tych, które są już dostępne na SkyShowtime, widać, że dostaliśmy jeden z ciekawszych kryminałów na małym ekranie ostatnich lat. Peter Falk byłby dumny, mimo że jego następczyni jest wyjątkowo niegrzeczną dziewczyną.

**„POKER FACE” SERIAL DOSTĘPNY
NA SKYSHOWTIME**

*Narodowy Instytut Wolności poprzez Korpus Solidarności
wzmacnia wolontariat systematyczny*

Chcesz pomagać innym – rób to profesjonalnie

W polskim społeczeństwie nadal drzemie ogromny potencjał rozwoju wolontariatu.

*Specyfika tej pracy jest jednak taka, że im bardziej sprofesjonalizowane,
czyli dobrze zorganizowane są jej struktury, tym jest ona bardziej efektywna.*

*O to, by dostarczyć organizacjom wolontariackim jak najlepsze wsparcie, dba
Narodowy Instytut Wolności, który zarządza Korpusem Solidarności – Rządowym
Programem Wspierania i Rozwoju Wolontariatu Systematycznego na lata 2018–2030*

Poznajcie Dominikę Kasińską ze Szczyrku – jedną z najbardziej inspirujących wolontariuszek w Polsce, która swoim podejściem do życia burzy stereotypy oraz skłania do refleksji nad własnym zaangażowaniem w niesienie bezinteresownej pomocy potrzebującym. „Jestem Dominika, mam 30 lat, zespół Downa i mieszkam w Szczyrku” – przedstawia się wolontariuszka.

RADOŚĆ Z PRACY WSRÓD LUDZI

Dominika pracuje w szkole w Bielsku-Białej jako asystentka nauczyciela. Po siedmiu godzinach spędzonych w pracy 30-latką wpada w wir zajęć związanych z wolontariatem. Podstawowym obszarem jej działalności jest Stowarzyszenie Rodzin i Przyjaciół Osób z Zespołem Downa Wielkie Serce, które zajmuje się m.in. organizowaniem aktywności dla osób cierpiących na tę chorobę. Oprócz tego Dominika działa w komisjach w Sejmiku Osób Niepełnosprawnych Województwa Śląskiego, jest ambasadorką kilku akcji społecznych, a także angażuje się w pomoc przy wszelkich wydarzeniach charytatywnych,



takich jak zbiórki pieniędzy dla potrzebujących dzieci, pomoc zwierzętom i wiele innych.

– Robię to wszystko, bo po prostu czerpię z tego ogromną radość. Czuję się przez to działanie potrzebna, a wierzę, że nawet najdrobniejszy dobry gest może zmienić świat. Znam dobrze potrzeby osób niepełnosprawnych i wiem też, jakie mamy prawa. Bardzo chcę, by inni dostrzegli w osobach niepełnosprawnych pełnowartościowych ludzi – mówi Dominika.

Osobą, która od początku zrobiła wszystko co możliwe, by życie Dominiki było jak najpełniejsze mimo jej niepełnosprawności, jest jej mama Anna. Dziś ma powód do ogromnej satysfakcji z tego, w jaki sposób idzie przez życie jej córka.

– Wolontariat w przypadku Dominiki z pewnością pełni też rolę terapeutyczną dla niej samej, ale jest ona też inspiracją i przykładem dla wielu innych podobnych osób. Może to dzięki niej, dzięki jej inspiracji w Stowarzyszeniu Wielkie Serce, jest już kolejnych kilka wolontariuszek z zespołem Downa. Angażują się one w wolontariat, właśnie jak Dominika – mówi Anna Kasińska.

KORPUS SOLIDARNOŚCI – WSPARCIE WOLONTARIATU

Przykład Dominiki Kasińskiej jest nie tylko inspirujący, lecz także w dobitny sposób ukazuje, że w wolontariat można się zaangażować bez względu na własne ograniczenia, miejsce zamieszkania czy wykonywaną jednocześnie pracę zawodową. Dominika została laureatką w konkursie na Wolontariusza Roku Korpusu Solidarności w 2020 r. Korpus Solidarności jest zarządzany przez utworzony w 2017 r. NIW, skupiający się na pomocy organizacjom obywatelskim. Instytut powstał z inicjatywy przewodniczącego Komitetu ds. Pożytku Publicznego prof. Piotra Glińskiego. Swoje podstawowe zadania realizuje poprzez programy wspierające tworzenie silnego społeczeństwa obywatelskiego. Jednym z najważniejszych jest Korpus Solidarności.

– Idea Komitetu ds. Pożytku Publicznego jest to, by Korpus Solidarności stanowił rzeczywiste wsparcie dla wszelkich inicjatyw wolontariatu w Polsce. By ludzie, którzy mają w sobie chęć niesienia pomocy innym, mogli liczyć na jak najbardziej profesjonalne i zorganizowane wsparcie, aby poczuli, że ich zaangażowanie w wolontariat ma głęboki sens i służy realizacji ważnych celów społecznych – mówi prof. Piotr Gliński.

JAK ZOSTAĆ WOLONTARIUSZEM?

Jeżeli ktoś chce podjąć się zadań realizowanych w ramach Korpusu Solidarności, ma kilka sposobów dotarcia do organizacji wolontariackich lub zgłoszenia własnej nowej inicjatywy w ramach otwartych konkursów ofert. Każdy chętny wolontariusz może odwiedzić stronę www.korpussolidarnosci.gov.pl lub ściągnąć aplikację System Obsługi Wolontariatu. Tam znajdziemy wszelkie informacje o poszukiwanych wolontariuszach lub też możemy sami zaproponować własne usługi. Jest to pierwszy tak unikalny system, dzięki któremu przyszli wolontariusze mogą swobodnie wybierać dostępne oferty wolontariackie, dostosowując je do swoich potrzeb i zainteresowań. Kolejnym sposobem jest skontaktowanie się z którymś z regionalnych lub lokalnych partnerów Korpusu Solidarności. Warto też w swoim najbliższym otoczeniu szukać certyfikowanych Miejsc Przyjaznych Wolontariuszom. Obecnie jest to ponad 170 organizatorów wolontariatu, w tym podmiotów pozarządowych, szkół, ośrodków pomocy społecznej, muzeów, gdzie osoby zaangażowane w aktywność obywatelską mają godne i odpowiednie warunki realizacji wolontariackiej pasji.

DLACZEGO ORGANIZACJE DOŁĄCZAJĄ DO KORPUSU?

Korpus Solidarności umożliwia organizacjom wolontariackim wejście na wyższy poziom profesjonalizmu poprzez nową



ścieżkę o nazwie „Wsparcie organizacji wolontariatu w NGO – WOW w NGO!”. Jej głównym celem jest wzmocnienie organizacji pozarządowych w zarządzaniu wolontariatem, zapewniając wsparcie finansowe i pozafinansowe.

NIW-CRSO wciąż stara się identyfikować wszelkie bariery, utrudniające skuteczne zarządzanie wolontariatem, takie jak brak odpowiednich kompetencji u koordynatorów, brak etatów dla koordynatorów oraz niewystarczająca wiedza na temat organizacji wolontariatu wśród kadry zarządzającej. Tymczasem w ramach „WOW w NGO” dąży się do stworzenia spójnych standardów organizacji i zarządzania wolontariatem poprzez certyfikację NGO jako „Miejsca Przyjaznego Wolontariuszom”. Proces ten obejmuje planowanie i organizowanie wolontariatu zgodnie z dobrymi praktykami, badanie wolontariuszy, edukację zarządu oraz wiele innych działań. Wsparcie dla organizacji w ramach „WOW w NGO” obejmuje też trzyletnie finansowanie koordynatora wolontariatu, pakiet finansowego wsparcia rozwoju wolontariatu oraz pakiet wsparcia pozafinansowego. Dodatkowo koordynatorzy wezmą udział w Szkole Dobrego Wolontariatu, a organizacje przystąpią do procesu certyfikacji. Program przewiduje także mentoring w przygotowaniu Planu Rozwoju Wolontariatu oraz wprowadzenie do Systemu Obsługi Wolontariatu, które będą wspierać koordynatorów i zespoły realizujące program. Efekty projektu to m.in. wzmocnienie roli koordynatora wolontariatu, stworzenie zespołu regularnie działających wolontariuszy, przyznanie minigrantów na projekty społeczne wolontariuszy oraz profesjonalizację organizacji zarządzających wolontariatem.

WYPRACOWUJĄ MILIARDY PKB

Wolontariat ma jednak nie tylko wymiar społeczny, lecz także przekłada się na bardzo istotne wartości ekonomiczne, które w swoich wyliczeniach ujmuje ZUS. W 2011 r. równowartość aż 3 proc. naszego PKB (40 mld zł) została wypracowana przez wolontariuszy.

– Gdyby nie wolontariusze, trzeba by było znaleźć te pieniądze w budżecie państwa i samorządów, aby to, co jest wykonane przez nich, zrealizować z pieniędzy publicznych, bo najczęściej jest to jakaś służba dobru publicznemu, dobru wspólnemu – mówi Wojciech Kaczmarczyk, dyrektor NIW.

Dalsza profesjonalizacja wolontariatu, nad którą nieustannie pracuje NIW, daje nadzieję na zwiększenie liczby osób chętnych do niesienia pomocy w ramach tej inicjatywy.

Nic bowiem tak nie motywuje ludzi do pracy w wolontariacie jak świadomość, że to, co robią jest ważne i przynosi rzeczywiste efekty. Dominika Kasińska jest wolontariuszką już od 11 lat i codziennie widzi efekty swojego zaangażowania. Warto ją naśladować.



Regulowy Program
Wspierania i Rozwoju
Wolontariatu Systematycznego
na lata 2018-2030
**Korpus
Solidarności**

Na szczycie

Polska siatkówka jest prawdziwą potęgą. Po tym, jak zawodnicy wygrali Ligę Narodów i zdobyli mistrzostwo Starego Kontynentu, najlepszym zespołem Europy zostały siatkarki i awansowały na igrzyska olimpijskie. Obecnie zespół Nikoli Grbicia uczestniczy w Chinach w turnieju kwalifikacyjnym do igrzysk olimpijskich w Paryżu

Z Aleksandrem Śliwką, jednym z najlepszych zawodników świata, kapitanem i przyjmującym reprezentacji Polski, rozmawia Cezary Kowalski (Polsat Sport)

Jesteś mistrzem świata, wicemistrzem, mistrzem Europy, trzy razy wygrywałeś Ligę Mistrzów, Ligę Narodów... Takie sukcesy powszedniej?

Aleksander Śliwka: Nie, bo to jest kapitalne uczucie i jak uda się coś wygrać oraz zasmakować tego triumfu, tej satysfakcji, że ciężka praca przynosi efekt, to chce się tego jeszcze raz. Z każdym kolejnym sukcesem głód jest jeszcze większy. Wszyscy wiedzą, że jedynym niespełnionym marzeniem obecnych siatkarzy jest awans na igrzyska olimpijskie. Do tego dążymy, a po drodze wygrywamy turnieje. Dopóki jednak tego nie osiągniemy, żaden z nas nie będzie zadowolony.

Wiadomo, że jesteście znakomitymi zawodnikami, ale sama dobra jakość poszczególnych graczy nie jest przecież równoznaczna z takimi kosmicznymi wynikami zespołu. Czym to jest spowodowane? Tylko proszę nie mówić o dobrej atmosferze, bo ta podobno zawsze jest świetna w każdej drużynie...

Mamy najlepszych graczy w Europie, z najlepszych lig, utytułowanych na arenie międzynarodowej. Niesamowity skład 14 i nawet więcej zawodników, z których trener może wybierać. To jest podstawa. Ale absolutnym kluczem jest to, że trener przekonał nas, żebyśmy szli w jednym kierunku, aby każdy zaakceptował swoją rolę i zrozumiał, że nie zawsze będzie grał w pierwszej szóstce. Czasem wyjdiesz tylko na jedną piłkę, na jedną akcję czy jednego seta. I musisz poświęcić swoje ego, swoje indywidualne ambicje, pragnienie zdobywania jak największej liczby punktów. Po to, aby drużyna zdobywała trofea. Nasze talenty są po prostu dobrze wykorzystywane. Nikola Grbić jest osobą mającą świetne wyczucie, potrafi zarządzać tą grupą, wie kiedy i jak zawodnika użyć do dobrego planu, który kreśli. Do tego dochodzi ciężka praca. My potrafimy świetnie grać, ale proszę uwierzyć, pracujemy na treningach naprawdę bardzo mocno. Mamy chęci i głód zwyciężania i robimy to tym chętniej, bo widzimy, jakie przynosi efekty.

Akceptacja roli to bardzo ciekawy wątek. Jak przekonać świetnego sportowca do roli rezerwowego i wmówić mu, że on też jest potrzebny?

Perspektywa sukcesu grupowego jest tu idealną motywacją. Lepiej coś zdobyć wspólnie, mając skromny udział, niż przegrać w roli gracza podstawowego. Poza tym chcesz być w drużynie w jakiegokolwiek roli, jeśli wewnątrz dzieje się bardzo dobrze, jeśli masz wsparcie, wszyscy są wobec siebie życzliwi. My po prostu chcemy spędzać ze sobą czas. Nie tylko na boisku, lecz także poza nim. Ten aspekt towarzyski jest bardzo istotny. To przyciąga, lubisz być w tej drużynie i choćby całe lato spędzić w reprezentacji. Druga sprawa, albo nawet pierwsza, to fakt, że grasz w reprezentacji Polski. Gramy dla milionów Polaków, dla wspaniałych ludzi i najlepszych kibiców siatkówki na świecie. Jesteśmy z sobą od połowy maja i nie ma żadnych zgrzytów, pozostajemy skoncentrowani, skupieni.

Niedawno skończyła się Liga Narodów, a ostatnio mistrzostwa Europy i już lecicie do Chin na eliminacje do igrzysk olimpijskich...

Każdy chciałby trochę więcej wolnego, ale jednak jedziemy na najważniejszy turniej tego sezonu. Co by się nie stało na mistrzostwach Europy, wiedzieliśmy, że najważniejsza jest kwalifikacja olimpijska. Konieczne jest utrzymanie koncentracji, głodu zwyciężania.

Bo chyba już nie poprawy w grze, skoro wygrywacie wszystko.

Nasz trener jest perfekcjonistą i zawsze znajdzie jakiś element, w którym można zrobić postęp, być lepszym, nadganiać inne reprezentacje. Nie zabraknie nam ognia, choć za nami już długi sezon i teraz siedem meczów do rozegrania w tym chińskim turnieju [zmierzmy się z Belgią, Argentyną, Meksykiem, Kanadą, Holandią, Bułgarią i Chinami, na igrzyska awansują dwa najlepsze zespoły – przyp. C.K.]. Nie będzie to łatwa gra, ale właśnie dzięki tej szerokiej, bardzo równej kadrze osiągniemy ten cel.

Nie sądzisz, że taka drużyna jak wasza powinna mieć zapewnioną automatycznie kwalifikację? Tak się dzieje w innych dyscyplinach.

W wielu dyscyplinach medaliści mistrzostw świata kwalifikują się automatycznie. U nas w siatkówce ten system kwalifikacji jest modyfikowany przed każdymi igrzyskami. Teraz jest taki, ale za chwilę będzie rewolucja i do Los Angeles pojadą bez dodatkowych meczów najlepsze drużyny mundialu i mistrzowie kontynentów. To dobrze, bo to docenienie rangi tych pozostałych turniejów.

Siatkówka jest wyjątkowym sportem w Polsce. Dlaczego?

Reprezentacyjna siatkówka jest jak magnes. Przyciąga wielu widzów do hal i przed telewizory. Globalnie nie możemy konkurować z piłką nożną, ale dla wielu ludzi stała się alternatywą. Dla rodzin z dziećmi chcących uniknąć agresywnego kibicowania. Mamy wiernych kibiców i to nie tylko kiedy jest dobrze, lecz także nie opuszczają nas w trudnych momentach, są również podczas porażek, które kiedyś zdarzały nam się częściej. Ludzi przyciąga taka przyjazna aura. Nie mam żadnych uwag do atmosfery podczas meczów piłki nożnej czy piłki ręcznej, to też są spektakle. Ale nasze są trochę inne.

Te porównania z futbolem, zwłaszcza obecnie, kiedy nasi piłkarze dotują, a wy wygrywacie wszystko, nasuwają się same. A dane są takie: wy zarabiacie dziesięć razy mniej niż oni.

Wielu z nas zaczynało od piłki nożnej. Ja też w podstawówce grałem w piłkę. Moja rodzina ma jednak dłuższe tradycje siatkarskie i jak pojawiła się w moim rodzinnym mieście możliwość trenowania siatkówki, to się nie wahałem. Ale interesuję się piłką. My znamy mechanizmy działania obu dyscyplin. Piłka nożna jest sportem numer jeden na świecie i nie możemy mieć pretensji o mniejsze zarobki. Są one wprost proporcjonalne do wartości marketingowej, jaką dana dyscyplina może wytworzyć. Staramy



Fot. PAP / PA

się przez nasze sukcesy, ekspozycje naszych twarzy jako sportowców w mediach budować jak najlepszą markę siatkówki. Nie porównując się jednak do innych dyscyplin.

Wizerunek siatkarzy jest wręcz cukierkowy. Nie ma afer, skandali. Tacy po prostu jesteście czy tak bardzo pilnujecie przekazu?

Mamy świadomość, jak istotny jest wizerunek, a że mamy w drużynie czy w klubach bardzo inteligentnych ludzi, łatwiej to przychodzi. Ale to nie jest tak, że my cokolwiek udajemy. Jesteśmy sobą, jesteśmy naturalni w tym wszystkim. Bardzo cieszę się, że mamy ciepły wizerunek w mediach, ale nie zawsze tak musi być.

Jaki wpływ ma na to wykształcenie? Większość z was ma wyższe.

Skończyłem studia magisterskie na kierunku zarządzanie. Wielu z nas albo jest w trakcie studiów, albo już je ukończyło. Dbamy o swój rozwój nie tylko sportowy, bo wiemy, że nie będziemy grali wiecz- nie. Inwestujemy pieniądze, które zarabiamy, ale także stawiamy na edukację, aby zapewnić sobie start w nowym etapie życia już po siatkówce.

Gramy dla milionów Polaków, dla wspaniałych ludzi i najlepszych kibiców siatkówki na świecie. Jesteśmy z sobą od połowy maja i nie ma żadnych zgrzytów, pozostajemy skoncentrowani, skupieni

Jak jest rola rodziców w nastawieniu dziecka na sport? Powinni to robić czy lepiej poczekać, aż pasja zrodzi się sama?

To jest kluczowe. Dziecko nie kalkuluje, chce robić to, co kocha, ale to rodzice popychają w dobrą stronę. Ja mam mądrych rodziców, którzy potrafili mną pokierować, pomóc w wyborach szkoły i klubów. Dali mi wędkę, a ja zacząłem łowić ryby. Dziś mam ogromną satysfakcję i jestem im wdzięczny.

Jest coś jeszcze bardzo charakterystycznego dla reprezentantów siatkówki: bardzo dobrze i chętnie mówicie o swoim trenerze. To nie jest reguła, patrząc na inne dyscypliny.

Bo Nikola Grbić jest fachowcem, ma wiedzę i potrafi ją przekazać drużynie. Z ZAKSĄ Kędzierzyn-Koźle wygrał pierwszą Ligę Mistrzów, teraz prowadzi nas od złota do złota w kadrze. Widzimy, że słuchając go i podążając za jego pomysłem na siatkówkę, stajemy się lepsi. Robimy ciągle postęp. W ogóle na fenomen polskiej siatkówki wpływa fakt, że pracujemy z najlepszymi szkoleniowcami na świecie.

Bariera językowa nie ma znaczenia?

Nie ma. Wszyscy mówimy świetnie po angielsku.

Pilkarze marzą, aby wyjeżdżać za granicę do lepszych lig. Ty się nigdzie nie wybierasz...

Polska liga jest jedną z dwóch najlepszych na świecie, konkurujemy z włoską. Najlepsi Polacy najczęściej grają w Polsce. Tu jesteśmy doceniani, tu mamy świetne warunki do rozwoju, co udowadniają ostatnie trzy sezony Ligi Mistrzów. Mamy najlepsze kluby w Europie. Tutaj zarabiamy dobre pieniądze, jest odpowiedni poziom sportowy, wszystkiego czego potrzebujemy.

Kiedy jesteś na wakacjach, wychodzisz na plażę i widzisz, jak ludzie grają w siatkówkę, to masz ochotę poodbijać, czy masz już dość?

Kiedyś z rodziną chętnie odbijałem, czasem ktoś się dołączył i graliśmy. Teraz raczej stronię od tego. Jestem zwolennikiem aktywnego wypoczynku, ale w innej formie.

Co poza siatkówką pochłania twój czas?

Koszykówka NBA, teraz nie ma sezonu, ale czytam wszystkie newsy transferowe, jestem na bieżąco. I piłka nożna. Na zgrupowaniu oglądaliśmy mecze Legii i Rakowa w europejskich pucharach. Ogólnie wszystko się u mnie kręci wokół sportu.

Podobno masz nietypowego idola piłkarskiego?

Jak byłem młody, zachwycalem się Ronaldinho, ale później wzorem dla mnie był Luca Toni. Mistrzostwa świata w 2006 r., włoski napastnik świetnie grający w polu karnym. Może dlatego, że był wysoki jak ja?

PRZYSZŁOŚĆ JEST **Z MIEDZI**

Globalny lider w produkcji miedzi i srebra. Gigant, wizjoner odkrywca w branży wydobywczej i produkcyjnej. Od ponad 60 lat wydobywamy i przetwarzamy cenne zasoby ziemi, skutecznie budując pozycję lidera branży. Dzięki wiedzy i doświadczeniu naszych pracowników tworzymy produkty, które umożliwiają zrównoważony rozwój świata.

www.kghm.com



KGHM
POLSKA MIEDŹ

4 pory roku i 23 parki narodowe

Koniec wakacji nie powinien być końcem wyjazdów przyrodniczych. To dobry czas na ich planowanie na bliższą i nieco dalszą przyszłość, aż do kolejnych wakacji włącznie. Nie ma co myśleć o końcu sezonu wyjazdowego, skoro można myśleć o jego początku



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Niejedynym, lecz zawsze dobrym wyjazdowym pomysłem są parki narodowe, nie bez powodu objęte tą nobilitującą formą ochrony. Jest ich w Polsce 23. Wszystkie ciekawe, wszystkie warte gruntownego poznania; spróbujmy jednak

przyporządkować je do poszczególnych pór roku, wyróżniając jeden aspekt lub miejsce – pamiętając, że to tylko propozycja, a wybranie się w te wyjątkowe rejony w innym czasie niż zaproponowany także będzie znakomitym pomysłem.

JESIEŃ

Tu od razu nasuwają się parki nadmorskie: Woliński Park Narodowy i Słowiński Park Narodowy. Dlaczego? Jesień to pora wędrówek ptaków z północy. Jesienią nie spieszą się tak jak wiosną, by jak najszybciej zacząć lęgi i zdążyć wychować młode przed zimą. Szlamniki,

kuliki, kamuszniki i sieweczki przebiegają wzdłuż linii wody, sondując mokry piasek w poszukiwaniu różnych bezkręgowców. Przyda się lornetka i atlas ornitologiczny. Późną jesienią natomiast, już nie na plażach, lecz na morskich falach, mogą się pojawić północne kaczki: marmarkaczki i edredony. Jeżeli wybierzemy początek jesieni, w Słowińskim Parku Narodowym oprócz ptaków możemy trafić na pięknie kwitnące wrzośce bagienne.

Magurski Park Narodowy położony w Beskidzie Niskim to obszar mało zaludniony. Gdziekolwiek krzyż, cmentarz lub łemkowski sad świadczą o tętniącym tam niegdyś życiu. Jesie-

nią, w porze pierwszych przymrozków, które w górach zaczynają się wcześniej, to tereny znakomite do nasłuchiwania rykowiska karpackich jeleni. Nigdzie indziej liście nie przebarwiają się tak spektakularnie i tak nagle jak w górach. W górach też, zapewniających rozległe widoki, najlepiej widoczna jest płomienna pomarańczowość buków i złote liście jaworów. W Pienińskim Parku Narodowym można je oglądać podczas spływu Dunajcem albo z górskich szlaków.

ZIMA

Surowość widoków oraz klimatu pasuje do i tak surowych z natury gór. Oczywiście trzeba wziąć pod uwagę zagrożenia i dostosować trasy do możliwości, doświadczenia czy warunków: czasem zamiast szczytu wybrać tatrzańską dolinę, zamiast Diablaka na Babiej Górze schronisko na Markowych Szczawinach, pamiętać, że lawiny śnieżne mogą schodzić nie tylko ze skalistych szczytów, lecz także przy podejściu na bieszczadzkie poloniny itp.

To w górach jednak mamy największe szanse na zobaczenie śniegu w masowych ilościach i poczucia temperatur o kilkanaście (lub więcej) stopni Celsjusza niższych niż na nizinach. Dlatego parki narodowe: Karkonoski, Babiogórski, Tatrzański i Bieszczadzki to typy zimowe. Mamy na nie sporo czasu, bo zima w górach trwa dłużej. A przed wyjazdem warto nauczyć się rozpoznawać tropy wilków i rysy.

Do tej grupy trzeba dołożyć również Świętokrzyski Park Narodowy i zimowe wejście na Święty Krzyż, czyli legendarną Łysą Górę.

WIOSNA

Bardzo wczesna wiosna, a w zasadzie końcówka zimy, to najlepsza pora do obserwacji ponadstutysięcznych stad dzikich gęsi w Parku Narodowym Ujścia Warty. Jak również tysięcy żurawi, licznych bielików, bernikli, bielaczków i wielu innych gatunków. Część z nich zimuje na rozlewiskach Warty i Postomii, część zostaje na lęgi, jednak większość gromadzi się w oszalałających ilościach na podmokłych obszarach

parku w czasie wiosennych wędrówek na północne łęgowska.

Jeszcze zanim rozwiną się liście drzew, rozkwit przeżywają zawilce, przyłaszczki i inne geofity. Wczesna wiosna to również pora godowego bębnienia dzięciołów – chyba nigdzie nie usłyszymy go w takiej ilości i w takiej scenerii jak podczas wycieczki do ścisłego rezerwatu Białowieskiego Parku Narodowego, do którego wchodzi się przez starą, dębową bramę przypominającą Jurassic Park (wstęp tylko z przewodnikiem). Tętno pierwotnej puszczy – to określenie nabiera tam właściwego znaczenia.

Oczywiście wiosennym typem na początek maja jest też największy w Polsce Biebrzański Park Narodowy. Biebrza – dzika, ostatnia i jedyna pierwotna rzeka nizinna w Europie. Niezliczone rycyki, rybitwy różnych gatunków, bataliony, bąki, bączki, sowy błotne i losie oraz wiele innych gatunków niespotykanych nigdzie indziej. Najciekawsza jest eksploracja z poziomu wody, z kajaków.

O podobnej porze najlepiej też wybrać się do Narwiańskiego Parku Narodowego, by podziwiać drapieżne błotniaki stawowe i łąkowe szybujące na skrzydłach wzniesionych w kształt litery V, polujące i tokujące nad zalanymi trzcinowiskami oraz mokrymi łąkami.

Wiosenny Kampinoski Park Narodowy daje szansę na spotkanie w podmokłych olsach łęgowych żurawi, natomiast Gorczański Park Narodowy – późną wiosną na przełomie z latem – na wspaniałe storczyki kwitnące na górskich łąkach, z panoramą Tatr w tle, a w deszczowy dzień na szlaku na spotkanie z salamandrami płamistą, osobliwym płazem umieszczonym w godle tego parku.

LATO

Lato, które w końcu znowu nadejdzie. Jeżeli chcemy zażyć letniego spływu kajakowego, wspaniałym miejscem będzie Wigierski Park Narodowy, gdzie po zmaganiu z jeziornym wiatrem i falą, oglądając dawny klasztor kamedułów, można się zagłębić w meandry Czarnej Hańczy.

Poleski Park Narodowy, Drawieński Park Narodowy i Wielkopolski Park

Narodowy jako obszary wodno-błotne ze znaczną powierzchnią trzcinowisk to świetne miejsca na słuchowe obserwacje trzcinaków i trzcinniczków – ptaków z rodzaju *Acrocephalus*, odznaczających się wyjątkowo egzotycznie brzmiącym śpiewem. Tym bardziej jeżeli słyszy się go dobiegającego z głębin zielonych szuwarów (w śpiewie tych ptaków, już i tak z natury oryginalnym, mogą pojawiać się zapożyczenia z głosów ptaków napotkanych na tropikalnych zimowiskach).

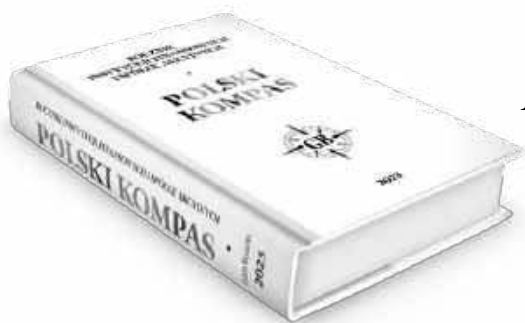
Ojcowski Park Narodowy to najmniejszy park w Polsce. Połączenie przyrody i historii – lesistej doliny Prądnika urozmaiconej wapiennymi skałami ze słynnymi Bramą Krakowską i Maczugą Herkulesa, obok której wznosi się zamek w Pieskowej Skale. W pogodny wieczór, zanim zapadnie zmrok, można się przekonać, dlaczego w godle parku jest nietoperz. Dzięki liczным jaskiniom, szczelinom skalnym i dziuplastym drzewom można tu spotkać 11 gatunków tych ssaków, czyli niemal połowę występujących w Polsce.

Lato będzie dobrą porą roku także na obejrzenie unikatowego labiryntu Parku Narodowego Gór Stołowych. I to zarówno gdy wybierzemy się tam wczesnym, słonecznym rankiem, kiedy promienie słońca, przeszywając szczeliny pomiędzy skałami, tworzą wyjątkową grę światła i cieni, jak i w dzień mglisty, zmieniający Góry Stołowe w magiczną krainę.

Roztoczański Park Narodowy, ojczyzna koników polskich, będących w prostej linii potomkami dzikich tarpanów, z powodu rozległych lasów położonych na terenach płaskich lub lekko pofalowanych, pomiędzy którymi płyną malownicze rzeki i leżą niegłębokie jeziora zamieszkiwane przez żółwie błotne, jest szczególnie odpowiedni na letnie wędrówki.

Podobnie letnią porą trzeba wybrać się do Parku Narodowego Bory Tucholskie. Zagłębić się w sosnowe lasy, rozbić namiot na ustronnym, leśnym kempingu, a nocami na porośniętych wrzosowiskami polanach i na skrajach piaszczystych sośnin nasłuchiwać tajemniczego warkotu i klaskania skrzydeł lelków kozodojów.

Siła polskiego kapitału



W ciągu ostatnich kilku lat zmienił się model gospodarczy Polski. Państwo zyskało na znaczeniu, biznes stał się bardziej społeczny, owoce wzrostu stały się ogólnodostępne. „Polski Kompas”, którego premiera odbyła się w siedzibie Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie, jest zapisem tych zmian, a zarazem pokazuje kierunki, w jakich gospodarka może się rozwijać

Polski Kompas. Rocznik instytucji finansowych i spółek akcyjnych, wydawany przez redakcję ekonomiczną Grupy Medialnej Fratria, nawiązuje do publikacji zainicjowanej w 1921 r. we Lwowie. Przez całe międzywojnie każdego roku publikacja „Polskiego Kompas” była jednym z najistotniejszych wydarzeń w gospodarczym kalendarzu kraju.

Po jego reaktywacji w 2015 r. podczas premiery wręczane są nagrody Polski Kompas, przyznawane osobom szczególnie zasłużonym dla naszego wzrostu gospodarczego, nadające mu impet, wprowadzające biznes w nowe, konkurencyjne obszary. „Trudno przecenić znaczenie tej unikatowej publikacji, która nie tylko stanowi ważny głos w kwestii kondycji polskiej gospodarki, ale jest też cennym zapisem diagnoz i rekomendacji proponowanych zarówno przez przedstawicieli administracji centralnej, jak i kluczowych polskich przedsiębiorstw na temat wy-

zwań stojących przed naszą ojczyzną oraz strategii, jakie należy wobec nich przyjąć” – napisał premier Mateusz Morawiecki w liście skierowanym do uczestników premierowej gali na warszawskiej giełdzie.

JAKOŚCIOWA ZMIANA

Tegoroczna, dziewiąta edycja „Polskiego Kompas” liczy prawie 400 stron, składa się ze 107 tekstów. W gronie autorów znaleźli się: premier Mateusz Morawiecki, wiceprezes Rady Ministrów Jarosław Kaczyński, 15 ministrów, 7 sekretarzy i podsekretarzy stanu, zastępca szefa Kancelarii Prezydenta RP oraz liczni parlamentarzyści, 12 prezesów i wiceprezesów urzędów centralnych, w tym laureaci Polskich Kompasów – prezes Narodowego Banku Polskiego prof. Adam Głański i prezes Zakładu Ubezpieczeń Społecznych prof. Gertruda Uścińska, a także szefowie Urzędu Ochrony Kon-

kurencji i Konsumentów, Polskiego Funduszu Rozwoju, Korporacji Ubezpieczeń Kredytów Eksportowych, Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, Agencji Rozwoju Przemysłu i wielu instytucji gospodarczych. Artykuły przygotowali też prezesi kluczowych instytucji polskiego rynku kapitałowego i finansowego: Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie, Krajowego Depozytu Papierów Wartościowych, Krajowej Izby Rozliczeniowej oraz pełnomocnik ministra finansów ds. strategii rozwoju rynku kapitałowego. Tegoroczny „Polski Kompas” zawiera artykuły 10 profesorów ekonomii i zarządzania największych polskich uczelni, w tym rektora Uniwersytetu Warszawskiego, prezesa honorowej Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego oraz przewodniczącą Komitetu Nauk o Finansach PAN. W tym wydaniu publikują również szefowie branżowych organizacji biznesu i przedsiębiorców z kluczowych ob-

PARTNER MIEDZIANY:



PARTNER ZŁOTY:



PARTNERZY STRATEGICZNI:



PARTNERZY GŁÓWNI:





Fot. Andrzej Włótor

szarów gospodarki, przemysłu i rynku finansowego oraz przedstawiciele firm doradczych.

– Musimy zauważyć potężną zmianę w polityce gospodarczej polskiego rządu i rządowej administracji, która sprawia, że polska gospodarka radzi sobie podczas postcovidowego i wojennego sztormu – mówił podczas gali Maciej Wośko, redaktor naczelny „Gazety Bankowej” i „Polskiego Kompas”.
– To jakościowa zmiana dotycząca udziału, aktywnej obecności i roli państwa w gospodarce. Dziś jednym z tchem wypowiadamy nazwy mechanizmów zapewniających bezpieczeństwo finansowe – tarczę finansową, tarczę energetyczną, tarczę antyinflacyjną.

Dzięki błyskawicznym decyzjom rządu państwo staje się instytucją wspierającą przedsiębiorców i obywateli.

PAŃSTWO PO STRONIE OBYWATELI

– Dzisiejsza uroczystość jest uhonorowaniem osób, które we współczesnej historii Polski odcisnęły trwały ślad swoimi odważnymi decyzjami służącymi rodzimej przedsiębiorczości. Upowszechniają kreatywne oraz innowacyjne działania w strukturach gospodarki, w sferze publicznej i w postawach społecznych, tym samym przyczyniając się do rozwoju naszej ojczyzny – napisała do uczestników gali Elżbieta Wi-

tek, marszałek Sejmu. – Gala stanowi sposobność, bym wyraziła wdzięczność wszystkim osobom odbierającym wyjątkową nagrodę – Polski Kompas. Ta statuetka w symboliczny sposób nawiązuje do wielkich celów i obranych szlaków, przywołuje bohaterów, którzy odważyli się marzyć i spełniać pragnienia, a także przekraczać utarte schematy.

W tym roku „Gazeta Bankowa” przyznała pięć nagród Polski Kompas i jedno wyróżnienie. Wręczał je Henryk Uzdrowski, członek zarządu wydawnictwa Fratria, oraz Maciej Wośko. Statuetki Polskiego Kompas otrzymali prezesi kluczowych dla polskiej gospodarki narodowej spółek. – Postanowiliśmy w ten sposób podkreślić znaczenie

PARTNERZY:

accenture

 **Bank Pekao**

 **Polska Grupa Energetyczna**

 **TOTALIZATOR
SPORTOWY**

PARTNERZY WSPIERAJĄCY:

 **ALIOR
BANK**

KDPW

PERN

 **PIU**
PAŃSTWA TOTALIZATOR

 **Państwowe
Gospodarstwo Wodne
Wody Polskie**

repolonizacji polskiego przemysłu, branży energetycznej i sektora bankowego. Repolonizacji, która przynosi efekty w postaci doskonałych wyników spółek z udziałem Skarbu Państwa – mówił Maciej Wośko.

Wojciech Dąbrowski, prezes PGE Polska Grupa Energetyczna SA, otrzymał nagrodę za skuteczną repolonizację rynku ciepłownictwa, odzyskanie PKP Energetyka (PGE Energetyka Kolejowa) i determinację w budowaniu bezpieczeństwa energetycznego Polski; Paweł Majewski, prezes Enea SA, za nieustanną, skuteczną pracę nad stabilną i sprawiedliwą transformacją energetyczną w Polsce w obliczu wyjątkowych wydarzeń – pandemii, wojny

nie efektywnej i efektownej konkurencji na rynku światowym kluczowych dla rozwoju i technologii surowców – miedzi i srebra oraz odpowiedzialne budowanie małego atomu w Polsce.

Tegoroczne wyróżnienie „Gazeta Bankowa” przyznała dr. hab. Krzysztofowi Szczuckiemu, prezesowi Rządowego Centrum Legislacji. – Najważniejsze dla nas jest to, żeby państwo funkcjonowało w gospodarce w sposób, który pozwoli każdemu obywatelowi, a także przedsiębiorcy, mieć poczucie, że jest ono po ich stronie, że w trudnej sytuacji opowiada się po stronie tych, którzy w znajdują się w kryzysowej sytuacji – mówił dr Krzysztof Szczucki, odbierając nagrodę.



Fot. Andrzej Wiktor

na Ukrainie i surowcowego kryzysu w Europie; Grzegorz Olszewski, prezes Alior Bank SA, za bezkompromisowe wprowadzanie innowacyjnych technologii w sektorze bankowym i skuteczne udowadnianie, że polskie instytucje bankowe mogą nadawać tempo rozwoju gospodarczego w konkurencji z zagranicznymi bankami. Nagrodę otrzymał również Leszek Skiba, prezes Banku Pekao SA, za potwierdzenie w twardych wynikach, że polski bank, realizując misję odpowiedzialnej, narodowej instytucji bankowej dla obywateli może skutecznie wygrać z międzynarodową konkurencją; a także Tomasz Zdzikot, prezes KGHM Polska Miedź SA, za stabilne prowadze-

W POLSKICH RĘKACH

Wojciech Dąbrowski, prezes PGE Polska Grupa Energetyczna SA, podziękował za docenienie PGE za zaangażowanie w rozwój polskiej gospodarki i wzmacnianie bezpieczeństwa Polski. – Sytuacja zagrożenia z kierunku wschodniego, agresji Rosji na Ukrainę, pokazuje, że strategiczne spółki powinny być w rękach polskich, szczególnie pod kontrolą Skarbu Państwa. Tylko to gwarantuje nam bezpieczeństwo energetyczne – mówił Wojciech Dąbrowski.

Jakie jest znaczenie transformacji energetycznej? – Energetyka to krwioobiegi gospodarki. Bez stabilnych dostaw taniej i czystej energii trudno mówić o jej

rozwoju w szalenie konkurencyjnych czasach, kiedy konkurujemy nie tylko regionalnie, ale i z całą Europą, z całym światem. Sprawiedliwa transformacja, która spowoduje możliwość kontynuacji dostaw energii po racjonalnych, akceptowalnych cenach, umożliwiających skuteczne konkurowanie polskim przedsiębiorcom, jest wyzwaniem numer jeden dla wszystkich spółek energetycznych – mówił Paweł Majewski, prezes Enea SA.

– Stawiamy na odpowiedzialność społeczną, zarówno po stronie klienta, czyli na dostęp do krótkoterminowych, tanich finansowań i realizację potrzeb tych klientów, którzy często byli wykluczeni z rynku bankowego, jak również odpowiedzialnego podejścia do pracownika – mówił Grzegorz Olszewski, prezes Alior Bank SA. – Ciężar transformacji energetycznej kraju spoczywa na barkach polskich banków. Bez polskiego kapitału, bez silnych banków nie będzie transformacji energetycznej kraju. Taki jest nasz cel – chcemy budować silne banki.

Leszek Skiba, prezes Banku Pekao SA, podkreślił imponujące tempo, w jakim rośnie polska gospodarka i polskie firmy, które są jej sercem. Jest to zarówno efekt ciężkiej pracy ich właścicieli oraz pracowników, jak i polityki gospodarczej państwa. – Jest to wielki sukces, który warto docenić – mówił Leszek Skiba, odbierając statuetkę Polskiego Kompas.

– KGHM jest jedną z najbardziej globalnie działających polskich firm. To nasze, polskie dziedzictwo, firma, która skutecznie konkuruje i wygrywa tę konkurencję na globalnych rynkach – mówił Tomasz Zdzikot, prezes KGHM Polska Miedź SA. – Zaspokajamy potrzeby państwa polskiego jeśli chodzi o dostęp do strategicznych surowców. Jesteśmy dumni z tego, że nasze sukcesy zagraniczne są sukcesami polskich menedżerów. KGHM jako polskie srebra rodowe powinien być firmą zawsze znajdującą się w polskich rękach i pod kontrolą Skarbu Państwa. Tylko wtedy możemy gwarantować bezpieczeństwo surowcowe naszego kraju.

Elektroniczne wydanie „Polskiego Kompas 2023” jest dostępne na portalu www.gb.pl oraz w aplikacji „Gazety Bankowej” na AppStore i Google Play.

Stanisław Koczot

Wspólnie

dla zielonej
energii w Polsce



Myślimy o przyszłości. Chcemy zapewnić klientom dostęp do czystej energii

Jesteśmy jednym z liderów zielonej energetyki w Polsce. Jako część Grupy ORLEN realizujemy ambitny plan zmniejszenia emisyjności wytwarzanej energii. Dążymy do tego m.in. poprzez rozwój OZE na lądzie i udział w projektach morskich farm wiatrowych. Dbamy o równowagę między zapewnieniem bezpieczeństwa energetycznego, a troską o nasze otoczenie.

Zrównoważony rozwój. Z szacunkiem dla środowiska.



ADAM WALNY*

Jestem artystą wędrującym



Od 30 lat przemierzam obszary teatru przedmiotu. Boso i w lakierkach. Boso, z powodu umiłowania bezdroży prowincji. W lakierkach, bo „trza być w butach na weselu”. Próbowałem teatru, zwanego przez niedowidzących wizualnym. Próbowałem też laboratoryjnego, jak mówią absolwenci zawodówki. Z czasem pojawiły się elementy sztuki lalkarskiej, kojarzonej przez studentki pedagogiki z erotic center show. Niestety, żaden z wyżej wymienionych gatunków nie okazał się tym, który opisałby w pełni temat podniesiony, wraz ze szklanką wina marki Cyrano, we wrotach stodoły przysiółku Markowy Wygon. I tak do dziś.

Jako człowiek urodziłem się w Wierach pod Poznaniem, jako lalkarz – na Podlasiu. Byłem w trzech liceach plastycznych. Zacząłem od Poznania (tu praktykowałem też w Teatrze Nowym jako technik plastyki). Potem na moment przenieśliśmy się do Krakowa, ale szybko stamtąd uciekłem. Właśnie na Podlasie. Do Supraśla, gdzie po czterech latach

nauki na kierunku wystawiennictwo znalazłem się na snycerstwie.

Wcześniej nie miałem do czynienia z tą dziedziną, a wszyscy moi koledzy z klasy już rzeźbili pomniki, zająłem się więc lalką. Z pełną świadomością, że nie jest rzeźbą, wymaga ruchu, więc wiele z tego, co nie zostało wyrzeźbione, można dograć. I właśnie od tego „dogrywania” niewyצלowanych rzeźb zaczęło się moje lalkarstwo. Sztuka współpracy z przedmiotem, odmiennym komentarzem dla widza dorosłego czy jeszcze nieukształtowanego.

Przez kilka lat studiowałem na Wydziale Reżyserii Teatru Lalek Akademii Teatralnej w Warszawie filia w Białymstoku (z corocznymi przerwami na to, żeby oduczać się tego, co tam nazywało się programem edukacyjnym). Potem na trochę zatrzymałem się w Gdańsku, później w Warszawie. Rok spędziłem na Białorusi, a wcześniej na Litwie, do której regularnie wracam (w październiku jadę tam na festiwal, który wymyśliłem – Misteralia).

Jestem artystą wędrującym. Do momentu osadzenia w małopolskich Ryglcach, Walny Teatr był sceną bez siedziby, co warunkowało sposób realizacji spektakli. Doświadczenie sceniczne przy okazji kolejnych spektakli (a dziś mam ich na koncie kilkadziesiąt) zdobywałem, jak Szekspir, zaczynając swoje prezentacje na prowincji. Dlatego tak lubię prowincję.

W czasie mieszkania w Ryglcach tworzyłem teatr plenerowy – dom był pracownią, a sceną podwórko. Kiedy przenieśliśmy się do Policznej, niedaleko granicy z Białorusią (to tu powstał Instytut Teatru Przedmiotu, formalnie działający od 2017 r., chociaż pomysł narodził się dekadę wcześniej), spektakle zacząłem wystawiać w stodole. I tak jest do dziś. W tym roku cały instytut z części działań powędrował na Kaszuby, do przysiółka Dziegiel.

Cieężko byłoby mi określić, ile kilometrów przejechałem ze swoim teatrem. Myślę, że z 10 razy kulę ziemską okrążyliśmy. Jeżdżąc po Polsce, ale też regularnie odwiedzając Litwę, Estonię, Węgry, Chorwację czy Czechy. Spektaklem „Hamlet”, do którego niedawno wróciłem, otwierałem scenę lalkarską na zamku w Elsynor w Danii. Tam, gdzie Hamlet spotyka ducha ojca. Teraz szukę się do premiery w stodole w Dziegolu. 20 października przedstawię widzom „Pasje według Judasza”. Autorski dramat wydany w tym roku w większej całości pt. „Koniec Świata Komediantów”. Gdzie i kiedy będę oraz z jakimi spektaklami można sprawdzić na moim profilu na FB albo na stronie Walny Teatr.

10 października pokażę w Warszawie spektakl „Noe”, w ramach XVII edycji Międzynarodowego Festiwalu Teatru Lalek i Animacji Filmowych dla Dorosłych „Lalka też Człowiek”.

*Notowała **Jolanta Gajda-Zadworna***

*Więcej informacji o festiwalu, który odbędzie się od 7 do 14 października, na stronach **Lalka Też Człowiek**, profilu **FB** i na **Instagramie**.*

**Artysta plastyk, twórca Walny Teatru oraz Instytutu Teatru Przedmiotu*



SŁODKO-SŁONY

Szczypta cukru

ANNA MONICKA

Dawno temu na warsztatach kulinarnych pewien doświadczony mistrz patelni podzielił się z nami, kursantami, swoim patentem na doskonale pieczone warzywa – trzeba je dokładnie wymieszać z oliwą, posolić, popieprzyć, a potem posypać odrobiną cukru, najlepiej trzcinowego. O dziwo, taki myk kulinarny dobrze robi nie tylko marchewkom, lecz również pietruszce czy selerowi korzeniowemu, papryce, brukselce. Powstaje cieniutka, chrupiąca skórka, a warzywa mają znacznie ciekawszy smak, zupełnie inny niż włoszczyzna wyjęta z zupy.

Bawiliśmy się potem w pieczenie kalafiorów w plastrach, główek czosnku, porów, cebuli, batatów, rozmaitych odmian dyni, cukinii, kabaczków – były wymienione z tą szczyptą cukru i dodatkiem gałązki rozmarynu czy tymianku albo musnięte dodatkowo curry lub posypane papryką w proszku. Niby zwykłe, proste danie, lecz znacznie szlachetniejsze. Ważne tylko, by podawać je od razu po wyjęciu z piekarnika, bo podgrzewane ponownie tracą kruchość. Lepiej je wtedy wykorzystać inaczej, np. zmiksować z dodatkiem bulionu warzywnego lub mięsnego na esencjonalną i bardzo pożywną zupę krem, którą można podawać z grzankami, groszkiem ptyśowym albo uprażonymi na suchej patelni posiekаныmi orzechami, pestkami słonecznika, migdałami, piniolami. Ogólnie wszelkie kremowe zupy są znacznie smaczniejsze, gdy zrobi się je na upieczonych, a nie ugotowanych warzywach.

W tym roku zachwyciły mnie papryki – upiekłam więc dwie blachy, oczywiście lekko skarmelizowane, i zapakowałam do słoików w towarzystwie oliwek i pokruszonego sera feta, podlane oliwą z pieczenia oraz domowym octem śliwkowym. Będą jak znalazł do bagietki na jesienno-zimowe śniadania i do szakszuki, do której co roku zaczynamy tęsknić, gdy dni robią się krótsze.

W tym roku do słoików zrobiłam także pieczone buraki. Kupiłam wielki worek, część poszatkowałam i ukisiłam, część upiekłam. Ze dwa kilogramy zapakowałam w woreczki i wrzuciłam do zamrażarki, z reszty zrobiłam energetyczną sałatkę – plasty podpiekłam na patelni z miodem, kaparkami i oliwą, podlałam octem balsamicznym i zapasteryzowałam w słoikach. Smakują obłędnie, podane z fetą i listkami rukoli. Oby dotrwały do Wigilii.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Limba



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Trudno powiedzieć, co w limbie jest bardziej poetyckie. Może dramatyczny rys romantyzmu, sprawiający, że stawiała się bohaterką obrazów, zwłaszcza odkrywających Tatry malarzy młodopolskich, i wierszy, jak ten Kazimierza Przerwy-Tetmajera: „Samotna limba szumi na zboczu stromem/ U stóp jej czarna przepaść zasłana złomem”.

A może siedlisko przyrodnicze, wysokie góry, wśród których tworzy wraz ze świerkiem zespół górskiego boru limbowo-świerkowego, opisanego przez profesora nauk leśnych Stefana Myczkowskiego pod pięknie brzmiącą nazwą *Pino cembrae-piceetum*.

Sosna limba *Pinus cembra* należy do osobliwości wśród naszych drzew. Jej naturalne stanowiska w Polsce znajdują się wyłącznie w Tatrach, np. w rejonie Morskiego Oka. W górach tych jest gatunkiem chronionym: poprzez lokalizację w obrębie parku narodowego, jak i dzięki objęciu ochroną gatunkową. Poza Tatrami, gdzie znajduje się jej najbardziej na północ wysunięte stanowisko, występuje wyspowo w łuku Karpat. Rośnie też w Alpach. Poza tymi dwoma łańcuchami górskimi nie spotyka się jej nigdzie indziej (dawniej uważano, że podgatunkiem limby jest sosna syberyjska, jednak obecnie wyróżnia się je jako osobne gatunki).

Co jeszcze jest wyjątkowe w limbie? Jej naturalne środowisko to regiel górny oraz piętro kosodrzewiny i hal, w Tatrach położone na wysokości od 1,3 do ponad 2 tys. m n.p.m., dokąd dochodzi zaledwie kilka gatunków drzew.

Jest długowieczna – dożywa kilkuset, a nawet 1 tys. lat. Rośnie bardzo powoli. Długowieczność widać już w samej sylwetce starych limb, wznoszących się ponad kosodrzewinę, o koronach wysmaganych górskimi wichrami i pniach, w które uderzył niejedyn piorun – limba jest na nie odporna. Jej igły wyrastają po pięć z pęczka; cecha ta odróżnia ją od powszechnej w Polsce sosny pospolitej i sosny kosodrzewiny, mającej w pęczku po dwie igły.

Nasiona limby, rozwijające się w okragło-jajowatych szyskach, mają postać orzeszków. Te, podobnie jak nasiona sosny syberyjskiej i sosny pini, są jadalne i smaczne. Należy jednak pamiętać o wspomnianej ochronie gatunkowej. Zabronione jest więc zjadanie nasion tatrzańskich limb – mogą to robić tylko orzechówki, ptaki, które, ukrywając zapasy, rozsiewają te niezwykle i rzadkie sosny.

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Mimikra Tuska

Zespół w Polityce.pl omówienie wywiadu Donalda Tuska dla tygodnika „Polityka” opatrzył komentarzem: „Tusk chce być gwarantem naprawy krzywd i pojednania? Te słowa to chyba najlepszy żart, jaki mógł paść z ust lidera PO”. Niestety, to nie żart. To dowód, że Tusk całkiem świadomie kradnie programy, hasła, symbole i pomysły swoich przeciwników politycznych, usiłując w ten sposób naśladować ich postawy oraz zachowania. Walcząc o swoje polityczne przetrwanie, jest gotów kompletnie zakłamać rzeczywistość. Pytany o przesłanie „marszu miliona serc”, cynicznie odpowiada: „Jeśli kochasz Polskę, przyjdź na marsz”.

Człowiek, który wyprzedawał polski majątek narodowy, okłamał Polaków w sprawie emerytur i podatku VAT, okradł nas z oszczędności w ZUS, oddał Rosjanom śledztwo smoleńskie, planował wraz ze swoim ministrem obrony Klichem oddać połowę Polski wschodniemu agresorowi, bo likwidował jednostki wojskowe, posterunki policji, stacje kolejowe, wręcz całą istniejącą infrastrukturę na wschodzie kraju, wciskał nam setki tysięcy nielegalnych emigrantów, z uległością wspierał, a właściwie realizował, reset z Moskwą, teraz zaprasza na marsz „kochających Polskę”.

Czy ktoś widział Tuska w ciągu ostatnich ośmiu lat, ale i wcześniej, na polskich uroczystościach patriotycznych: w Dniu Żołnierzy Wyklętych, w Święto Wojska Polskiego, w Święto Niepodległości, na obchodach Bitwy Warszawskiej czy w rocznicę wybuchu powstania warszawskiego – długo by wymieniać. Nie było go też na ważnych uroczystościach kościelnych, tak jakby Polska i Kościół katolicki nie tworzyły polskiego narodu, a duchowni i wierni nie kochali Polski. Zignorował również niedawną beatyfikację rodziny Ulmów. Słowa: „Jeśli kochasz Polskę, przyjdź na marsz” Tusk prezentuje się jako patriotyczny przywódca narodu, tylko że dopiero od niedawnego partia i jej zwolennicy chwycili za drzewce polskich flag i próbują uczyć się śpiewać polski hymn. Tusk nie tylko nie przeprosił Polaków za swoje słowa „polskość to nienormalność”, ale wciąż oskarża, tym razem á rebours: „Polacy mają dość odmawiania im patriotyzmu [...] przez ostatnie lata jeden zdziwaczył facet za pomocą wielkiej maszyny propagandowej wmawiał milionom ludzi, że nie mają prawa do flagi, do godła, do Polski”. Łatwo się domyślić, że dla Tuska ten „zdziwaczył facet” to prezes PiS. To beczelne kłamstwo, gdyż patriotyzm za rządów PiS ma się najlepiej od 1945 r. Kto temu zaprzecza, ten po prostu bezwstydnie kłamie. Ale taki jest Tusk – nie cofnie się przed żadnym, nawet najprymitywniejszym, kłamstwem.

Z charakterystycznym dla siebie tupetem dodaje: „1 października wszyscy muszą zobaczyć, że to idzie cała Polska, że wybory to jest starcie Polska kontra PiS”. A więc przekaz Tuska i jego formacji brzmi: „My to Polska, a PiS to wrogowie Polski”. Kolejny raz lider PO przemienia się w kogoś innego, ten bezwzględny drapieżca robi z siebie ofiarę. Pewnie mógłby zacytować jakże trafne słowa ks. Adama Czartoryskiego z 1850 r.: „W Polsce istnieją tylko dwie partie: partia polska i partia antypolska” z komentarzem, że partia polska to PO, a antypolska to PiS.

Partia Tuska od początku miała antypolskie cele. Aby ograniczyć wpływy sił patriotycznych, konserwatywnych, narodowych, organizowano tzw. przystawki lub trzecie drogi (SLD, PSL, Ruch Palikota, Nowoczesna, a teraz Hołownia z PSL). Trzeba przypomnieć Tuskowi, jakim „patriotą” był jego przyjaciel Palikot, który oficjalnie wzywał do „wyrzeczenia się z polskości”. W tygodniu „Sieci” z 2 czerwca 2014 r. Jan Pietrzak właściwie ocenił mimetyczne zachowanie tych ludzi, pisząc: „Władze w Polsce przejęła jakaś mieszanina naszych okupantów, agentów Rosji i Niemiec, cynicznych łobuzów, pochowanych do dziś głęboko w cieniu”. Dziewięć lat po tych słowach Tusk chce, aby udająca polskich patriotów obca agentura z nim na czele wyszła na ulice, aby się publicznie pokazała. Mamy się przerazić jej sile i wielkością, o co z pewnością zadba zakładana przez komunistyczne służby i kierowana przez resortowe dzieci stacja TVN z Wiertniczej.

Na koniec jeszcze jedna brednia Tuska: „Ludziłem się, że [PiS] nie będzie grał sprawą fundamentalną, a więc bezpieczeństwem narodowym i państwowym by-

tem Polski. To, co robi w sprawie Ukrainy, te przedziwne piruety, pokazuje, że dla utrzymania władzy jest gotów realizować cudze geopolityczne scenariusze”. Czy można bardziej zakłamać rzeczywistość? Mówi to likwidator państwa polskiego, twórca kondominium pod niemiecko-rosyjskim zarządem. Dziś, przebrany w białą-czerwone barwy, wygłasza maskujące, oszukańcze frazesy.

Nie tylko w świecie zwierząt występuje zjawisko mimetyzmu, czyli upodobnienia się wyglądem i zachowaniem do otoczenia. Nie tylko w świecie zwierząt pojawia się zjawisko mimikry, czyli stosowanie kamuflażu w celu czynienia siebie kimś zupełnie innym niż w rzeczywistości. Najlepszym przykładem tych zjawisk w świecie ludzi jest Donald Tusk.

www.wojciechreszczyński.pl



Biznes na celowniku złodziei. Jak nie dać się okraść?

Każdy z nas może stać się celem cyberprzestępców. W orbicie ich zainteresowania znajdziemy także przedsiębiorców

Metody działania różnią się i zmieniają, ale wciąż obszerujemy oszustwa związane z niebezpiecznymi załącznikami w e-mailach. Jak uchronić się przed ich skutkami? Oto porady od CERT Polska.

PO PIERWSZE: AKTUALIZUJ

To podstawa cyberhigieny. Stale powstają nowe warianty złośliwego oprogramowania. W systemach, z jakich korzystają nasze urządzenia (telefony czy laptopy), bez przerwy odkrywano są nowe tzw. podatności, czyli błędy pozwalające przestępcom na różnorodne działania. Dbanie o aktualizacje systemu i oprogramowania obniża ryzyko cyberwłamania.

PO DRUGIE: NIE UFAJ NIKOMU

Gdy przychodzi nowy e-mail, zawsze należy dokładnie przyjrzeć się adresowi nadawcy oraz treści wiadomości. Oszuści często używają prostego trans-

latora, a więc tekst zawiera rażące błędy stylistyczne. Trzeba być też czujnym na znajdujące się w treści elementy socjotechniki, jak wywieranie presji czasu czy grożenie karami.

Należy również zwracać uwagę na załączniki. Ponadto ważne jest, czy jest kontakt zwrotny do instytucji i czy oprawa graficzna, logotypy wyglądają wiarygodnie.

Zdarzają się jednak wiadomości, które są napisane poprawnie, a ich wygląd wzbudza zaufanie. Jeśli jednak pochodzą z nieznanego źródła lub się ich nie spodziewamy – warto zachować ostrożność i skontaktować się ze specjalistami, np. z zespołu CERT Polska.

PO TRZECIE: NAUCZ SIĘ ROZPOZNAWAĆ NIEBEZPIECZNY ZAŁĄCZNIK

Podejrzenia powinny wzbudzać rozszerzenia załączników, np.: .exe, .js, .iso, .img, .htm, .html. Załączniki, takie jak „faktura\$123.img” lub „dokumenty.pdf.scr”,

mogą okazać się złośliwymi programami. Jeżeli otrzymaliśmy plik Word lub Excel o poprawnym rozszerzeniu: .doc, .docx, .xlsx, .xlsm, .xls, należy zwrócić uwagę, czy po ich uruchomieniu nie pojawia się komunikat z prośbą o włączenie makr – akceptacja prośby może doprowadzić do instalacji złośliwego oprogramowania.

PO CZWARTE: W RAZIE WĄTPLIWOŚCI NIE OTWIERAJ PLIKU

W razie wątpliwości przede wszystkim nie należy otwierać załącznika i należy zweryfikować treść e-maila inną drogą (np. zadzwonić do instytucji lub osoby, która go wysłała). Wszelkie podejrzone wiadomości czy załączniki można też przekazać do weryfikacji ekspertów CERT Polska, zgłaszając incydent poprzez stronę incydent.cert.pl lub przesyłając je na adres e-mail: cert@cert.pl. CERT Polska zapewnia poufność wszystkich przekazanych zgłoszeń, a eksperci są do dyspozycji przez siedem dni w tygodniu.

Uważaj na fałszywe załączniki w mailach

- 1 sprawdź adres nadawcy
- 2 nie klikaj w linki i nie otwieraj załączników
- 3 zadzwoń do firmy, która rzekomo wysłała wiadomość



BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Granice zgłupienia

To „badanie”, na wskroś szkodzące językowi polskiemu i jego tradycji, przeprowadza pracownica najstarszej polskiej Alma Mater – Uniwersytetu Jagiellońskiego

Ten felieton napisał się sam. Kiedy już myślałem, że żaden idiotyzm nie jest mnie w stanie zaskoczyć, wpadła mi w ręce ankieta, której autorka, sama siebie nazywająca „pracownikiem naukowym”, przekroczyła wszelkie granice śmieszności i cuchnącego absurdu. Poniżej przedstawiam obszernie fragmenty tego „badania naukowego”, które jednocześnie ukazują, czym za publiczne pieniądze zajmują się niektórzy „uczni”.

Jakich zaimków osobowych używasz najczęściej wobec znanych ci osób niebinarnych:

Myślę, że ona jest miły i towarzyski; rodzaju nijakiego, np. Myślę, że ono jest mile i towarzyskie.

form osobowych, np. Myślę, że ta [osoba] jest bardzo miłą i przyjacielską.

form liczby mnogiej w stosunku do jednej osoby, np. Myślę, że one jest mile i towarzyskie.

form neutralnych, np. Myślę, że onu jest miłu i towarzysku.

form neutralnych, np. Myślę, że ono jest miłu i towarzysku.

form neutralnych, np. Myślę, że vono jest mile i towarzyskie.

form neutralnych, np. Myślę, że miauu jest mile i towarzyskie.

inne

Wybierz najwłaściwszą formę zwracania się do grupy osób:

Szanowni Państwo

Szanowni Studenci

Szanowne Studentki i Szanowni Studenci

Szanowne Osoby Studiujące

Szanowne Osoby Studenckie

Szanowne Studentki, Szanowni Studenci, Szanowne Studencia

Która z poniższych form jest dla ciebie do przyjęcia?

Wczoraj zachowałeś się, jak należy.

Czy mogłobyś to dla mnie zrobić?

Dziękuję, jesteś bardzo mile.



**Aleksander
Nalaskowski**

Czy będziesz grało z nami?

Gdy byłośmy w domu, zaczęłośmy gotować.

Chciałobyście pójść do kina?

Wczoraj zachowałeś się, jak należy.

Czy mogłobyś to dla mnie zrobić?

Czy będziesz grału z nami?

Czy możesz to dla mnie zrobić? Dziękuję, jesteś miłą osobą.

Czy możesz to dla mnie zrobić? Dziękuję, jesteś prawdziwym przyjacielem.

Sybil jest naprawdę dobrym przyjaciełom.

To miło, że nas państwo odwiedza.

Sybil są naprawdę mile, tęsknię za ich śmiechem.

To wszystko dzięki niejmu. Napiszę do niego później. Poszlom z niqnim do szkoły.

To wszystko dzięki viemu. Napiszę do viego

później. Poszlom z vim do szkoły.

To wszystko dzięki niewu. Napiszę do nienu później.

Poszlum z num do szkoły.

Które z poniższych rozwiązań jest, twoim zdaniem, najlepsze?

rodzaj męski w funkcji neutralnej, np. wszyscy goście podwójne formy, aby uwzględnić też kobiety, np. szanowni i szanowne,

dodanie trzeciego rodzaju osobowego, obok istniejących już dwóch, np. zaimki on/ona/ono (lub inny możliwy),

rzeczowniki, np. redaktor/redaktorka/redaktorze,

poeta/poetka/poetum,

biegacz/biegaczka/biegaczko,

przyjaciel/przyjaciółka/przyjaciolo,

dziadek/babcia/dziabko,

redaktorze (jako pierwsza osoba liczby pojedynczej – A.N.).

Gdybyż to jeszcze tę „ankietę” wysmażyła pracownica jakiejś lokalnej, mało znaczącej uczelni albo jednego z tęczowych stowarzyszeń, pewnie bym ten fakt zignorował. Ale to „badanie”, na wskroś szkodzące językowi polskiemu i jego tradycji, przeprowadza pracownica najstarszej polskiej Alma Mater – Uniwersytetu Jagiellońskiego. I dlatego naprawdę nie ma się z czego śmiać.

Tylko grzesznik głośuje na szatana



**Jerzy
Jachowicz**

Na prowincji także potrafi intensywnie kwitnąć życie polityczne. Potwierdzeniem jest Ryży Kłós, niewielkie miasto powiatowe na południu kraju. Z pewnością sprzyja temu gorący okres wyborczy dla miejscowych władz. Tamtejszy korespondent zaprzyjaźnionego z nami tygodnika „Peryskop Parlamentarny” (popularnego w całej Polsce „PP”), stworzonego przez młodych specjalistów fizyki molekularnej, przesłał nam nagrane w miejscowej prywatnej stacji radiowej spotkanie lidera głównej partii opozycyjnej z przedsiębiorcami i ich pracownikami.

Kandydata na nowego burmistrza powitał senior właścicieli sklepów i małych hurtowni w mieście i okolicy, kończąc – jak zwykł to robić – wyraźną aluzją do ceglanego koloru mocno przerzedzonej grzywy lidera partii: – Na kogo, jeśli nie na pana przewodniczącego, może liczyć nasze miasto, żeby odzyskać swoją naturalną, mocno widoczną barwę? Wyraźnie połaskotało to ego bohatera wieczoru, bo niby to ukradkiem przejechał dłonią po głowie, od czoła do tyłu.

– Nie upadajcie na duchu – rozpoczął przewodniczący. – Następnego dnia po wygraniu przeze mnie wyborów ruszam do województwa po zablokowane obecnie pieniądze

na rozwój przedsiębiorczości. Z naciskiem na rodzinne interesy. – A co z wdową? – rzucił ktoś z tylnych rzędów. – Na wdowy też starczy – zapewnił kandydat. W tym momencie poderwał się starszy mężczyzna: – Jestem samotnym wdowcem. Mam interes detektywa. Tylko to umiem. Całe życie tym się zajmowałem. Ale teraz coraz mniej ludzi korzysta. Mnie to by urządziła emerytura, jaką miałem wcześniej, a którą obecny burmistrz mi ściął. – Natychmiast przywróć. Zaraz po wejściu do ratusza. – Czy mogę powtórzyć kolegom? – Obowiązkowo – zachęcił przewodniczący. I zakończył: – Ta władza swoją nieudolnością urządziła piekło w wielu sprawach. Nie tylko właścicielom średnich i drobnych przedsiębiorstw. Także kobietom. Imigrantom. Hodowcom pszczoł i nauczycielom oraz pracownikom poczty. A piekło, jak dobrze wiemy, jest dziełem szatana. Jestem człowiekiem wierzącym. Dlatego wszyscy, którzy szczerze kochają Boga, nie mogą głosować na obecną władzę. Czy chcecie być ludźmi grzesznymi?

Polski as z Edynburga

Bywalcy 19. Festiwalu „Chopin i jego Europa” nieprędko zapomną popisy tegorocznych gwiazd. Choćby pianistów z Piotrem Anderszewskim, Dang Thai Sonem, Bruce'em Liu, Kate Liu czy genialnym kanadyjskim nastolatkiem Kevinem Chenem. Akcentem specjalnym było przypomnienie twórczości symfonicznej Feliksa Janiewicza, ważnej postaci europejskiej kultury muzycznej przełomu XVIII i XIX w.

Zgodnie z intencją Stanisława Leszczyńskiego, pomysłodawcy i dyrektora imprezy, eksponuje ona nie tylko dzieła Chopina, lecz także promuje muzykę innych polskich kompozytorów. Fabio Biondi do repertuaru zespołu Europa Galante wprowadza kolejne opery Stanisława Moniuszki (tym razem była to „Paria”). Festiwal popularyzował dokonania Ignacego Jana Paderewskiego, pamiętał o Józefie Elsnerze, Juliuszu Zarębskim, Franciszku Mireckim.

Teraz przyszedł czas na prezentację rzadko wykonywanej twórczości Feliksa Janiewicza (1762–1848). Ten skrzypek i kompozytor rodem z Wilna w Warszawie obracał się w kręgu orkiestry króla Stanisława Augusta, zabłysnął w Wiedniu, Neapolu, Paryżu, a uciekając przed rewolucją francuską, osiadł na stałe w Anglii. Ceniony solista, dyrygent, przedsiębiorca, współorganizator życia muzycznego Londynu i Liverpoolu, szczególnie czczony jest w Edynburgu.

Zorganizowana przez praprapraprawniczkę artysty Josie Dixon poświęcona mu rewelacyjna wystawa w tym mieście, którą relacjonowałem zeszłej jesieni, ukazywała go nie tylko



**Adam
Ciesielski**

jako wirtuoza skrzypiec, kapelmistrza, lecz także jako jednego z inicjatorów i szefa artystycznego pierwszych edycji (1815, 1819 i 1824 r.) organizowanych do dziś legendarnych Edinburgh Festivals.

Podczas obecnego warszawskiego festiwalu „Chopin i jego Europa” częścią większego planu koncertowo-fonograficznego okazało się wykonanie I Koncertu skrzypcowego Janiewicza przez Chouchane Siranossian – francuską solistkę ormiańskiego pochodzenia – z towarzyszeniem śląskiej Orkiestry Historycznej pod batutą Martyny Pastuszki. Zakłada on rejestrację i wydanie wszystkich pięciu koncertów skrzypcowych kompozytora.

– Jestem pod wrażeniem tego ambitnego przedsięwzięcia, na prośbę Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina napisałam esej do rozpoczętej właśnie serii – zwierza się Josie Dixon. – To moja pierwsza wizyta w ojczyźnie sławnego przodka. Ze wzruszeniem chłonęłam atmosferę Warszawy, niezwykłego miasta, które ukształtowało młodego Janiewicza. Wielkie wrażenie zrobił na mnie także Kraków. Wciąga mnie polska przygoda!

Rysuje Jerzy Wasiukiewicz



TRENDY I OWĘDY

Perfekcja perfidii

O cenę „Zielonej granicy” determinuje powód, dla którego nakręcono ten film. A ten, jak i czas premiery, jest jasny: zaszokować polskim władzom, bez skrupułów, że się szkodzi Polsce. Zamiast narracji o tym, jak bohaterstwo broni europejskiej cywilizacji przed rosyjskim atakiem hybrydowym, w świecie rozpozszechniany jest paszkwil na nasze służby mundurowe. W ten sposób niweluje się skalę pomocy, jakiej udzieliliśmy Ukrainie, a koncentruje na bezdusznosci wobec imigrantów szturmujących granicę.



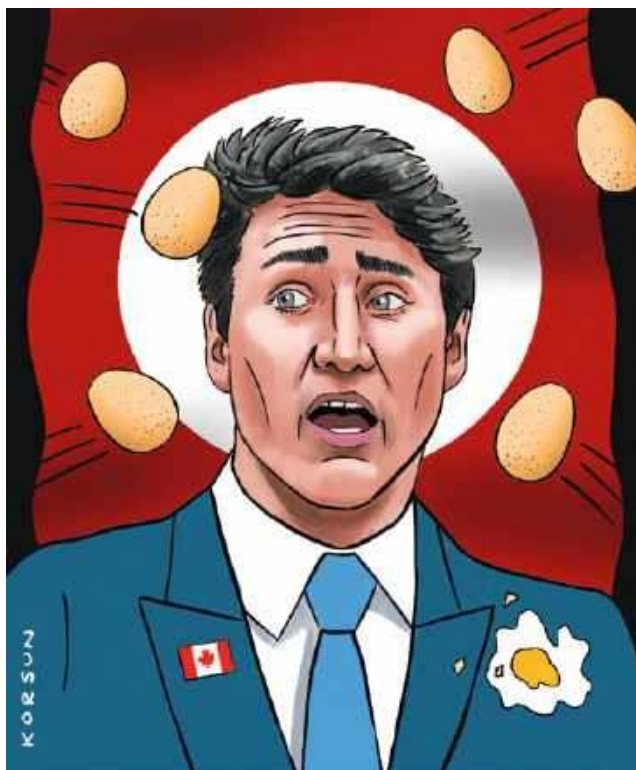
Ryszard Makowski

I tu dochodzimy do mechanizmu, który zastosowano, tworząc to „dzieło”. Kamery skierowano na biednych ludzi, którzy za wszelką cenę, nawet z narażeniem życia, szukają lepszego losu. Kogo nie wzruszy taka historia? Nawet Watykan zapowiada emisję „Zielonej granicy” i nagrodzenie autorki.

Pułapka jest perfekcyjnie zastawiona. Każdy, kto skrytykuje to czarno-białe, by wzmocnić grozę, „arcydzieło”, automatycznie staje przeciwko wartościom chrześcijańskim. Jest salonowy zakaz krytyki filmu bez uprzedniego obejrzenia go. Jeśli Agnieszka Holland i jej ekipa nakręcili ten obraz bez uprzedniej próby nielegalnego przejścia przez granicę od strony Białorusi, to dlaczego nie można go recenzować na podstawie wieści gminnej?

Minister Zbigniew Ziobro dostał sądowy zakaz wypowiedzi w temacie po wpisie na Twitterze: „W III Rzeszy Niemcy produkowali propagandowe filmy pokazujące Polaków jako bandytów i morderców. Dziś mają od tego Agnieszkę Holland”. W sumie nie wiadomo, co panią reżyser do głębi uraziło. Jednym z partnerów tej produkcji jest niemiecka stacja ZDF.

Michał Korsun prezentuje:
Kto wrobił premiera Kanady Justina Trudeau?



Wycinki z przeszłości

Na ilustracji mapa rozbiorów Polski. A poniżej, ku przestrodze, fragment „Układu podziałowego między Rosją a Austrią z 3 stycznia 1795 roku”:

„Ci dwaj panujący, przekonani doświadczeniem w przeszłości o zupełnej niezdolności Rzplitej polskiej do spokojnego bytowania na podstawie własnych praw przy jakiegokolwiek niepodległości, uznali w swej mądrości i swej miłości pokoju i szczęścia swoich poddanych, że było koniecznością nieuniknioną uciec się i przystąpić do całkowitego podziału Rzplitej między trzy mocarstwa ościennie”.

I jeszcze fragment „Traktatu rozbioru Polski między Rosją a Prusami z 24 października 1795 roku”:

„Gdyby w następstwie przeciwstawienia się niniejszemu traktatowi i jego wynikom przez którekolwiek mocarstwo

jedna z wysokich stron zawierających umowę została napadnięta, dwie inne przyłączą się do niej i będą ją wspierać wszystkimi siłami swymi i wszystkimi środkami, aż w zupełności ustanie atak”.

(mk)



Podróż do leśniczówki Pranie (fragmenty)

Odezwało się w październiku Pranie
Leśniczówka

Posypało się z telefonu złoto

Klonowych liści

Zabulgotała woda ciemna jesienna

Zaszumiąło przeciągnęło Mazurami

Coż Pranie...

To żadna tam Wygoda Małopolska

Miłosna koło Warszawy

Ale Pranie to jest

Kawał roboty

Zmaganie nielekkie

Z kim, mój Boże

– Z trzciny u jeziora szeptem?

Z wiersza sylabą głuchą?

Żeby...

To byłby zamęt ledwie wśród narzędzi

– Uklony pięknych rymów

– Frazy wdzięczny taniec

Ach Pranie, Pranie

Przecież nie podróż to

– Ucieczka

Dalej, jak najdalej

Na brzegu spór

W głąb, w otchłań

W tuman nocy

(Gdy bór złowieszczy

Widma za plecami)

To na wysokiej skarpie

Przed siebie jest wołanie:

I czy ja jeszcze?

I czy ja jeszcze stąd gdzieś dalej?

Boże niewymowny

Nie wypowiedziany

Czy po mnie tu coś dalej?

[...]

Odezwało się w październiku Pranie

Leśniczówka

Posypało się z telefonu złoto

Klonowych liści

Zaszumiąło, przeciągnęło Mazurami

Zabulgotała woda ciemna jesienna

I trudno zwlekać

– Późno

Zmierzch zewsząd

Szosa pędzi

Świat ucieka

Lecz... jechać, jechać



Leszek Długosz

Zamów Prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIĘCI	82 zł	149 zł	265 zł
wSIĘCI HISTORII	–	34 zł (3 wydania)	59 zł (6 wydań)
pakiet SIĘCI i wSIĘCI HISTORII	–	169 zł (w tym 3 wydania wSIĘCI HISTORII)	295 zł (w tym 6 wydań wSIĘCI HISTORII)

*dane do przedruku w stopce redakcyjnej

OD A DO ZYBERTOWICZA

Zadziwiające podobieństwo

Uświadomiłem sobie niedawno, podczas konferencji „Dezinformacja: Wyzwanie XXI wieku”, zorganizowanej w Zagrzebiu przez Fundację Polska Wielki Projekt.

W licznych debatach, a także prywatnych dyskusjach na temat mechanizmów życia społecznego, uczestniczę od dekad. Po studiach 12 lat z tego okresu spędziłem w tzw. Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (PRL) – w państwie autorytarnym, rządzone przez monopartię – Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą. Jedyną, która mogła wygrywać wybory. Były to lata życia intelektualnego w państwie o ograniczonej suwerenności, gdyż PZPR rządziła Polską dzięki moskiewskiemu nadaniu (to przypomnienie dla czytelników z młodego pokolenia).

TABU

Jeszcze przed wybuchem Solidarności w lecie 1980 r. nie brakowało debat o ważnych polskich sprawach: sprawności instytucji, kulturze politycznej, terrorze inwigilacji i braku wolności słowa, pułapkach edukacji, niedomaganiach instytucji naukowych. Itd. Im bliżej przełomowego 1989 r., tym dyskusje te głębiej zagłądały w mechanikę życia społecznego. Niemal zawsze trwało jednak pewne tabu.

Rozważając bolączki ówczesnego życia społecznego i politycznego, wskazywano, mniej lub trafniej, różne ich przyczyny czy źródła. Ale zwykle unikano wskazywania na *systemowe* sedno sprawy. Nie eksplorowano roli PZPR i tego, że w istocie źródło jej panowania nad Polakami znajdowało się w Związku Sowieckim. Taki kierunek dociekań był zakazany.

Cenzura, obejmująca wszystkie media (internetu jeszcze nie było), oraz swoista zmowa milczenia sprawiała, że nawet podczas wystąpień akademickich (które nie podlegały formalnej cenzurze) prawie nigdy nie wskazywano na tzw. kierowniczą rolę partii jako źródło problemów. Także tkwienie Polski w kierowanym z Moskwy Układzie Warszawskim było pomijane.



*Podobnie jak PZPR
w praktyce była
zaprzeczeniem swojej
nazwy, tak media
społecznościowe, kusząc
impulsami z ekranów,
odspolecniają nas,
oddzielając od siebie
nawzajem*

O DEZINFORMACJI

W tak poważnej skali jak obecnie problem dezinformacji został przyniesiony przez rewolucję cyfrową, zwłaszcza przez media społecznościowe.

Na ten temat debatuje się na całym świecie już od lat. Napisano mnóstwo mniej lub bardziej poważnych analiz, artykułów i książek. Zwykle w kółko powtarzane są te same diagnozy oraz oferowane te same, nieskuteczne (!) środki zaradcze.

W stolicy Chorwacji jasno uświadomiłem sobie, że ogromna większość rozważań na temat dezinformacji także nie sięga sedna sprawy. I tu leży głębokie podobieństwo do dawnych debat na temat ułomności systemu socjalistycznego.

Najkrócej ujmę to tak. PZPR w istocie nie była ani *polska* (nie naszym interesom służyła), ani *zjednoczona* (toczyły się w niej walki frakcyjne), ani *partią* (nieoficjalnie nazywano ją monopartią, bo nie miała „zdolności” przegrania wyborów), ani *robotnicza*, gdyż poza interesami Moskwy w pierwszej kolejności służyła tzw. komunistycznej nomenklaturze, czyli aparatowi władzy.

MEDIA JAKIE?

Obecnie mamy media zwane *społecznościowymi* – źródło niekończących się przeciążeń informacyjnych, plotek, kłamstw, uproszczeń i manipulacji. Jest to główny kanał wpompowywania dezinformacji w życie miliardów ludzi. Podobnie jak PZPR w praktyce była zaprzeczeniem swojej nazwy, tak owe media, odwracając jednych od drugih, kusząc impulsami z ekranów smartfonów, odspolecniają nas, oddzielając od siebie nawzajem.

Jak PZPR, nie będąc partią robotniczą, miała swego mocodawcę za granicą Polski, tak media udające społecznościowe mają swych zagranicznych władców.

NOWE TABU

Taką „Moskwą” mediów społecznościowych jest kalifornijski Big Tech – cyberpanowie z Facebooka, Instagramu, Google’a, YouTube’a, Twittera itd. Trzeba tu jeszcze dodać chińskiego Tik Toka. Ta technologiczna „Moskwa” jest systemową przyczyną wielkiej dzisiejszej dezinformacji.

Rozumiem, że w czasach cenzury i tajnej policji politycznej nawet wybitni badacze obawiali się wskazywać na monopartię i Moskwę jako na prążyć wielu społecznych problemów. Trudniej pojąć, dlaczego dziś nie dostrzega się ani prawdziwej natury mediów odspolecniających, ani szkodliwej roli miejsc, z których są one zarządzane.

Andrzej Zybertowicz



III Zielone forum wGospodarce.pl

Dziękujemy wszystkim zaangażowanym
w III Zielone Forum wGospodarce.pl

Trzecia edycja projektu poświęcona została znaczeniu
odnawialnych źródeł energii w sprawiedliwej transformacji
energetycznej w Polsce.

Zapraszamy do zapoznania się z artykułami pokonferencyjnymi
na portalu **wGospodarce.pl**

PARTNERZY GŁÓWNI:



PARTNERZY:



MODA NA ZDRAPKI JEST ZAWSZE



Wygraj nawet
1 000 000 zł

